

SYLWIA GILLIS

DOM OBOK

PRAWDA, KTÓRA NIE MIEŚCI SIĘ W GŁOWIE

NOVAE RES

SYLWIA GILLIS

DOM OBOK



NOVAE RES

Dom obok

Wydanie pierwsze

ISBN: 978-83-8219-660-3

© Sylwia Gillis i Wydawnictwo Novae Res 2021

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Redakcja: Kinga Kosiba

Korekta: Magdalena Brzezowska-Borc

Okładka: Grzegorz Araszewski

Zdjęcia na okładce: Devon Mackay | unsplash.com

(...) posłuchajcie mojej rady i kiedy spotkacie kogoś, kto zamierza być człowiekiem, a jeszcze nim nie jest, albo kiedyś był człowiekiem, a już nim być przestał, albo też powinien być człowiekiem, a nim nie jest

—

to nie spuszczaście go z oka i przypomnijcie sobie, gdzie macie siekiere
C.S. Lewis, Opowieści z Narni

Człowiek jest tajemnicą, a prawda jest nieosiągalna
– zasłyszane

Dla Ady

Bohaterowie

Główni bohaterowie

Joanna Pejka – córka pani Pejki, włókniarki. Pół-Cyganka, w szkole mówią na nią „Aisza”. Ma młodszego brata, Adasia. Dziewczynka bardzo chce poznać swojego ojca. Jest uzdolniona humanistycznie i muzycznie. Píše pamiętnik. Jest wyjątkowo piękna.

Janina Pejka – matka Joanny Pejki (Aiszy), pracuje jako włókniarka w jednej z łódzkich fabryk. Cały czas poszukuje kandydata na męża, zaniebuje córkę, którą uważa za konkurencję.

Maria Rosa – znana sopranistka, matka Celine Rosy. Poznajemy Marię, kiedy jest już starszą, głuchą, samotną i zgorzkniałą osobą. Nie umie pogodzić się ze stratą córki i końcem kariery. Jedynymi osobami, z którymi utrzymuje kontakt, są Jan Ogródnik i Julia, dziewczyna z sąsiedztwa.

Jan Ogródnik – sąsiad Marii Rosy, starszy człowiek, wdowiec, który nad życie kochał swoją żonę. Po jej śmierci całą miłość przełał na swój ogród, który zachwyca wszystkich w okolicy.

Andrzej Kołtun – dwudziestosześcioletni nauczyciel języka polskiego w lokalnej podstawówce. Uczy Aiszę, która początkowo się w nim podkochuje i pisze o tym w swoim pamiętniku. Mieszka z owdowiałą matką. Ojciec Andrzeja był alkoholikiem i osobą stosującą przemoc domową, pracował jako elektryk. Andrzej zakochuje się z wzajemnością w córce Marii Rosy – Celinie. Zostaje oskarżony o zabicie Aiszy i innej uczennicy, ośmioletniej Zuzanny, i skazany na karę śmierci. Wyrok zostaje wykonany.

Celina Rosa – córka Marii Rosy. W dzieciństwie i wczesnej młodości uczennica szkoły baletowej i obiecująca balerina. Gra na fortepianie. Wskutek wypadku samochodowego, w którym ginie jej ojciec, Celina doznaje urazu mózgu. Od tego momentu choruje na ciężką, lekooporną padaczkę. Poznajemy ją, gdy ma osiemnaście lat.

Julia – nastolatka, która mieszka w domu obok Andrzeja Kołtuna. Przygotowując projekt dziennikarski do szkoły, zaczyna interesować się morderstwami sprzed trzydziestu lat. Córka policjanta i terapeutki

zajęciowej. W wyniku przypadku zaczyna opiekować się starszą i coraz bardziej zniedołężniałą Marią Rosą. Julia marzy, żeby – jak ojciec – zostać policjantką. Koleguje się z Janem Ogródnikiem.

Marlena – przyjaciółka Julii, wyglądająca bardzo dorośle jak na swój wiek czternastolatka. Jej rodzice niedawno się rozwiedli, co sprawiło, że dziewczyna zaczęła się buntować. Nie może dogadać się z matką, a ojca widuje rzadko.

Adrian – trzydziestolatek, który wraz z żoną wprowadził się do domu po Andrzeju Kołtunie. Jest informatykiem. Z żoną starają się o dziecko.

Sybilla Zawada – matka Julii, czterdziestoczterolatka, terapeutka zajęciowa. Miłośniczka biegania. Stara się wychowywać jedyną córkę mądrze, w duchu bliskości.

Zawada – ojciec Julii, policjant oddany swojej rodzinie i pracy.

Marcin Poręcki – policjant, ojciec chrzestny Julii.

Krystyna Kołtun – matka Andrzeja Kołtuna, wdowa, emerytowana nauczycielka języka polskiego.

Pozostali bohaterowie

Adaś – brat Aiszy.

Kaśka i Monika – koleżanki Aiszy ze szkoły.

Zuzanna – ośmioletnia dziewczynka, która zostaje zamordowana zaraz po Aiszy.

Kazimierz Grzelak – konkubent mamy Aiszy, hydraulik.

Piotr Szmer – fotograf z okolicy.

Pani Iwona – szkolna pani pedagog. Pamięta czasy, gdy Andrzej Kołtun pracował w szkole, do której chodzi Julia.

Barbara Żuk – opiekunka PCK, zajmuje się Marią Rosą.

Barbara Ogródnik – żona Jana Ogródnika.

Pani Anna – wychowawczyni Julii.

Anka Gąska – mama Marleny.

Pan Juszcak – pracownik szkoły, do której chodzi Aisza.

Prolog

Czasami w najdziwniejszych snach nie wyśnimy tego, co może nam się przydarzyć. W naszym życiu pojawiają się ludzie – jak duchy z przeszłości. Jak widma, które zatruwają nasz sen. Buddyści twierdzą, że spotykamy tych, których mieliśmy spotkać, i że doświadczamy tego, na co zasłużyliśmy. To karma, a po naszymu: sprzężenie zwrotne.

I tak właśnie było z sąsiadem, który w przedziwny sposób uruchomił cały łańcuch wydarzeń. A może to wszystko było tylko przypadkiem i to dom sam zaczął odkrywać historię tego, kto przed laty w nim mieszkał? Buddyści mówią też, że przestrzeń jest informacją. Tylko trzeba umieć ją odczytać.

Część I

Przedmrok

Rozdział 1. Julia

Teraz. Sierpień 2018

Kiedy pierwszy raz go zobaczyłam, praktycznie nie zwróciłam na niego uwagi. Koleś o ciemnych włosach, który wraz z żoną zdecydował się kupić sąsiedni dom.

Budynek był na sprzedaż od blisko roku. Trochę już popadł w ruinę.

Dopiero niedawno dowiedziałam się, że wiąże się z nim mroczna historia, taka z dreszczykiem. W latach osiemdziesiątych na boisku przy szkole, do której chodzę, nieopodal naszego domu, znaleziono zamordowane dziecko. Tamtej dżdżystej, późnej jesieni jakiś potwór zabił dziewczynkę i zostawił jej ciało tuż obok górki. Natychmiast rozpoczęto śledztwo i poszukiwania potwora. Tylko że potwory wyglądają zupełnie tak jak normalni ludzie i bardzo trudno je znaleźć. Szczególnie że ten – jak się później, w trakcie śledztwa, okazało – był zupełnie poza podejrzeniem. Nauczyciel i szanowany sąsiad. Tak się składa, że mieszkaniec domu, który do niedawna był na sprzedaż. Został aresztowany, niestety jednak do tego czasu zdążył już zabić kolejne dziecko – ośmiolatkę idącą przez las do szkoły. I tak jednego dnia szanowany sąsiad okazał się podwójnym mordercą.

Kiedy kupowaliśmy nasz dom, nie miałam pojęcia, co wydarzyło się w naszej okolicy.

Całą historię opowiedziała mi jedna ze szkolnych koleżanek, która usłyszała ją od swojej babci. „Paskudnie się tu kiedyś stało – ta zamordowana dziewczynka, później obława i poszukiwania, i zrządzenie losu: mordercę złapali. Dostał karę śmierci”. Zastanawiałam się, czy w przypadku mordercy niewinnego dziecka to nie jest jedyna forma kary, która ma sens. Takie pytanie zadaje sobie pewnie każdy.

W necie na temat domu i mordercy nie znalazłam zbyt wielu informacji, wtedy spraw się tak nie nagłaśniało. Lata osiemdziesiąte to okres, który moja mama wspomina z nostalgią. Dla niej to fajny czas bez smyczy. Czas jej młodości.

Może gdyby dziewczynka z boiska nie żyła w latach osiemdziesiątych, tylko teraz, kiedy dzieci są pod większym nadzorem, nie chodziłaby wieczorami sama i nie dopadłaby jej ta bestia. Może, kto wie.

Często zastanawiałam się, jak można mieszkać w takim domu – w domu, w którym żył ktoś obrzydliwy. Szkoda, że nie znałam tej historii wcześniej i nie zapytałam o to wynajmujących go sąsiadów. Byli nowocześni i pewnie nie mieli by z tym problemów. Powiedzieliby, że każdy dom ma swoją historię, że w każdym coś się wydarzyło i że Wampir z Sąsiedztwa (jak go nazywano) nie zabijał przecież w ogrodzie czy w kuchni. Zabijał w terenie.

Nawet jeśli w terenie, to mnie czasami przechodzą ciarki na myśl o tym, że to właśnie ten dom. Dom obok mnie i mojej rodziny. Mieszkamy tu już jednak cztery lata i nigdy nic się nie wydarzyło. Nie widziałam upiorów, nie słyszałam złowieszczonego pohukiwania sowy. Nic nie wskazywało na obecność złego ducha poprzedniego właściciela.

Wydaje się, że nikt specjalnie nie interesuje się historią tych morderstw. Nawet moja matka, która jest taka ciekawska i zawsze węszy.

Ja tymczasem lubię stare historie, a szczególnie stare kryminalne historie. Najbardziej te o zabójstwach, fascynują mnie. Od dziecka kochałam czytać kryminały. Szkoda, że nie ma ich wśród szkolnych lektur.

I szkoda, że mam dopiero niespełna czternaście lat. Niektórzy twierdzą, że wyglądam na osiemnaście – tak powiedział jeden chłopak na plaży. Zapytał też, czy jestem Cyganką, bo mam takie piękne włosy.

Nie, nie jestem Cyganką, przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Romką jest jedna dziewczyna, z którą chodzę do klasy – Inez. Inez powtarzała klasę dwa razy, jest więc z nas najdoroślejsza.

Dorosłość to trochę pułapka.

Rozdział 2. Asia

Wtedy. Lipiec 1985
(z pamiętnika Asi)

Mówią na mnie Aisza. Tak naprawdę mam na imię Asia. Mówią na mnie Aisza, bo Bóg obdarzył mnie pięknymi długimi włosami. Podobno dzięki tym włosom wyglądam egzotycznie, i chyba jestem trochę egzotyczna jak na czternastolatkę z Łodzi. Podobno wyglądam młodziej. Młodziej niż na czternaście lat. Mama się cieszy, mówi, że mniej będzie ze mną kłopotu, bo po ojcu mam wrywny charakter, a z takimi nigdy nic nie wiadomo. Domyślałam się, o co jej chodzi, widzę, jak patrzą na mnie odwiedzający ją panowie. Robię wtedy wypad do drugiego pokoju i „już nie egzystuję”.

Na naszym osiedlu dużo się dzieje i dlatego zaczęłam pisać pamiętnik. Większość moich koleżanek nie pisze takich głupot dla nastolatek i pułapek na nastolatki – bo wiadomo, taki pamiętnik może wpaść w niepowołane ręce. Z moim, nawet gdyby wpadł w czyjeś łapy, nie byłoby problemu, bo zaczęłam go pisać niedawno i jeszcze nie ma w nim żadnych pikantnych szczegółów ani miłosnych historii. Tego nauczyciela dopiero poznałam.

Przyszedł do naszej szkoły we wrześniu. Na szczęście jeszcze rok będzie mnie uczył – jestem w ósmej klasie.

Dziewczyny szaleją za kolegami ze szkoły. Ja też szalałam, ale bardziej żeby nie wyjść na dziwadło. Kiedy pojawił się on, kiedy we wrześniu zobaczyłam go na boisku, poczułam, jak po całej skórze przechodzą mnie ciarki. Najpiękniejszą mężczyzną, jakiego widziałam.

Teraz wyjdę z psem i później jeszcze coś napiszę, albo i nie napiszę, ale muszę pisać, jeśli chcę prowadzić prawdziwy sekretny dziennik, prawda?

A coś mi mówi, że będzie o czym pisać. Hi, hi, hi.

Rozdział 3. Andrzej

Wtedy

Nie jest łatwo być nowym nauczycielem. W ogóle nie jest łatwo być nauczycielem w szkole podstawowej. Do tego potrzebna jest charyzma. Myślę, że ją mam.

Przeprowadziłem się do matki i teraz mam dużo bliżej do pracy. W zasadzie kilometr na piechotę. I zamiast mieszkać w ciasnym mieszkaniu na Dąbrowie, mieszkam w dużym domu. Po śmierci ojca i tak trzeba było podjąć decyzję o przeprowadzce do matki. Całkiem podupadła na zdrowiu, załamała się i nawet koty, którymi zaczęła się otaczać, nie mogły zapełnić pustki, która pozostała po ojcu. Kto by pomyślał. Matka taka była w te swoje koty zapatrzona. W koty i książki, którymi zawsze była otoczona. W końcu emerytowana nauczycielka, polonistka. Prawdziwa inteligentka. W dzisiejszych czasach takich ludzi aż tak bardzo się nie ceni; pewnie lepiej by jej było, gdyby wywodziła się z klasy robotniczej. Ale u matki można się doszukać prawdziwej błękitnej krwi. Ojciec zawsze twardo stąpał po ziemi. Twardo stąpał po ziemi i miał twarde pięści.

To dzięki niemu mieszkaliśmy w willowej dzielnicy lekarzy, prawników, sędziów i prywaciarzy. Ojciec był inżynierem, projektował kable elektryczne. Był geniuszem jak na swoje czasy. Potrafiłby zmienić lodówkę w telewizor i odwrotnie.

To, że zdecydowałem się studiować na uniwersytecie, wcale mu się nie spodobało. Widział mnie na politechnice. Niespełnienie oczekiwań naszych rodziców to jeden z wielu kroków w dorosłość. Rozczarowujemy ich, najczęściej.

W tym roku muszę solidnie przygotować się na pierwszego września. Pierwszy września 1985 roku będzie dla mnie ważnym dniem – zacznę pracę jako nauczyciel. Moją pierwszą, prawdziwą pracę, w prawdziwej, poważnej szkole. I nie tylko to – znów będę mieszkał z matką.

Gdyby ułożyło mi się z Karoliną, być może nadal mieszkalibyśmy razem... Ale nie wyszło nam.

Mam dwadzieścia sześć lat. Jestem dorosły. Sam powinienem być już ojcem, tymczasem ja wolę czytać. Mam ochotę po raz kolejny przeczytać moją biblię, czyli Nabokova.

Oczywiście skłaniam się też ku innym genialnym pisarzom, jak Dostojewski, Tołstoj. Duch rosyjskiej literatury jest mi niezwykle bliski.

Wszystko wydaje się mieć sens, układać w całość. Jest dobrze. Dom jest dobry, matce się poprawi, ja się odnajdę.

Rozdział 4. Julia

Teraz

Kiedy wracałyśmy z lasu, który otacza nasz dom i który był jednym z powodów, dlaczego zamieszkaliśmy w tej okolicy, zapytałam mamę, czy mogę zajrzeć do pana Jana, starego ogrodnika. Mieszka na końcu naszej ulicy, a jego dom otaczają dęby, hortensje i rododendrony.

To wyjątkowy dom – nie widać w nim żadnych okien, bo wszystko porasta bluszcz. Dom w zabudowie atrialnej. Kilka razy spotkałam pana Jana. Najpierw zaczęliśmy się ze sobą witać, potem grzebać razem w jego ogródku, pomagałam mu też wykopywać robaki, bo uwielbia łowić ryby. Ja jestem przeciwna jedzeniu ryb i ich łowieniu, bo jestem przeciwna jedzeniu zwierząt. Jak można mieć psa, kota czy chomika i równocześnie zjadać krowy, gęsi, dziki? To nie trzyma się kupy. Mówiąc brzydko: to jest do dupy. Całkiem do dupy.

Rozmawiamy z panem Janem o różnych ciekawych rzeczach; on zna się na pszczołach, robieniu nalewek i ziołarstwie. Poczęstował mnie kiedyś słodką bulwą, która smakowała jak ziemniak. Robi też zdrową czekoladę: miesza olej z kakao i dodaje miód. Pół godziny w lodówce i oto jest – najlepsza czekolada na świecie. Zdrowa, bez oleju palmowego i syropu glukozowo-fruktozowego. Zwracam na takie rzeczy uwagę od czasu, kiedy wyjechałam na obóz ekologiczny. Wszyscy na tym obozie troszczyliśmy się o siebie i otaczający nas świat. Świat jest taki ciekawy. To kopalnia historii. Najciekawsze są tuż za rogiem, tylko trzeba ich poszukać.

Matka myśli, że trochę zwariowałam, że odzywa się we mnie duch hipiski i już chyba czas, żeby wyciągnęła z szafy swoje stare dzwony. Ja tam w dzwonach nie chodzę. Wolę długie spódnice, kolorowe bluzki i błękitne kolczyki.

Kiedy jednak idę na spacer i nastawiam się na pomaganie panu Janowi w ogrodzie, to ubieram się po prostu wygodnie. Matka nie rozumie, że na tym osiedlu dzieci w moim wieku, które znam, jest garstka, a w środku lata bywa, że nie ma akurat nikogo – i tak właśnie jest teraz. Zostaje mi tylko pan Jan.

– Nie sądzisz, że to trochę dziwne, że wysiadujesz u naszego starego sąsiada, zamiast bawić się z dziećmi w swoim wieku?

– Dużo się od niego uczę. To ciekawy człowiek, na wszystkim się zna – odpowiedziałam.

– Jak ktoś się zna na wszystkim, to najczęściej nie zna się na niczym! – skwitowała mama.

– Widziałas jego ogród? Chyba nie kwestionujesz jego zdolności ogrodniczych? To byłoby głupie.

– Im starsza, tym bardziej przemądrzała. Zastanawiam się, czy ja też taka byłam w twoim wieku? Muszę zapytać babci. Ona trzymała mnie krótko.

– Mam już prawie czternaście lat. Co robiłaś, gdy miałaś czternaście lat? – zapytałam z ciekawością, kiedy skręcałyśmy z lasu prosto w naszą ulicę.

Mama zatrzymała się, rozpuściła włosy i ponownie spięła je w koczek.

– Co ja robiłam, mając czternaście lat? Chodziłam do ósmej klasy, tak jak ty.

– Ja dopiero od września idę do ósmej klasy – wtrąciłam.

– No, nie pamiętam swoich wakacji w wieku czternastu lat, ale przestałam już chodzić na karate i wizualnie zmieniłam się w kobietkę, dostałam nawet pierwszy okres. Nie powiedziałam o tym mamie i przez to sama skazałam się na ubóstwo menstruacyjne. Wtedy ten termin nie był jeszcze modny. Na okres mówiło się „ciota”. Teraz kobiety rozumieją swoją cykliczność, otwierają się na miesiączkę, uczą się, że jest wyjątkowym doświadczeniem, a nie wstydliwą przypadłością. Uganiał się za mną najładniejszy chłopak w szkole, ale to nie był twój tata. – Roześmiała się. – Nosiłam kitkę na czubku głowy i zakładałam podkoszulek na podkoszulek.

– Kłóciłaś się z babcią?

– Jeszcze wtedy nie. Zaczęłam się z nią kłócić, gdy miałam siedemnaście lat. Mam nadzieję, że ty nie zaczniesz. Że będziemy przyjaciółkami. – Mama skręciła do naszej bramy. – Jest osiemnasta. Wróc od pana Jana najpóźniej o dwudziestej, okej?

– Okej, okej. Jak nie będziesz mnie denerwować, to może uda nam się zostać przyjaciółkami. – Roześmiałam się i nie czekając, aż wejdzie do środka, ruszyłam do pana Jana.

Kątem oka zobaczyłam, że w domu obok drzwi garażowe są otwarte i stoi w nich sąsiad. Nowy sąsiad. Stał tyłem, ubrany w wiśniowy podkoszulek i dżinsy. Z wiertarką w ręce.

Odwrócił się niespodziewanie i spojrzał na mnie.

– A, to ty – dziewczynka z domu obok. Cześć, jestem Adrian.

– Cześć... – Zawahałam się, odpowiadając, bo chyba raczej powinnam powiedzieć: „dzień dobry”.

Ile może mieć lat? Trzydzieści? Trzydziestolatek jest już naprawdę dość stary. Mama ma czterdzieści cztery i nazywam ją „żywym, chodzącym trupem”.

– Fajnie się tu mieszka? – zagadnął jeszcze raz.

– Dość fajnie. To znaczy: spoko, spodoba wam się.

– Już nam się podoba. – Uśmiechnął się i wrócił do wiercenia. – I mam nadzieję, że za bardzo nie hałasujemy! – krzyknął za mną.

Nie odpowiedziałam.

Gadatliwy ten sąsiad. Poprzedni mieszkańcy byli naprawdę fajni. Agnieszka była taka śliczna, młodziutka, i dawała mi swoje ciuchy. Super się ubierała. Miała dwóch małych synków i męża. Szkoda, że przestali wynajmować sąsiedni dom. Za kilka lat byłybyśmy prawdziwymi przyjaciółkami. Tak czuję. A ci nowi to nawet nie mają jeszcze dzieci. Jak się urodzą, to będą wrzeszczeć i mnie budzić, i już mi się to nie podoba.

Zastukałam do drzwi pana Jana kołatką z lwem. Uwielbiam ją i chciałabym, żebyśmy też taką mieli, ale mama twierdzi, że nikt nie usłyszałby kołatania, bo nasz dom ma trzy piętra i musimy mieć zwyczajny dzwonek.

Pan Jan uważa, że to niepotrzebne i że on kołatkę słyszy, a nawet jak nie słyszy, to nie ma z tym problemu, bo mało ludzi go odwiedza. „Jak masz prawie pięćdziesiąt lat, to wielu znajomych już ci nie zostało” – mówi.

Jak na niego patrzę, to nie wierzę, że jest już tak archaiczny. Pięćdziesiąt lat to prawie jak sto. Że jeszcze może się schylać! Moja mama ma czterdzieści cztery lata i już całkiem siada jej kręgosłup. Dlatego ciąga mnie na te swoje spacerki. Jak nie pochodzi, to już się nie może ruszyć.

Pan Jan, kiedy grzebie w ziemi, używa starego, poczeriałego taborecika. To mu pomaga na kręgosłup. Mówi też, że jak w tym wieku nic nie boli, to znaczy, że człowiek nie żyje.

– Julia! – Ucieszył się. – Kopałem właśnie robaki. Nie wiem, czy będę miał siły jechać na ryby, ale zawsze warto wykopać. Mam też wodę z miętą prosto z ogródka. Dodałem cytryny i pomarańcze, jakbym czuł, że dzisiaj wpadniesz. Napij się, to bardzo zdrowe. Jesz pyłek pszczoły, który ci

zaleciłem? – zapytał, wprowadzając mnie do swojego przepięknego, choć małego ogrodu.

– Zapominam, ale czasem jem.

– Ten pyłek to są najlepsze witaminy. Jak mama chce schudnąć, to też niech przed śniadaniem zjada.

– Myśli pan, że mama powinna schudnąć? – Roześmiałam się, chwytając łąpatkę i zasadzając się na robaki.

– Wszystkie kobiety zawsze chcą schudnąć, ja też tego nie rozumiem. Twoja mama świetnie się trzyma. Młoda kobieta.

– Młoda? Jezu, ona ma czterdzieści cztery lata.

– Z mojej perspektywy to jeszcze dziecko. – Pan Jan roześmiał się i zobaczyłam jego sztuczną szczękę. Wyjątkowo proste białe zęby. Nawet ja w wieku czternastu lat takich nie mam.

– Z mojej mamy to jest już stara baba. Boli ją kręgosłup i w ogóle.

– Ja widzę, jak biega. Taka aktywna kobieta, bardzo ładna. – Puścił do mnie oko.

– E tam... Kopmy już lepiej te robaki.

Postanowiłam, że któregoś dnia zapytam pana Jana o dom obok naszego i o sąsiada, który mieszkał tam dawno temu. W wyszukiwarce wpisywałam różne frazy. „Zabójstwo na Radogoszczu” – żadnych wyników. Ale kiedy wpisałam frazę: „Lista osób skazanych na karę śmierci w Łodzi”, wyświetliło się. Poleciałam po datach: 1985 – Andrzej Kołtun skazany na karę śmierci za zabójstwo czternastoletniej i ośmioletniej dziewczynki.

Postanowiłam, że zbadam tę starą historię i zrobię o niej projekt na zajęcia dziennikarskie, które mamy w szkole. Zajęłam się jednak kopaniem robaków, piciem mięty i przycinaniem tui pana Jana – i zapomniałam. Mama mówi, że czasem miewam trudności, żeby skupić uwagę na jednej rzeczy. Pan Jan mówi, że powinnam trenować uważność. Że on tak robi i dlatego nie zwariował, i dożył dziewięćdziesiątki.

Rozdział 5. Maria Rosa

Teraz

Nienawidziłam hałasów. Lubiłam ciszę, ceniłam ciszę i zgrozą napawało mnie zakłócenie tej ciszy. Na szczęście dla siebie byłam zupełnie głucha. Właściwie: głucha jak pień.

Zastanawiałam się czasem, skąd wzięło się to powiedzenie. Czemu to akurat pień miał być głuchy? Nie miałam pojęcia. Coraz mniej już wiedziałam i coraz mniej pamiętałam. W tym roku miałam skończyć siedemdziesiąt pięć lat. Ceniłam sobie spokój i nie znosiłam towarzystwa, byłam samotna i wdzięczna losowi za tę samotność. Niechętnie wychodziłam z domu, z niechęcią też kilka razy w tygodniu przyjmowałam panią z PCK. Jej ruchliwość i wszechobecność przerażały mnie.

Sama nigdy nie byłam tak aktywna, nawet w młodości. Zresztą, nie pamiętałam już swojej młodości – skończyła się, kiedy miałam czterdzieści kilka lat. Osiwiałam w ciągu jednej nocy i do dziś nie ufarbowałam włosów. Nosiałam je spięte w ciasny kok.

Kiedy chciałam nawiązać kontakt z ludźmi, włączałam aparat słuchowy. Normalnie wyciszałam go. To wyciszenie nazywałam „strefą zero” i najbardziej lubiłam przebywać właśnie w tej strefie.

W domu ze szczelnie zamkniętymi oknami.

– Znowu, słoneczko, zapomniałaś przewietrzyć – powiedziała opiekunka.

Nienawidziłam, kiedy ktoś traktował mnie jak dziecko i mówi zdrobnieniami, udawałam więc, że nie słyszę – choć tym razem nie wyciszyłam dźwięku w aparacie.

Podaliśmy opiekunce kartkę z listą zakupów, do której metalowym spinaczem przypięty został banknot pięćdziesięciozłotowy.

– To chyba nie wystarczy, kochana. Tyle tych zakupów, a wszystko podrożało – nie żyjemy już w latach osiemdziesiątych – syknęła opiekunka, ale wzięła listę i pieniądze, i dysząc, zaczęła wsuwać nogi w brzydkie klapki.

– Jak wrócę, to trochę ci tu, słońce, posprzątam, bo sama to masz dwie lewe rączki – mruzczała pod nosem.

– Nie sprzątać, nie sprzątać, zakupy i do domu – wybełkotałam, nerwowo kołysząc się przy drzwiach. Źle znosiłam upały, a tegoroczne lato było wyjątkowo gorące.

– Ja muszę wykonywać swoje obowiązki. Ktoś przyjdzie do domu, zobaczy bałagan...

– Nikt nie przyjdzie, nikt nie przyjdzie. – Żeby się upewnić, że opiekunka zrozumiała, powtórzyłam te słowa dwa razy.

– No jak sobie chcesz, słodziutka, jak sobie chcesz – wymamrotała i wyszła po zakupy.

Zamknęłam za nią drzwi. Jedyne, na co miałam ochotę, to zaszyć się w pokoju, do którego tylko ja mogłam wchodzić. Klucz do niego nosiłam zawsze na szyi, żeby ta wścibska baba nie mogła tam zajrzeć i pohańbić mojego świętego miejsca.

Musiałam poczekać do wieczora. Wieczorem otworzę pokój kluczem, ale dopiero wtedy, kiedy zostanę zupełnie sama. Włączę strefę zero. Jeszcze bardziej odetnę się od tego, co na zewnątrz.

Rozdział 6. Julia

Teraz

Bardzo lubię plotkować z moją mamą, ona do tego wyśmienicie się nadaje. Z panem Janem jest trochę trudniej, bo on nie jest skory do plotek i wszystko trzeba z niego wyciągać. Świetnie plotkuje się także z opiekunką z PCK, która przychodzi do wielu starszych osób na naszym willowym osiedlu. „Willowe osiedle” to taki zwrot lamus – tak naprawdę to zwyczajne osiedle Leśna Przystań. Brzmi to trochę jak nazwa domu starców i, jakby się zastanowić, to jest to taki trochę dom starców. Dookoła wiele prawie stulatków – no, nie aż stulatków, ale na pewno staruszków. Mieszanka młodości i starości. Mama twierdzi, że to dobrze, że starość ma być widoczna i ma się mieszać z młodością. Bo młodość to witalność, a starość to często mądrość i doświadczenie, i jak te rzeczy się wymieszają, to świat jest lepszy.

Nie wiem, czy się z tym zgadzam. Świat wydaje mi się całkiem znośny, ale może to dlatego że mam normalnych starych – żadnych odjazdów. Nie jestem na nic chora i, o dziwo, nie jestem nawet na nic uczulona. Matka nie wciskała mi do łapy telefonu, gdy miałam trzy lata, żeby zajmowałam się sama sobą, raczej zawsze miała dla mnie czas. To w sumie śmieszne, że najpierw rodzic sam daje dziecku telefon, a chwilę później biadoli, że dzieciak jest uzależniony. Jeśli ma pretensje, to raczej powinien je mieć do siebie? Rodzice mojej przyjaciółki, Marleny, rozwiedli się w zeszłym roku. Marlena próbowała uciekać z domu i naprawdę jej odważyło. Matka zawlekła ją do psychologa. Po tym rozstaniu Marlena jest twardsza i bardziej zamknięta w sobie. Powiedziała, że nie wierzy w głupią miłość. Że ojciec niby tak matkę kochał, a poszedł za pierwszą lepszą suką.

Kundel. Mówi o ojcu „kundel”. Kiedy powiedziałam o tym mojej mamie, bardzo jej się ta terminologia nie spodobała. Trudno, życie nie zawsze ma się podobać, jest, jakie jest. Jak mówi pan Jan – jest, jak jest, i będzie, jak będzie. Bez sentymentów i rozpamiętywania.

Ja się jednak cieszę, że mój tato nie jest kundlem i nie ugania się za sukami, choć mama jest już taką staruchą.

Ojciec chyba naprawdę matkę kocha. Podobno zakochał się w niej, gdy zobaczył ją pierwszy raz. Wysiadła z samochodu, szła przez trawnik z rozwianymi włosami i wydała mu się najpiękniejszą kobietą na Ziemi. Dobrze, że mają takie romantyczne wspomnienia. Lubię słuchać ich starych historii. W sumie te historie nie są jeszcze aż tak strasznie stare...

Ale wystarczająco stare.

Pogoda się kiepsci, ale upał nie zelżał. Dobrze, że mieszkamy w lesie, bo drzewa – oprócz żuków i pajaków – dają nam też przynoszący ulgę cień. Wystarczy, że pozwolimy drzewom rosnąć, a uratujemy nasz świat. To już ostatni dzwonek, żeby to zrozumieć.

Kocham przyrodę. Być może nawet kocham ją bardziej niż inni i nie uważam, że powinna nam służyć. Uważam, że powinniśmy współistnieć w symbiozie, bo jesteśmy jej częścią.

Każde ogniwo jest ważne.

– Chcesz coś do jedzenia? Jesteś głodna? – Matka weszła do domu. Włosy miała upięte w ten swój dziwaczny koczek. – Ojciec już wrócił?

– Ojciec w pracy, ty w domu. Zrób mi jakąś niespodziankę. Nie jestem bardzo głodna, ale mogę coś zjeść – odpowiedziałam, patrząc, jak wchodzi po schodach i zabiera się do mycia rąk.

– Odgrzeję wczorajsze spaghetti.

– Za gorąco na spaghetti. Może kisiel?

– Kisiel na obiad? No okej... – Mama po powrocie z pracy zwykle gada sama do siebie. To znaczy niby mówi do mnie, jakby nie zgadzała się z moją propozycją, ale później najczęściej robi wszystko dokładnie tak, jak ja tego chcę. – Jak ci się podobają nasi nowi sąsiedzi? – zapytała i jak zwykle wcale nie oczekiwała, że jej odpowiem. Wywaliła za to tyradę: – Ja jestem nimi zachwycona, tacy mili ludzie. Wymodliłam sobie takich sąsiadów. Dobrze im z oczu patrzy.

W sumie są mi obojętni. Szkoda, że nie mają żadnych dzieciaków.

– Mamo, ale ty wszystkich lubisz. Nie widzisz, że ludzie mają wady. Każdy jest taki wspaniały. A później się okazuje, że nie do końca... Mnie sąsiedzi są obojętni, żałuję tylko, że Agnieszka się wyprowadziła. Ona była super.

– Była super, ale jej mąż już nie. Niby wszystko fajnie, ale ze schodów potrafił ją zrzucić... Strach mieć takiego chłopca. I strach, że ona, mając małe dzieci, godziła się na coś takiego.

Matka postawiła na stole dwa kubki z kisiem.

- Jaki to smak?
- A nie wiem, wyrzuciłam już opakowanie.
- Agnieszka może kiedyś od niego odejście, podobno uspokoił się po ich wyprowadzce z naszego osiedla, może to był taki epizod? Nie zrzuciłaś nigdy taty ze schodów? – Uśmiechnęłam się.
- Wyobraź sobie, że nigdy! On mnie zresztą też nie zrzucił. A mówią, że policjanci są agresywni.
- No, na pewno nie tata! Zero agresji. Chodzący spokój.
- Jak było wczoraj u pana Jana? Robaki wykopane, ogród obrobiony?
- Tak, sprawa ogarnięta. Narzekał na opiekunkę z PCK. Podobno straszna prostytutka.
- Może ty zacznij mu pomagać, zakupy zrób – choć nie wiem, czy też nie okazesz się prostytutką. Nasz pan Jan jest wymagający, kto by pomyślał...
- Mogę mu to zaproponować, ale to jest duża odpowiedzialność. Zakupy to jeszcze mogłabym odwalić, ale nie lubię sprzątać.
- Odwalić to się można od kogoś, a zakupy się robi. – Matka powiedziała do mnie tonem językowej purystki.
- Przestań już głądzić! – Zaśmiałam się.
- No, to co myślisz o nowych sąsiadach? Ten pan Adrian to nawet taki całkiem, całkiem. Ona zresztą też ładna. I drzew w ogródku nie powycinają, bo już z nimi o tym rozmawiałam: że się bardzo kurzy od drogi i że jak wytną, to sobie ściągną na głowę okropny kłopot.
- Oni mają w ogrodzie sadzawkę, myślisz, że ją zakopią? Od tej sadzawki to tylko pełno komarów.
- Julka, tu zawsze będzie pełno komarów. Tereny bagienne, czytałam o tym. Tu były takie sadzawki, nim wybudowali nasze domy. Bagna musieli suszyć. Dlatego teraz jeszcze jest tyle żab i ślimaków.
- I dzięciołów!
- Dzięcioły z bagnami nie mają nic wspólnego, moja ty biolożko!
- Ble, ble, ble... Moja mama wszystko wie.
- Przyniosłam artykuł. O Bagiennych Ludziach. Podobno dawno, dawno temu na tych terenach panował kult bagiennych. Nie wiem, na czym polegał, ale się dowiem.
- Pewnie straszna nuda – wymamrotałam.
- Straszna nuda to jesteś ty. – Matka umyła nasze kubki i włączyła telewizor.

Nie obraziłam się. Staramy się na siebie nie obrażać, a nawet jeśli się pokłócimy – to musimy się przed zachodem słońca pogodzić.

Moja matka na starość robi się religijna, a tak podobno radzi papież Franciszek.

My z ojcem nie jesteśmy religijni. To nas do siebie upodabnia. I jeszcze to, że ja również chciałabym być w przyszłości policjantką. Łapać tych skurwieli i ich zamykać.

Rozdział 7. Asia

Wtedy. Wrzesień 1985

(z pamiętnika Asi)

– Magister Kołtun może nas już nie uczyć polskiego. – Monika powiedziała to na pierwszej lekcji i przyprawiła mnie o palpitacje. Nie wiem, co to są palpitacje, ale to chyba coś z sercem. Przeraziłam się, bo najbardziej czekałam na pierwszą lekcję z nowym nauczycielem. – Jeśli nie Kołtun, to Ciupała. Podobno dyrektor teraz decyduje. Moja mama jest nauczycielką i tak mi mówiła. – Monika nie dawała za wygraną, a ja przeżywałam katusze.

– Kołtun wpadł w oko Aiszy! – Kaśka się zaśmiała.

– Weź się! Chyba tobie! – odburknęłam.

I taki to był poranek drugiego września, mój kochany pierwszy pamiętniku.

Czy takie rzeczy widać? Czy coś się we mnie zmieniło tylko dlatego, że on stanął na mojej drodze? Nawet nie wie o moim istnieniu, bo chyba jeszcze mnie nie zauważył. A może zauważył, bo jestem ładna, jestem jedną z najładniejszych dziewczyn w szkole? Tak mówią dziewczyny, ale ja za bardzo w to nie wierzę. Jestem chuda i nie mam w ogóle cycków, i wyglądam na jedenaście lat, a nie na prawie czternaście.

Wpatrywałam się w niego jak zaklęta. Nazwisko ma średnie, to prawda, ale co tam nazwisko. Asia Kołtun. Brzydko. Szczególnie biorąc pod uwagę te moje długie, kręcone włosy.

Ale Kołtun mi pasuje. Często miewam kołtun. Matka mówi, że trzeba obciąć włosy i problem się skończy, ale ona ma brzydkie, mysie i cienkie włosy, które zresztą są krótkie. Zastanawiam się, jak to możliwe, że ojciec zainteresował się nią, że kolesie nadal się nią interesują. Stara i brzydka.

Trzydzieści cztery lata. Co za próchno.

Zazdrości mi, jak nic, że ci wszyscy jej kolesie to bardziej się na mnie gapią. Dlatego jak przychodzą, to od razu na rower mnie wysyła, na podwórko, do koleżanki.

Żeby tylko dawała mi jeszcze jakąś kasę na lody albo oranżadę... Ale u nas w domu z kasą jest cienko.

Zawsze na wszystko brakuje, a mam jeszcze małego brata, który nie rozumie, że jesteśmy biedni.

Ja tymczasem muszę to rozumieć.

Szkoda, że ojciec nas zostawił. Zawsze wyobrażam sobie, że odjechał ze swoim taborem, widzę go, jak powozi wóz konny i słyszę, jak w tych wozach inni Cyganie grają na harmoniach i gitarach, i śpiewają. Edward Delimata – najbardziej wyklete przez matkę imię i nazwisko. I choć mnie uznał, to noszę nazwisko matki – Pejka.

Po ojcu mam głos i słuch. Chcieli mnie nawet wziąć do szkoły muzycznej, ale matka powiedziała, że tak, jak jest, jest dobrze, i że nie będę zmieniać szkoły.

Nie wychylaj się, Aisza, zajmij się nauką, a nie głupotami. Po ojcu to masz, ten wiatr we włosach i poszukiwanie przygód.

Ciekawe, gdzie teraz jest mój ojciec. Czy o mnie myśli. Matka nie jest zbyt rozmowna, zbywa mnie, kiedy o niego pytam.

Widzę, że stara się znaleźć mi jakiegoś nowego tatusia. Ale jakoś jej się nie udaje żadnego przy sobie utrzymać.

Jeśli jutro okaże się, że pan Andrzej Kołtun jest naszym polonistą, to przez tydzień nie powiem brzydkiego słowa i w niedzielę pójde do kościoła. Będę chodziła do kościoła przez miesiąc.

Rozdział 8. Andrzej

Wtedy

Dzwoniłem do Krystyny – wypilem za dużo i zadzwoniłem w środku nocy. Powiedziała, że jestem uzależniony od matki i że nie chce być w związku z kimś takim. Ona nic nie rozumie.

Nie rozumie, że byliśmy z matką w tym wszystkim razem. Jakie trudne było życie z moim ojcem. Że oczywiście utrzymywał dom i nas, ale wymagał bardzo wiele, wymagał posłuszeństwa, a jak posłuszeństwa nie było, to potrafił nas bić. Matkę i mnie.

Nie chcę całe życie uzalać się nad sobą. Wybieram inną drogę. Biorę sprawy w swoje ręce. W jakimś sensie cieszę się, że ojca już z nami nie ma. Matka jest taka samotna, tylko sąsiadka czasem ją odwiedza. Wie o awanturach, wie, przez co przeszliśmy. Ona też dostała od życia za swoje. Wypadek męża i córki. On zginął, córka cudem przeżyła, ale miała ciężką padaczkę pourazową.

Jeśli można było mówić, że Maria Rosa to piękna kobieta, trzeba było spojrzeć na kilka lat ode mnie młodszą Celinę. Najdelikatniejsza istota na świecie, wcześniej była tancerką. W zasadzie, kiedy tu jeszcze mieszkałem, nie widywałem jej zbyt często. Była zawsze w szkole baletowej. Kiedy szła ulicą, ten jej zwykły krok był jak taniec. Celina mogła przetańczyć życie, a zamiast tego ma kłopoty z błędniakiem i zniszczoną część lewego płata mózgowego, podobno odpowiedzialnego za stany depresyjne. Co chwilę dopada ją atak padaczki i w zasadzie rzadko wychodzi z domu. Większość tych rzeczy wiem od matki, która jak nikt inny interesuje się życiem sąsiadów. Ma na to czas. Teraz ma czas na wszystko, i prawo do decydowania o sobie, które wcześniej odebrał jej mój ojciec. Do dziś pamiętam, jak kończył obiad i wtedy, bez pytania, nabierał sobie jedzenie z talerza mojego i matki. Kiedy próbowałem zasłonić swój posiłek, kłut mnie widelcem w łokieć. Posiłki nam się nie kleiły.

Marię Rosę pamiętam jeszcze z czasów sprzed wypadku męża i córki. Wtedy to była zupełnie inna kobieta – zadbana czarnulka. Teraz cały czas wygląda tak, jakby była chora. A ma pewnie czterdzieści lat.

I pomyśleć, że kiedyś mi się podobała.

Historia rodziny Rosów to dobry materiał na książkę. Chciałbym kiedyś napisać dobrą książkę. Zostać poczytnym autorem. Tylko żeby być poczytnym autorem, to trzeba najpierw coś przeżyć.

Niespełnioną miłość mam już zaliczoną. Krystyna. W książce, gdybym występował jako bohater, nie chciałbym jednak być nudnym mięczakiem, który trzyma się maminej spódnicy. Wolałbym być buntownikiem, jak Dean Moriarty.

Jest taki cytat z Demokryta: Nie żyjemy tak, jak chcemy, lecz żyjemy tak, jak potrafimy.

Rozdział 9. Julia

Teraz

Wszyscy słyszeli już o zaginionej opiekunce.

Miła, witalna pani w wieku pięćdziesięciu sześciu lat.

Matka nabrała wody w usta, a poszukiwania trwają. We wszystkich wiadomościach podają informację o zaginięciu Barbary Żuk.

Szukają jej mąż, dzieci i policja.

Ojciec też nie chce ze mną o tym rozmawiać. Mówi tylko, że czasami złe rzeczy przytrafiają się dobrym ludziom.

Pewnie nie zainteresowałabym się całą sprawą, gdyby nie to, że to jest ta opiekunka. Opiekunka PCK z naszego osiedla.

Pan Jan też był przesłuchiwany w tej sprawie. I też nie chce nic mówić. On jej nie lubił. Ale nie wystarczy kogoś nie lubić, żeby zrobić mu krzywdę.

Ojciec dziś był wyjątkowo gadatliwy: – Sprawdzamy rozpiszę poszukiwanej Barbary Żuk. Mąż przywiózł nam jej kalendarz. Wynika z niego, że w ciągu ostatnich trzech dni miała odwiedzić sześć osób, w tym dwie z naszego osiedla: pana Jana Ogródnika i starszą panią, która mieszka kilka domów od nas, jak ona się nazywa... Aha, pani Rosa! Z Rosą i Ogródnikiem już rozmawialiśmy. Była tam, tak jak miała być, u Rosy nie posprzątała, bo Rosa nie chciała. Ta kobieta ledwo się rusza i prawie nic nie słyszy, naprawdę nie może zostać bez opiekunki. Trudno się z nią porozumieć, cały czas wykrzykuje tylko: „Co? Co? Nic nie słyszę, pan powie jeszcze raz!”.

Uwielbiam słuchać o jego sprawach, ale rzadko mnie wtajemnicza, bo jestem za młoda, jestem jego córką i nie jestem z policji.

Tata brzydzi się plotkami. Mówi, że z plotkowania jeszcze nigdy nic dobrego nie wynikło, wprost przeciwnie. Interesują go fakty i dowody, i nic więcej.

– Szukamy jej od trzech dni, dokładnie od siedemdziesięciu dwóch godzin. Zostało jeszcze jedno mieszkanie do sprawdzenia, na Teofilowie.

Dzwoniliśmy, ale cisza. Trzeba pojechać i wyważyć drzwi. Osoba, którą zaginiona się opiekowała, jest niechodząca.

– Myślisz, tato, że pani Żuk może tam być?

– Myślę, że nie. Może uciekła. Może doznała amnezji. Obdzwoniliśmy już wszystkie szpitale, jest w nich kilka osób o nieustalonej tożsamości, wiekowo by pasowały, sprawdzamy to. Pani Żuk nie zapadła się pod ziemię, córeczko. Gdzieś jest.

– Pytanie tylko, czy żyje, tato.

– To już nie jest twoja sprawa. Mam nadzieję, że wszystko będzie miało szczęśliwe zakończenie. Może czas zacząć czytać lekturę? Za dwa tygodnie koniec laby, Juleczko.

Wiedziałam, że więcej już od ojca nie wyciągnę, poszłam więc na górę, do swojego pokoju, i cicho zamknęłam za sobą drzwi. Usiadłam na łóżku i sięgnęłam po iPoda.

Weszłam na Facebooka i wpisałam imię i nazwisko opiekunki: „Barbara Żuk”. Pojawił się jej profil.

Rencistka z Łodzi.

Kilka zdjęć miasta, dwa zdjęcia pani Żuk. Śmieszne historyjki na profilu, którego tylko część była dla mnie widoczna. Widywałam ją. Spotkałam ją u pana Jana. Zdarzało nam się rozmawiać.

Biedna kobieta. Pewnie przytrafiło jej się coś okropnego. Bo kto wychodzi i nie wraca przez trzy dni? Ktoś, kto nie może wrócić.

Rozdział 10. Julia

Teraz

– Nie chcę cię denerwować – powiedziała mama – ale znaleźli tę opiekunkę. Panią Żuk.

– Żyje?

– Niestety nie. Poszła do swojej podopiecznej i tam, u niej, umarła.

– Śmiercią naturalną? – zapytałam.

– Nie rozumiem?

– Czy to była śmierć z przyczyn naturalnych?

– Wygląda na to, że tak. Najprawdopodobniej niewydolność krążenia. Podobno leczyła się na serce, cierpiała na astmę, a te upały są zgubne dla sercowców. Cztery dni leżała w tym mieszkaniu. Policja znalazła obie. Na szczęście leżąca podopieczna miała koło siebie wodę i suchary, bo też mogłaby nie przeżyć. Córka odwiedza ją w weekendy. Przyjechałaby dopiero w piątek i zastałaby... Strach mówić.

– Nie, nie strach, mów... To znaczy – jest mi bardzo przykro, że pani Żuk umarła... Dobrze, że nikt jej nie zamordował. Podejrzałam morderstwo.

– Muszę porozmawiać z twoim ojcem i zabronić mu wtajemniczenia trzynastoletniego dziecka w najmroczniejsze historie. Jak można być tak nieodpowiedzialnym! Stary i głupi. – Matka była wyraźnie zdenerwowana.

– Ja już nie jestem dzieckiem, a poza tym teraz dzieci nie chowa się pod kloszem. Świat jest, jaki jest. Jak będziecie mnie przesadnie chronić, to gdy zacznę tego świata doświadczać, umrę na zawał w wieku szesnastu lat. Zawsze powtarzasz, że trzeba mówić prawdę, podkreślasz, jaka jest ważna w kontaktach międzyludzkich. – Usiadłam przy kuchennym stole i spijałam resztkę wody ze stojącej na stole szklanki.

– To wszystko prawda, ale tak niefrasobliwie mówisz o śmierci...

– Codziennie o niej czytam i słyszę. I naprawdę bardzo mi żal tej pani i jej rodziny. I wszystkich, którymi się zajmowała. Zastanawiam się nawet, czy nie zaoferować swojej pomocy pani Marii, mieszka tak blisko. Pan Jan mówi, że ona ma siedemdziesiąt pięć lat. Prawie nie wychodzi. Mogę robić jej zakupy do czasu, aż nie znajdzie nowej opiekunki.

Czekałam na to, co powie matka.

– Brzmisz jak dorosła i rozsądna osoba. Tylko że to jest odpowiedzialność. Jeśli powiesz, że będziesz, to musisz być, i nie wolno ci zgubić pieniędzy, które da ci ta pani. Nie chcę dokładać do tego interesu.

– Ja niczego nie gubię, mam. Poproszę pana Jana, żeby poszedł ze mną do tej starszej pani, ona podobno nikogo nie wpuszcza.

– Takie czasy, że strach drzwi otwierać, jak się jest starym, niedołącznym i mieszka się samotnie. Nawet w tak miłej dzielnicy jak nasza.

Wstałam i podeszłam do mamy, która przygotowywała sobie kanapki. Uszczknęłam kawałek żółtego sera i zdziwiłam się, że nawet mi smakuje. Nie lubiłam żółtego sera.

– Ta dzielnica nie zawsze była taka miła, mam. Nie wiem, czy wiesz, ale grasował tu swego czasu morderca dzieci. – Patrzyłam, jak oczy mamy rozszerzają się w niedowierzaniu. – Poczytaj sobie w necie. Andrzej Kołtun. Skazany w latach osiemdziesiątych na śmierć za zabicie dwóch dziewczynek. Pierwsza ofiara miała czternaście lat... a druga osiem... – Matka patrzyła na mnie jak na UFO.

– Czytasz głupoty, Julio. Mieszkamy w tej dzielnicy od lat, a w tym domu od czterech, i nigdy, przenigdy nie słyszałam tej historii.

– Wystarczy poczytać. Jest mało informacji, bo to stara sprawa, ale jakieś są.

– Zaczynaj czytać jakieś mądrzejsze rzeczy, a nie łódzki pitawał...

– Chciałam ci jeszcze powiedzieć, że ten Kołtun mieszkał nie gdzie indziej, ale w domu obok. Był naszym sąsiadem.

– Julia, w necie jest tyle bzdur! A nawet jeśli to prawda, to ten Kołtun nie był naszym sąsiadem. Byłby nim, gdybyśmy tu mieszkali trzydzieści lat temu.

– Mnie ta sprawa interesuje i zapewniam cię, że nigdy nie zamieszkałabym w domu z taką historią. Dziwię się, że pan, jak mu tam... Adrian, nasz nowy sąsiad, kupił ten dom i wprowadza się do niego z żoną. Jak ich tak zachęcałaś do kupna, trzeba im było opowiedzieć tę historię, ciekawe, czy by się zdecydowali.

– Ja nie znałam tej historii. Zakończmy ten temat, dobrze, Julio? – Kiedy matka mówiła do mnie tak poważnie i z taką emfazą na „Julio”, wiedziałam, że czas skończyć rozmowę. Porozmawiam o tym z moją przyjaciółką, jak tylko Marlena wróci z wakacji.

Wstałam od stołu i ruszyłam do swojego pokoju.

- Pamiętaj, żeby jutro posprzątać – na sobotę zaprosiłam naszych nowych sąsiadów. Chcę ich lepiej poznać.
- Sąsiadów dobrze jest lepiej znać – wymamrotałam i zniknęłam w pokoju na górze.

Rozdział 11. Maria Rosa

Teraz

Kiedy ktoś dzwonił do drzwi, na ogół tego nie słyszałam – na co dzień albo zupełnie nie nosiłam aparatu, albo go wyciszałam. Tym razem jednak zbombardowało mnie bardzo głośne i natarczywe dzwonienie.

Pomyślałam, że to musi być policja; policja już kilka razy mnie niepokoiła w sprawie tej zaginionej i, jak się okazało, zmarłej na serce opiekunki. Miałam szczęście, że opiekunka nie wyciągnęła kopyt u mnie w domu. To byłby dopiero zbędny stres, a w domu zaroiłoby się od niepotrzebnych ludzi. Policja, lekarze.

Policjant bardzo naciskał, żebym na co dzień miała włączony aparat – w razie potrzeby kolejnego przesłuchania. Sąsiad Jan powiedział jednak, że najprawdopodobniej kolejnych rozmów z policją już nie będzie, bo sprawa okazała się jasna. Kobieta zmarła na niewydolność krążenia, nikogo po sądach ciągać nie będą.

Jan powiedział, że ma dla mnie dziewczynkę do pomocy, bliską sąsiadkę, sprawdzoną osobę, która od miesięcy pomaga mu w ogrodzie.

Nie spodobał mi się pomysł wpuszczania kolejnej obcej osoby do domu, ale wiedziałam, że sama nie poradzę sobie z noszeniem zakupów. Mogłam raz na jakiś czas wyjść na spacer, wcześniej rano, nim robi się ciepło. Wcześniej rano nie było również ludzi, a ludzi unikałam od lat.

Kiedy więc ktoś zadzwonił do drzwi przed południem, pomyślałam, że skoro to nie policja, to może to być Jan z tą nową dziewczynką.

Powoli ruszyłam w stronę drzwi wejściowych. Były zamknięte na trzy zamki i dodatkową zasuwę. Opiekunka z PCK – niech jej ziemia lekka będzie – zawsze mnie straszyla, że jak coś się stanie, to przez tę zasuwę nikt z zewnątrz, nawet mający klucze, do mnie nie wejdzie. W ogóle się tym nie przejmowałam. Miałam już siedemdziesiąt pięć lat i tak naprawdę za bardzo nie chciało mi się żyć. Gdyby Bóg już mnie zabrał, to nie miałabym nic przeciwko temu. W końcu ile można męczyć się na tym świecie?

– Kto tam? – zapytałam, stając przy drzwiach. Przez małe zakratowane okienko widziałam głowę Jana, ale mimo to zadałam pytanie.

– To my, Jan i Julia. Otwórz proszę.

Otworzyłam powoli i bez entuzjazmu. Nie miałam ochoty wpuszczać ich do domu. Niechętnie wpuszczałam obcych, chyba że nie miałam wyjścia.

– Słyszysz nas? – zapytał Jan, wskazując na aparat.

– No tak, słyszę – odpowiedziałam.

– Dzień dobry! – krzyknęła o wiele za głośno dziewczyna, co bardzo mnie zdenerwowało.

– Nie drzyj się. Aparat mi pięknie, stracę resztki słuchu i taka będzie ta twoja pomoc – wysyczałam. – Nie zapraszam do środka. Zakupów potrzebuję trzy razy w tygodniu. Sprzątań nie chcę, sama sprzątam. Płacę piętnaście złotych tygodniowo. Nic nie utargujesz.

Dziewczynka patrzyła na mnie bez specjalnego zainteresowania.

– Julia będzie przychodzić, dopóki nie znajdzie się nowa opiekunka z PCK.

– Muszę jeść, więc nie mam wyboru. W drzwiach będę dawać listę zakupów.

– Dobrze – powiedziała. – Jestem pani sąsiadką, mieszkam pod numerem dwadzieścia sześć.

– Dwadzieścia sześć to obok dwadzieścia cztery. Znałam tamten dom. – Nagle się ożywiłam. – Dawno temu miałam tam koleżankę. Nieważne. Przyjdź po listę zakupów jutro o dziesiątej. Punktualnie. Do widzenia. – Zamknęłam drzwi.

Jeszcze przez chwilę obserwowałam Jana i tę dziewczynę przez firankę. Widać, że dobrze się rozumieli, robili nawet jakieś głupie miny. Pewnie się ze mnie naigrywali. Jedyne, co nam zostaje na starość, to naigrywanie się innych z naszej bezradności i samotności. A niech się naśmiewają, każdy kiedyś będzie stary. Prawie każdy. Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.

Pomyślałam o tym, że ta mała mieszka pod numerem dwadzieścia sześć. Dwa plus sześć to osiem. Lubiłam zliczać cyfry i tworzyć jednocyfrowe numery. Julia mieszkała obok tamtego domu. Poczułam, jak przeszedł mnie dreszcz. Na ciele miałam gęsią skórę. Dwadzieścia cztery. Dwa plus cztery to sześć. Tamten dom. Nie chciałam, by wspomnienia powróciły, a jednak w odmętach pamięci zobaczyłam jego twarz. Zła na siebie, poczłapałam do kuchni. Czas napić się ziół. Na uspokojenie skołatanych nerwów i łomoczącego serca.

Rozdział 12. Julia

Teraz

Pomyślałam, że ta stara jest wyjątkowo obleśna. Wiem, wiem, wstyd tak myśleć, ale nie polubiłam jej od pierwszej chwili i pan Jan to zauważył.

Jak tylko się z nią umówiłam, to od razu chciałam zawrócić i zrezygnować, ale pomyślałam, że jak jeszcze raz zadzwonię do drzwi, to wyskoczy na mnie i zepchnie mnie ze schodów.

– Trzeba być dobrym, nawet jeśli to się nie opłaca – szepnął mi pan Jan.

On potrafi mnie przekonać. Idąc do tej starej sąsiadki, naprawdę czułam poryw serca. Tylko że jak ją zobaczyłam – taką bladą, siwą, grubą – to się jej przestraszyłam.

Pan Jan zapewnił mnie, że nie taki diabeł straszny, jak go malują, i że jak poznam panią Marię, to zrozumie to stare porzekadło. Mam awersję do starych porzekadeł, bo matka cały czas nimi operuje.

– Od jak dawna mieszka pan na naszym osiedlu? – zapytałam sąsiada, żeby zmienić temat i jakoś się zrelaksować po nieprzyjemnej wizycie.

Stanęliśmy pod jego domem. Schylił się do liści łopianu, które porastały rabatki. Ściągnął z jednego z nich ślimaka i podał go mnie. Wie, że lubię ślimaki.

Kiedy się prostował, westchnął: „Starość”.

– Oj, już w latach dwudziestych mieszkał tu mój dziadek. Tutaj wszędzie były pola. Niewiele już z tego zostało. Część ziemi należała do nas, to znaczy do dziadków, część do Zuli, sporo ziemi mieli Kołtunowie, nie wszystkich już pamiętam. Pola, bagna i lasy – to tutaj było za dawnych czasów. Powoli wyprzedawało się ojcowiznę, ludzie kupowali działki, ktoś jakiś domek sobie postawił. Tak to było. Tam, gdzie stoi twój dom, to ja na grzyby chodziłem, będąc dzieciakiem... no tak, panie dzieju. Tutaj od dziadka zielarstwa się nauczyłem. Dla mojej żony dom zbudowałem. Ona tak kochała kwiaty, nawet bardziej niż ja. Pod jej ręką wszystko kwitło, szalało. Te kolory, te groszki, żółte lilie o zapachu tak silnym, że perfum nie trzeba było łać, te wszystkie kolorowe cyganki, białe konwalijki i ukochane piwonie. Najpierw takie niepozorne, a później cuda

w wazonach i na klombach. Hortensje moja małżonka też kochała. A kwiaty kochały ją. Wszyscy sąsiedzi nam zazdrościli. Nawet Maria Rosa przy naszym ogrodzie się zatrzymywała. To był wielki zaszczyt znać taką artystkę...

Spojrzałam ze zdziwieniem na pana Jana.

– Artystkę? Nie mówimy chyba o tej samej osobie. Nie o tej starej... Przepraszam – Ułożyłam usta w bardzo szeroki i nieszczerzy uśmiech, który miał wyrazić zawstydzenie i przeprosiny.

– A co ty sobie myślałaś? Patrzysz na nas teraz, a przecież my kiedyś byliśmy tacy, jak wy teraz: młodzi, silni, niektórzy z nas nawet sławni. Tak, Julio, Maria Anna Rosa była doskonale zapowiadającą się gwiazda opery. Jak śpiewała Toscę, to włosy dęba stawały. Była wybitną sopranistką. A jak wyglądała! Młodziutka, piękna czarnula, z oczami jak granaty. Jak spotykałem ją na osiedlu, to zawsze dyskretnie się za nią oglądałem. Zresztą, co ja tu będę gadać. W młodości wszyscy jesteśmy piękni, a na starość się zmieniamy. Ty też kiedyś się zmienisz, ale przed tobą jeszcze długa droga. Pamiętaj tylko o jednym – pani Rosa to wyjątkowa kobieta. Spotkała ją ogromna tragedia i później to już... Ech, nie ma co gadać.

Dlaczego pan Jan zawsze przerywa swoje opowieści w najciekawszym momencie? – pomyślałam. Ale nie miałam odwagi go cisnąć. Pomyślałam tylko, że może robienie zakupów dla pani Rosy nie będzie aż tak nudne. Że nie tylko spełnię dobry uczynek, lecz także dowiem się czegoś ciekawego. I co to, na Boga, jest sopranistka?!

Rozdział 13. Julia

Teraz

– Mamo, na pewno nie wiesz, kim jest nasza sąsiadka, ta, której od jutra zaczynam pomagać w zakupach! Zgadnij! – krzyknęłam jeszcze z dołu, rzucając ze stóp moje rozpadające się buty.

Mama siedziała przed telewizorem i oglądała wiadomości. Przyciszyła dźwięk i zdjęła nogi z ławy.

– Nie mam pojęcia, ale pewnie jest seryjną zabójczynią, bo widzę, że ostatnio takie osoby bardzo cię fascynują. Poszłaś do niej, spojrzałaś i wyczytałaś to z jej dzikich, szalonych oczu. – Matka zaczęła się śmiać.

Usiadłam obok niej na kanapie. Wyciągnęłam nogi na ulubionym, miękkim, szarym dywaniku.

– Cieszę się, że tak dobrze się bawisz, ale muszę cię rozczarować. Maria Anna Rosa – w tym momencie ostentacyjnie wyjęłam z kieszeni telefon i wyszukałam wiadomości o sąsiadce – z domu Kiesewetter, to bardzo znana gwiazda opery, urodzona dziewiętnastego lutego tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku w Grudziądzu. Polska śpiewaczka – sopranistka. Ukończyła średnią szkołę muzyczną w Toruniu, później przeniosła się do Gdańska i studiowała w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej. Jeszcze w trakcie studiów zdobyła trzy nagrody międzynarodowe – Tuluza, Bazylea, Paryż. Ukończyła ją w siedemdziesiątym trzecim roku, w klasie śpiewu solowego, u Barbary Igilkowskiej. W tym samym roku debiutowała w Operze Bałtyckiej – w tytułowej roli w Carmen. Potem jeszcze śpiewała tu i tam, nie będę ci czytać, bo pewnie cię to nie interesuje... W siedemdziesiątym piątym roku wyjechała z Gdańska i osiedliła się w Łodzi. Dwa lata później zaczęła występować w Ameryce, w San Francisco Opera. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku wypadek córki i kłopoty zdrowotne zakończyły jej karierę u szczytu sławy.

– Nie wiedziałam, że ta starsza pani była artystką, kto by pomyślał... Niesamowite. Wygrzebałaś naprawdę fascynującą historię, Julka. Brawo. Jestem pod wrażeniem i jestem dumna, że pomożesz tak wybitnej osobie...

– Ona jest prawie całkiem głucha, mamó. Jak to możliwe, że kiedyś śpiewała w San Francisco, w prawdziwej operze?! Biedna. Biedna kobieta. Pan Jan mówi, że jak zamieszkała na naszym osiedlu, to była onieśmielająco piękna. Nawet dziś, choć jest taki stary, to się nią zachwyca.

– Czasami wspomnienia są dużo bardziej kolorowe niż rzeczywistość, którą kiedyś przeżywaliśmy. Ale wierzę mu, że to musiała być bardzo fascynująca osoba. Może zaszczepi ci miłość do opery, bo jak byliśmy razem na Tosce, to nie wydawałaś się zachwycona.

– Mamó, to było trzy lata temu. Miałam dziesięć lat, byłam jedynym dzieckiem w Teatrze Wielkim prócz tych dzieci występujących na scenie, a w Tosce była scena gwałtu. Najpierw był gwałt, a później Tosca popełniła samobójstwo. Dziękuję, że zabrałaś mnie na tak fascynujący spektakl.

Mama zrobiła głupią minę, jakby chciała bronić sztuki i swoich dobrych intencji – że przecież, zabierając mnie na tę operę, chciała tylko dobrze: żebym się rozwijała, odchamiła i miała udział w życiu kulturalnym.

– Chciałam dobrze. Wyszło jak zawsze. – Zaśmiała się i objęła mnie za szyję. Położyłam głowę na jej ramieniu i przytulałyśmy się przez chwilę.

– Chwilo, trwaj – powiedziała cichutko. Wiem, że uwielbia te nasze wspólne momenty. Ja też nadal lubię być blisko niej. Choć jestem blisko niej coraz rzadziej. Dorastam.

– Chciałam cię zapytać, czy w tę sobotę, to znaczy jutro, Marlena może przyjść do mnie na noc. Wraca z wakacji, nie widziałam jej trzy tygodnie, okropnie za nią tęsknię. Wiem, że macie imprezę i że będą na niej nowi sąsiedzi, ale nie będziemy siedzieć wam na głowie, tylko u mnie w pokoju. Najwyżej, jak wy już się strasznie upijecie, zejdziemy na dół i trochę się powygłupiamy.

– Myślałam, że może ty pójdziesz spać w sobotę do babci, średnio pasuje mi jeszcze Marlenka u nas... – Mama zamyśliła się, jej twarz wyrażała niechęć. Uważała, że dzieci powinny mieć święty spokój i raczej nocować u babci, kiedy mama się bawi.

– Mamó, proszę, my już jesteśmy duże. Lubię chodzić do babci, ale nie widziałyśmy się z Marleną sto lat i zwariuję, jak jej nie zobaczę. Proszę, proszę...

– No dobrze. – Mama jak zwykle mi uległa.

– Dziękuję! Jesteś najlepsza!

Pomyślałam, że to będzie wyjątkowo udany sobotni wieczór. Czekałam na Marlenę. Była moją najlepszą przyjaciółką. Kolegowałyśmy się od pierwszej klasy. Czułam, że będziemy się przyjaźniły już zawsze. Że ta przyjaźń to jest właśnie to.

Rozdział 14. Asia

Wtedy. Październik 1985
(z pamiętnika Asi)

Uczy nas. I dzięki niemu każda lekcja jest wyjątkowa. Nie wiedziałam wcześniej, że tak uwielbiam polski. Staram się wyglądać na dziewczynę czytającą i inteligentną. Z Kaśką i Moniką (jestem pewna, że one też straciły dla niego głowę) prosimy, żeby polecał nam dodatkowe lektury. Polecił już dwie: Wichrowe wzgórza Emily Bronte i Władcę Much Williama Goldinga. Pierwsza lektura podobała mi się zdecydowanie bardziej.

Co za upiorna miłość! Ostatnio zrobiłam tak samo jak Heathcliff i Katarzyna z książki. Wyszłam z psem na pola za torami (ostatnio bardziej lubię wychodzić z psem, bo mam wtedy czas tylko dla siebie). Zamknęłam oczy, pomyślałam marzenie i spojrzałam w niebo – jeśli będzie piękne, to moje życie też, jeśli będzie mroczne, to i moje życie takie się okaże.

Niebo niby było normalne, ale dostrzegłam na nim czerwoną łunę. Przeszedł mnie dreszcz. Zawołałam Dukę i krokiem szybszym niż zwykle ruszyłam w stronę domu. Wypełniała mnie miłość. Miłość i strach. Przypominałam sobie, jak był dziś ubrany. Sztruksy i ciemny golf. Ma taką śniadą karnację. I te dłuższe, czarne włosy. Wygląda młodo. Zapytałyśmy, ile ma lat. Roześmiał się, pokazując te swoje cudowne zęby, troszkę się speszył i odpowiedział, że ma dwadzieścia sześć lat i rozumie, że w naszych oczach jest już zupełnie stary. „Wcale nie – powiedziałam, unosząc się na krześle. – Starym to się jest od czterdziestego piątego roku życia”. Roześmiałam się, a ze mną reszta klasy.

Dwadzieścia sześć lat to tylko o dwanaście więcej niż ja. Gdyby to zaokrąglić do dziesięciu... Mąż ciotki jest od niej o dziesięć lat starszy i jakoś żyją. To się da zrobić. Tylko muszę się bardzo postarać.

Muszę być nie tylko czytana i inteligentna, ale też atrakcyjna. Wczoraj pod nieobecność matki – była w pracy – wyjęłam z szafy jej nylonowe koszulki nocne z koronką. Najładniej wyglądałam w niebieskiej. Niebieski to jest mój kolor.

Tyle że w takiej koszulce nie pójde do szkoły. Znalazłam więc mięciutki sweter mamy, beżowy, z kwiatami przy szyi, do tego dobrałam granatową, dość obcisłą spódnicę i tak dziś poszłam do szkoły. Włosy związałam w luźny kucyk i nawet posmarowałam usta wazeliną, żeby je nabłyszczyc.

Użyłam też dezodorantu matki. Kupuje na bazarze zawsze ten sam, węgierski Action. Nic nie pachnie lepiej.

Dziś pan Andrzej – mój ukochany, mój wyśniony – obiecał pożyczyć mi swój ulubiony tomik wierszy Nerudy. Nie wiem, kto to jest, ale wyśledzę owego Nerudę w bibliotece.

Podeszłam po polskim do jego biurka, dziewczyny oczywiście czaiły się w pobliżu. Mały. Odrzucił na bok te swoje niesamowite włosy, schylił się do skórzanej teczki (jaka ta teczka jest ładna!) i powoli wyciągnął mały tomik. Kiedy mi go podawał, nasze dłonie zetknęły się, a mnie zaschło w ustach. Zawahałam się, ale nie cofnęłam ręki.

– Proszę, Aisza – powiedział i spojrzał na mnie tak jakoś dziwnie. – Neruda jest wyjątkowy. Mam nadzieję, że się do niego przekonasz. Że przekonasz się do poezji w ogóle, bo poezja jest według mnie najwyższą formą sztuki. W wierszu można, nie mówiąc nic, powiedzieć wszystko...

Stałam z tomikiem wierszy i wpatrywałam się w niego.

– Jeszcze coś, Aisza? – zapytał i znów spojrzał na mnie dziwnie. Jakby kompletnie mnie nie rozumiał. Jakby nie rozumiał, że ja nie chcę nigdzie odchodzić, że chcę obok niego stać, bo sama jego obecność sprawia, że jestem szczęśliwa. Że go kocham, tak jak on kocha Nerudę.

– Który wiersz to pana ulubiony? – wydukałam i poczułam, że się czerwienię.

– Zgubiłem się w nocy bez światła
twoich powiek, a kiedy ta noc mnie ogarnęła
ponownie się narodziłem:

Byłem panem własnej ciemności – wyrecytował.

– To cytat z Nerudy, bardzo znany. Zapisałem go w tym tomiku ołówkiem, Aisza.

Wydawało mi się, że wypowiada moje imię w taki niezwykły sposób. I kiedy już chciałam wyjść, złapał mnie za rękę.

– Ja też chciałem o coś zapytać. Dlaczego mówią na ciebie Aisza? Masz na imię Asia.

– Sama nie wiem, może dlatego, że jestem pół-Cyganką i imię Aisza bardziej do mnie pasuje.

– Teraz rozumiem. To świetne imię. Rzeczywiście bardzo do ciebie pasuje.

Zaczął pakować książki do swojej pięknej teczki. Zmusiłam się, żeby ruszyć do drzwi klasy. Tam czekały już Kaśka i Monika. Zaczęły dopytywać, po co tak długo siedziałam w klasie z panem od polskiego.

– Pożyczył mi książkę – wyjaśniłam.

Nie chciało mi się z nimi gadać. Chciałam ukryć się w lesie i nauczyć na pamięć wiersza o mrocznej nocy pod powiekami.

Muszę być ostrożniejsza, za chwilę każdy odczyta z mojej twarzy, że go kocham. A o tym może wiedzieć tylko on. Tylko on i ja. Przynajmniej na razie.

Rozdział 15. Julia

Teraz

W piątek rano zupełnie nie chciało mi się wstać. Zwykle wstaję dość wcześnie, ale w dzień zakupów dla sławnej niegdyś śpiewaczki o mały włos nie zasnęłam. Mama w pracy, tata w delegacji, zero psa, żeby obudził, tylko leniwy kot śpiący w moich nogach.

Zeszłam do salonu i włączyłam telewizor. Telewizja śniadaniowa. Zaraz po tym, jak wstałam, dostałam SMS od Marleny, że już jest i że jej stara jest do dupy. Że żałuje, bo u babci na wsi było genialnie i że poznała kogoś.

Super. Wszyscy kogoś poznają, tylko nie ja.

Tylko że ja nawet nie chciałam nikogo poznać. To jeszcze nie był mój czas. Byłam pewna, że Marlena zasypie mnie historiami o pocałunkach i nie wiem, czym jeszcze. Marlena zaczęła dorastać wyjątkowo szybko, a ja nie za bardzo chciałam, żeby nasze dzieciństwo się skończyło. W ukryciu zdarzało mi się bawić lalkami, ale z pokoju na wszelki wypadek pousuwałam już wszystkie lale i misie. Nie chciałam, żeby dziewczyny się ze mnie śmiały. Nie chciałam, żeby śmiała się Marlena. Mocno przeżywałam oddawanie kolejnych zabawek z dzieciństwa. Najpierw misie, później pluszowy koń. Ani się obejrzę, a na półkach będę miała już tylko książki. A ja tak lubię bawić się lego friends, laleczkami play mobile i moim tygrysem też. Tylko, że nikt nie może o tym wiedzieć. Ostentacyjnie przestałam nawet spać z moją ulubioną poduszką w koty. Chcę zademonstrować matce, że ja też dorastam. Że jestem jak Marlena, która od dwóch lat nie ma już w pokoju zabawek, tylko komputer i kilka plakatów na ścianie. To znaczy wiem, że ma jedną lalkę, ale upchniętą głęboko w szufladzie. Teraz najczęściej jeździmy na rowerach po osiedlu, bawimy się na siłowni, przebieramy w kolorowe ciuchy i robimy sobie makijaże.

Mama mówi, że będę miała na to wszystko jeszcze czas i że jestem taka ładna, że nie muszę się malować. Że mam bardzo długie rzęsy, przepiękne oczy i włosy.

Nie chcę przestać czuć się ładna i myśleć, że jestem gruba, bo – tak jak powiedział pan Jan – wszystkie kobiety tak myślą, nawet najzgrabniejsza dziewczyna, jaką znam, czyli Marlena.

Marlena pasjonuje się tańcem, potrafi zrobić szpagat, salto, stać na rękach. Jak zaczyna tańczyć, to wszystkie dziewczyny jej zazdroszczą. A wszyscy chłopcy się gapią. Marlena jest śliczna. Wysoka, z długimi, prostymi blond włosami i stalowymi oczami. Powtarzam jej, że mogłaby być modelką, a ona mówi, że się nad tym zastanowi, że może kiedyś. I że wydaje jej się, że jest za gruba. Chciałabym wyglądać tak jak ona. Dla mnie jest doskonała.

Popatrzyłam na telewizor i zobaczyłam, że dochodziła dziesiąta. Szybko założyłam spodenki i podkoszulek – ulubiony strój na lato – i wybiegłam z domu. Stara, to znaczy śpiewaczka, się zezłości.

Akurat z podjazdu wyjeżdżał srebrny samochód naszych nowych sąsiadów.

– Cześć! – rzuciłam od niechcienia, bo widziałam, że sąsiad na mnie patrzył.

– Spieszysz się gdzieś? – zapytał, jakby zadowolony, wystawiając głowę z samochodu.

– Tak, tak.

– Mogę cię podrzucić.

– Nie, nie, pa! – Pomachałam mu i pobiegłam, bo do domu pani Rosy miałam nie więcej niż dwieście metrów.

Wpadłam zdyszana na schody i wtedy drzwi się otworzyły.

– Zdążyłaś – powiedziała sąsiadka i podała mi, nie wpuszczając do środka, listę zakupów, torbę na kółkach (jak ja mam z czymś takim chodzić?!) i przypięte spinaczem do listy pięćdziesiąt złotych.

– Na liście są: ser biały z domkiem, masło, bułki grahamki – sześć sztuk, mleko, pięć pomidorów, sześć jaj i olej. Mam nadzieję, że sobie poradzisz.

Wydawało mi się, że pani Rosa tym razem patrzyła na mnie z pewnym zaintrygowaniem.

– Poradzę sobie. Powinam wrócić za pół godziny.

– Zostaw zakupy pod drzwiami, resztę pieniędzy wrzucić do skrzynki. Do zobaczenia w poniedziałek o dziesiątej – powiedziała i zamknęła drzwi.

Stałam chwilę, patrząc na listę. Zaskoczył mnie piękny, kaligraficzny charakter pisma. Rozglądając się na boki, zaczęłam ciągnąć za sobą wózek

starszej pani. Straszny wstyd. Żeby tylko nikt mnie nie zobaczył. Żebym tylko na nikogo nie wpadła.

Rozdział 16. Asia

Wtedy. Październik 1985

(z pamiętnika Asi)

Nie wiem, jak mam to opisać. Nie wiem nawet, czy chcę to opisywać. Stało się coś okropnego. I pomyśleć, że to miał być taki piękny dzień, a raczej wieczór. Czekałam na tę dyskotekę od września.

Przez cały tydzień dekorowaliśmy salę gimnastyczną. Wspinałyśmy się z dziewczynami na okna i starałyśmy się tę cholerną salę zaciemnić. Jak dyskoteka się zaczyna o osiemnastej, to jest jeszcze jasno, a kto chce tańczyć, kiedy jest jasno. Chyba tylko głupiec.

Zacieniałyśmy te szyby kawałkami materiałów i dużymi płachtami szarego papieru do pakowania. Tylko że ten papier najpierw trzeba było pomalować czarną farbą, a farby brakowało. Nieważne. Trochę się udało. Wuefista przygotował magnetofon, kasety i głośniki.

Nie wiedziałam, co założyć. W końcu zdecydowałam się na getry za kolano i dwa podkoszulki. Jeden, czarny, na spód i drugi, pomarańczowy, na wierzch. Włosy upięłam w wysoką kitkę. Założyłam też kilka kolorowych frotek. I klipsy matki. Takie duże, białe koła.

Włożyłam tenisówki i wypsikałam się dezodorantem Action.

Matka chciała wyjść do koleżanki, a ja powiedziałam, że nie zostanę z bratem, że tak bardzo chcę pójść na tę dyskotekę, że dostałam ostatnio piątkę i że to jest moja nagroda.

Matki to nie interesowało. Powiedziała, że zaczynam się włóczyć i że jak tak będzie dalej, to źle skończę. Tylko że ja się nigdzie nie włóczyłam. Wychodziłam na podwórko przed domem, na rower i na trzepak, i do biblioteki, i z psem na pola za torami, jak mi się chciało. Moja matka jest głupia i czasami jej nienawidzę, gdy tak gada. Ona kocha tylko mojego brata. Ja mogłabym nie istnieć. Gdybym nagle zniknęła, nikt by tego nie zauważył. A chciałabym, żeby moje zniknięcie zauważył chociaż on.

Rozpisuję się, a tak naprawdę chcę wyrzucić z siebie tę dyskotekę.

Dziewczyny po mnie przyszły. Monika wyglądała ślicznie, bo jest w ogóle bardzo ładna, tylko ma krótkie nogi. A Kaśka to inna bajka. Ona

jest gruba i cokolwiek na siebie założy, i tak nie wygląda dobrze.

Pomagałyśmy wuefiście z muzyką, ja prosiłam sto razy, żeby puścił Forever Young Alphaville, czy jakoś tak. Miałam tę piosenkę nagrą na kasecie. Odsłuchałam z milion razy. To moja piosenka. Jestem młoda i jestem zakochana, i czuję się tak, jakbym nigdy miała się nie zestarzeć.

A jeśli, to tylko przy nim. Przy Andrzeju. Kiedy tak po prostu piszę jego imię, to czuję się dorosła.

On jest całą moją przyszłością. Stojąc obok wuefisty, wypatrywałam w drzwiach sali gimnastycznej mojego polonisty. Zaczęłam się tak strasznie bać, że nie przyjdzie. Może w piątkowe wieczory widuje się z dziewczynami, a nie łązi na dyskoteki dla dzieci. Chociaż na polskim mówił, że pani dyrektor przydzieliła go do pilnowania nas w trakcie dyskoteki. I mówiąc to, tak pięknie się śmiał. Ja myślę, że on wie, że jesteśmy dużo bardziej dorośli, niż inni sobie myślą. Nie jesteśmy już żadnymi dziećmi, ale ósmoklasistami.

Czekałam godzinę, wypatrując go. Okazało się, że jest, ale w pokoju nauczycielskim, z panią od matematyki, taką młodą żołą. Odechciało mi się bawić, a miało być tylko gorzej. Około dwudziestej, kiedy stałam pod ścianą, nagle podszedł do mnie Maciek. Maciek to jeden z najładniejszych chłopaków w szkole. Dotychczas spotykał się na poważnie tylko z dwiema dziewczynami. Jest w równoległej klasie. Gdyby moje serce nie było zajęte, to pewnie ugięłyby się pode mną nogi. Ale nic takiego się nie stało. Nie chciałam odmawiać tańca i grano właśnie Alphaville... I to miała być moja, a raczej nasza piosenka. Przetkańczyłam ją w ciemnej sali gimnastycznej w ramionach Maćka. Mogłabym w zasadzie narysować ten taniec. Jego zapach (chyba też użył dezodorantu brata albo ojca). W sali było ciemno, migły tylko światełka przy sprzęcie grającym. Śliski parkiet pod nogami. A on mnie trochę za mocno przyciskał. Od tego poczułam się słabo. I byłam taka rozczarowana.

– Spotykasz się z jakimś chłopakiem? – zapytał mnie Maciek.

– Nie... – wysapałam, i najchętniej wyrwałabym się z jego objęć.

– A może chcesz ze mną chodzić? – powiedział to, zatrzymał nas w tym tańcu, dotknął mojej brody, zamknął oczy i poczułam jego usta na swoich. Pocałował mnie. I może jeszcze rok temu zemdlałabym z radości, ale nie teraz. To nie z nim chciałam się całować.

Odsunęłam głowę. Uznał pewnie, że się wstydzę, i jeszcze mocniej mnie przytulił... Forever young, I want to be forever young.

Kiedy piosenka się skończyła, szybko precisnęłam się między tańczącymi w stronę wyjścia z sali i korytarza. Gdy weszłam do toalety, dopadły mnie dziewczyny. Monika była czerwona z wściekłości.

– Wiedziałaś, że kocham się w Maćku, wiedziałaś, jak mi zależy, ale co to znaczy dla takiej cyganichy zakichanej! Jesteś obrzydliwa! – krzyknęła i popchnęła mnie na ścianę.

– Chodź, Monia, nie będziemy się z tą zakichaną cyganichą kolegować!

I kiedy tak wrzeszczały do siebie i wściekały się na mnie, w drzwiach damskiej toalety stanął on.

– Co się tutaj dzieje?!

– Niech pan jej zapyta!

– Cyganicha!

– Wasze zachowanie jest nie do przyjęcia. Szarpiecie i wyzywacie koleżankę. Poczekajcie na mnie przed pokojem nauczycielskim.

Dziewczyny, mamrocząc, wyszły na korytarz i zostaliśmy sami. On przykucnął przy mnie.

– Dzieciaki potrafią być okrutne, ale nikt nie ma prawa tak cię wyzywać. Jesteś moją najlepszą uczennicą. Jesteś mądra...

Rozpłakałam się. Najpierw zaczęła mi się trząść broda, później z oczu popłynęły łzy, chociaż tego nie chciałam. Nie jestem jakąś beksą. Ale nikt nigdy nie mówił mi takich rzeczy.

Zawsze byłam tylko problemem.

– Pan jest najlepszym nauczycielem. Najlepszym. Cieszę się, że pan tu jest...

I wtedy to się stało: przydługim rękawem swojego swetra wytarł mi oczy.

– Nie mam chusteczki, przepraszam. Żebyś przeze mnie nie miała jeszcze bardziej czerwonych oczu. – Zaśmiał się.

– Na pewno nie, nie przez pana.

– Już lepiej? Zostawię cię teraz i pójdę porozmawiać z dziewczynami. Dasz sobie radę?

– Zawsze sobie daję radę.

– Jasne, Aisza.

Kiedy zniknął za drzwiami, zdążyłam jeszcze krzyknąć za nim:

– Neruda jest wyjątkowy.

– Ty też. – Cofnął głowę do pomieszczenia i puścił do mnie oko.

Wracałam do domu szczęśliwa i nieszczęśliwa jednocześnie. Czułam się ponizona, ale czułam się też wywyższona. O takich rzeczach to tylko

w wierszu da się napisać. Może nawet spróbuję.

Rozdział 17. Julia

Teraz. Sierpień 2018

Naprawdę chciałam poprosić ojca, żeby pomógł mi zebrać informacje o Andrzeju Kołtunie, chociaż wiedziałam, że nie będzie chciał tego zrobić. To znaczy on zawsze mi we wszystkim pomaga i chyba nawet cieszy się, że tak jak on chcę pracować w policji. Może wolałby, żebym miała spokojniejszą robotę, ale sam wie, co to znaczy się nudzić, i nie chce takiego życia dla mnie. Bez ciekawych historii żyje się jak bez powietrza. Mama mówi, że jestem wścibska i ciekawska, i uparta, i że to mogą być dobre cechy, ale mogą też mi szkodzić.

Że o niektórych rzeczach lepiej nie wiedzieć, bo jak się wie, to trzeba coś z nimi zrobić.

Ja wolę wiedzieć i robić.

Jutro lepiej poznam nowych sąsiadów. Nuda. Zresztą – najważniejsze, że przyjdzie Marlena. Opowie mi o swoich wakacjach. Pisała do mnie i wrzucała foty na Instagram, ale na fotach wszystko wygląda perfekcyjnie, a przecież wakacje u babci na wsi nie mogą być aż tak kolorowe.

Kiedy Marlena siedzi na Insta i Fejsie, ja siedzę i przeczesuję Internet w poszukiwaniu zdjęć Andrzeja Kołtuna.

Wiem, że został skazany na karę śmierci i że wyrok wykonano w Łodzi. Jakoś dwa lata po złapaniu tego zwyrodnialca.

Wpisałam w wyszukiwarkę jego imię i nazwisko i poszukałam zdjęć. Było tylko jedno, jaka szkoda! Tylko jedna czarno-biała, niewyraźna fota. To zdjęcie z wizji lokalnej. Stoi w lesie – to musi być las za naszym domem, za torami. To tam zabił tę ośmiolatkę. Szła do szkoły. Jak matka mogła puścić dziecko samo do szkoły, wiedząc, że idzie ciemnym lasem?

Mama mówi, że w latach osiemdziesiątych inaczej wychowywało się dzieci, że było dużo wolności i swobody.

Na zdjęciu Andrzej Kołtun ma dłuższe, ciemne włosy, dziwne bokobrody i wąsy. Wysoki i szczupły. Czarne spodnie, jasny sweter w serek i lekka kurtka. Ręce ma wyciągnięte przed siebie i spięte kajdankami.

Postanawiam wydrukować sobie to zdjęcie.

Wydrukować i nakleić na wewnętrznych drzwiach szafy. Ojciec tam nie zagląda, a matka będzie musiała jakoś znieść moje prywatne śledztwo.

Moją głupią dziecięcą zabawę.

Szukam dalej.

Wampir z Łodzi i żeliwna kula. To tytuł artykułu w dzienniku łódzkim.

Jest połowa grudnia 1985 roku. W tym czasie Łódź ogarnęła nie tylko prawdziwa zima, ale również prawdziwa panika. Nie pisano o tym w gazetach, a i tak szybko rozeszła się wieść, że na północnych obrzeżach miasta, tuż przy granicy ze Zgierzem, grasuje wampir. Kim był człowiek, który zabił ośmio- i czternastoletnią dziewczynkę?

Wróćmy do ostatniego dnia listopada, kiedy zamordowana została pierwsza ofiara. Palacz ze szkolnej kotłowni na boisku szkoły numer 122 w Łodzi znalazł czternastoletnią Joannę P. Dziewczynka nie żyła. Miała zmiażdżoną czaszkę. Narzędzia zbrodni na miejscu nie znaleziono. Wygląda jednak na to, że wampir posłużył się ciężkim, obłym, metalowym przedmiotem.

Zbrodnia wstrząsnęła szkołą. Obok dziewczynki znaleziono pusty plecak. Koleżanki twierdziły później, że Asia pisała pamiętnik. Pamiętnika jednak nigdy nie odnaleziono.

Pani Barbara mieszkała w wieżowcu tuż obok szkolnego boiska. Tego wieczora wyszła ze swoim psem. Boisko otaczają gęste drzewa i krzewy. Około dwudziestej drugiej zobaczyła szybko idącą postać. W trakcie zeznań nie była w stanie określić, czy to była kobieta, czy mężczyzna. Bardziej skłaniała się ku mężczyźnie. Osoba ta jednak nie wzbudziła jej podejrzeń. To duże osiedle, ludzie po nim chodzą, choć wieczorami jest zdecydowanie spokojniej.

Milicjanci kojarzyli wszystkie znane fakty. Zakładali, że zamordowana dziewczynka znała swojego mordercę. Przesłuchano wszystkich pracowników szkoły, rozmawiano z kolegami i koleżankami Joanny P.

Nikt jeszcze wtedy nie zwrócił uwagi na młodego nauczyciela z tej szkoły, Andrzeja Kołtuna.

Osiedle składa się z blokowiska otoczonego czterema większymi arteriami. Na północy graniczy ze Zgierzem, a na zachodzie z miejskim lasem – i w tym lesie pod koniec lat siedemdziesiątych zaczęło powstawać osiedle willowe. Andrzej Kołtun mieszkał w domku jednorodzinny obok torów kolejowych. Obecnie to osiedle nazywa się Leśna Przystań.

Druga i ostatnia ofiara bestii to ośmioletnia Zuzanna N. Dziewczyna mieszkała w Zgierzu i chodziła do pobliskiej szkoły. Piętnastego grudnia, jak co dzień, szła przez miejski lasek. Została zaatakowana, kiedy schodziła ze skarpy, by przekroczyć tory. Uderzenie w głowę obłym, metalowym przedmiotem było tak mocne, że identyfikacja ciała była niemożliwa. Dziewczynkę rozpoznano po zębach i ubraniach.

Anonimowy telefon naprowadził śledczych na ślad prawdziwego mordercy.

W trakcie przeszukania domu Andrzeja Kołtuna i jego matki znaleziono ukryty za wersalką obły, metalowy przedmiot – żeliwną kulę. Na narzędziu zbrodni odnaleziono ślady krwi dwóch ofiar. Czternasto- i ośmiolatki.

To wystarczyło, by bestia trafiła do więzienia.

Przez pół roku Andrzej Kołtun poddawany był badaniom psychiatrycznym. Badał go profesor Lew Stankiewicz, autorytet w dziedzinie psychiatrii. Z badań wynikało, że w czasie pobytów w szpitalu był w dobrych kontaktach z pozostałymi pacjentami. Nie stwierdzono u niego wahań nastrojów ani zaburzeń toku myślenia. Profesor Stankiewicz uznał, że Kołtun miał zdolność rozumienia swoich czynów. W dzieciństwie był bity przez dominującego ojca i to mogło doprowadzić do głębokich zaburzeń, wyzwolić sadyzm i nieprawidłową osobowość.

Andrzej Kołtun został skazany na śmierć. Wyrok wykonano.

Morderca nigdy nie przyznał się do zarzucanych mu czynów, co jeszcze bardziej nasiliło atmosferę grozy i strach mieszkańców. Jednak po wykonaniu wyroku zbrodnie z użyciem żeliwnej kuli już się nie powtórzyły.

Wyłączyłam komputer. Straszna historia. Może na strychu w domu obok nadal znajdują się żeliwne kule? Pamiątki po mordercy. Pamiątki po mordercy dzieci. Joanny P. i Zuzanny N. Okropność.

Jeśli naprawdę chcę być policjantką, to muszę się do takich okropności przyzwyczaić.

Rozdział 18. Andrzej

Wtedy. Lato 1985

Dom, w którym mieszka rodzina Rosów, jest wyjątkowy. Tak wyobrażam sobie dom na południu Francji. Drewniane okna, salon z wyjściem do ogrodu. Bezmiar książek i prawdziwy fortepian. Żeby mieć taki fortepian, to trzeba mieć naprawdę wielki salon. Szkoda tylko, że nikt już na nim nie gra.

Celina potrafiła bardzo ładnie grać, ale to wszystko przed wypadkiem.

Wybraliśmy się do Rosów na kawę. Matka powinna więcej wychodzić, bo od śmierci ojca właściwie cały czas siedzi w domu. Ponoć słyszy nawet głosy. Boję się o jej zdrowie. Słyszeć głosy, których nie ma, to może być objaw poważnego psychicznego schorzenia. Na szczęście są pan Jan – sąsiad, który zna się na ziołach – i Maria Rosa, która też parzy swoje dziwne lecznicze herbatki. Twierdzi, że dobrze jest wypić dwa razy dziennie herbatkę z melisy i koniecznie wdychać relaksujący olejek eteryczny z szyszki chmielu. Zioła na uspokojenie regulują pracę układu nerwowego, redukują stres oraz wszelkie napięcia emocjonalne. Ograniczają popęd seksualny u mężczyzn.

Zalecenie sąsiada Jana to waleriana i pyłek pszczeleli. Wieczorem domowa nalewka na dobry sen. Muszę przyznać, że matka rzeczywiście po tych specyfikach łatwiej zasypia. Żeby tylko nie popadła w alkoholizm.

– Marzę o tym, żeby wybrać się na spacer do lasu – powiedziała nam przy herbacie Celina.

– Na spacerze ktoś musi ci towarzyszyć, inaczej bałabym się, że stanie się coś złego. Kiedy ostatnim razem wyszłaś z domu, dostałaś ataku i zrobiło się zbiegowisko. Trzeba oszczędzać sobie takich sytuacji, po co ludzie mają widzieć cię w takim stanie, niech cię pamiętają...

– Ale ja jestem w takim stanie. I mój stan raczej się już nie poprawi, mamo. Ty trzymasz mnie w domu i wymagasz, żebym żyła jak mniszka. A ja mam dopiero osiemnaście lat! Ja chcę jeszcze doświadczać życia. – Celina spojrzała na mnie i mrugnęła porozumiewawczo.

Kiedy leki nie zaciemniały jej umysłu, była błyskotliwa i zabawna. W takich chwilach pokazywała, jaka musiała być przed tym niefortunnym wypadkiem.

Muszę przyznać, że od wypadku nie zwracałem uwagi na Celinę. Ale od jakiegoś czasu, być może od czasu przeprowadzki do rodzinnego domu, zacząłem patrzeć na nią inaczej. Dostrzegać podobieństwa między nami. To, że lubimy takie same kwiaty – czerwone tulipany. Że podobają nam się jednakowe samochody i czytamy podobne książki.

Zaczęliśmy wymieniać się książkami. Celina kochała Dostojewskiego i Czechowa. Poetycko fascynowali ją: Neruda, Poświatowska, Pawlikowska-Jasnorzewska. Lubiała też Burse, Wojaczka i Białoszewskiego.

Jej osobowość była zróżnicowana, tak jak poezja, którą wybierała. Od delikatności po turpizm.

Życie w otoczce śmierci, która – jak w greckiej tragedii – nieuchronnie ma nadejść i pożreć wszystko i wszystkich, nic po sobie nie zostawiając.

– Ja i tak umrę, mamó. Nim umrę, chciałabym rozbłysnąć, choć zmuszona jestem żyć w ciele, które mnie zdradziło. Z mózgiem, nad którym nie panuję. W takim wewnętrznym milczeniu i wielkiej niezgodzie.

– Nigdy nie wiadomo, kto zwinie się pierwszy – oponowała pani Rosa. Widać było, że jest przyzwyczajona do rozmów o umieraniu.

– Doskonała szarlotka! – Mama starała się zmienić temat.

Celina znów na mnie spojrzała i widziałem, że w środku cała się śmieje z nieudolnej próby rozluźnienia atmosfery, którą podjęła moja matka.

Dla mnie ta atmosfera była smutna i fascynująca równocześnie.

– Jeśli bardzo chcesz wychodzić na spacer, mogę cię na nie zabierać – zaproponowałem, kiedy już się zegnaliśmy i zmierzaliśmy do wyjścia.

– Będzie ci się chciało tracić czas na kalekę? – Celina poprawiła długi warkocz, a ja po raz pierwszy zwróciłem uwagę na jej dłonie. Miała nieziemsko długie palce zakończone zdrowymi paznokciami. Ręce szczupłe i brązowe. Po matce odziedziczyła tę południową urodę. Na przegubie nosiła srebrną bransoletę z małymi niebieskimi kamieniami. Lapis lazuli? Zastanowiłem się. Królewski klejnot. Imitacje gwiazd zaklęte w miniwszechświecie. Gwiazdy na zawsze zatopione w nocy.

– Wydaje mi się, że jestem większym niezdara od ciebie, Celino. Nawet ze swoimi problemami masz w sobie sto razy więcej gracji ode mnie.

– Nie mogę się z tobą nie zgodzić. – Roześmiała się, wzięła moją rękę w swoje cudowne dłonie i mocno ją ścisnęła. – Do zobaczenia na spacerze,

Andrzeju. Bardzo na to wyjście z domu liczę – powiedziała i widziałem, że przygląda mi się uważnie i sprawdza, czy na pewno nie rzucam słów na wiatr.

– Nie wiem, czy spacer to dobry pomysł, porozmawiamy o tym – wtrąciła Maria Rosa. Kiedy drzwi się za nami zamknęły, usłyszałem jeszcze, jak powiedziała do córki: – To wyjątkowo gorące lato. Możesz źle się poczuć. Dla mnie to będzie tylko zmartwienie.

Pomyślałem o planowanym spacerze z Celiną i poczułem przyjemność. I ciekawość.

Rozdział 19. Julia

Teraz

To dziś jest impreza moich rodziców. Wcześniej spotkałyśmy się z Marleną w sklepie, żeby kupić sobie sok i chipsy.

– Trochę to śmieszne, że mamy prawie czternaście lat i popijamy soczki – powiedziała do mnie, raczej cicho, przyjaciółka. – Na wsi u babci chłopcy normalnie kupowali wino, piliśmy dużo. Tam w ogóle się dzieje.

– Na przykład co się dzieje?

– Nic nie wiesz, dziecko. – Zaśmiała się i spojrzała na mnie.

– Wiesz, co robiliśmy? Szliśmy z winem do stodoły i wstrzymywaliśmy oddech aż do granic omdlenia. Masz później niezłą jazdę. Próbowełaś? Musimy spróbować! A zabawa w siedem minut w raju?

– Co to jest siedem minut w raju? – zapytałam z wypiekami na twarzy, chociaż w markecie była klimatyzacja i po marszu z domu zdążyłam się już ochłodzić, chodząc między półkami.

– Zamykasz się z chłopakiem na siedem minut w ciemnym pokoju... – Marlena zachichotała.

– Zamykałaś się?

– No pewnie... – puściła do mnie oko i mocno ścisnęła mnie za rękę.

– Będę ciocią? – Zaczęłam chichotać.

– Głupia, no co ty!

Wtedy zobaczyłam nowego sąsiada. Mignął mi przy stoisku z alkoholem.

– Co się tak rozglądasz? – zapytała Marlena, która jest bardzo spostrzegawcza.

– Nic, widziałam naszego nowego sąsiada.

– Ultra, mega, mniem, mniem. – Oblizwała się.

– Przestań! – uspokajałam ją, bo już zaczęła się czaić i przyglądać sąsiadowi.

– Mam pomysł, Julia. Oni się będą bawić, a my przy tym soczku... Ale spróbujemy. – Chwyciła pierwszą lepszą butelkę taniego wina i złapała mnie za rękę. Nawet się nie obejrzałam, a stałyśmy przy sąsiedzie. – Cześć.

– Marlena uśmiechnęła się do niego. Jej nogi w krótkich spodenkach były

do samego nieba. Odgarnęła grzywkę za ucho i jej cudne włosy zafalowały jak w reklamie szamponu. Tyle że w reklamach podobno najczęściej występują panie w perukach.

– Dzień dobry. – Staralam się ratować sytuację, bo nie do końca wiedziałam, co Marlena chce zrobić.

– O, cześć, Julia. Masz siostrę? – Sąsiad ładnie się uśmiechnął.

– Prawie, prawie siostrę. Mamy prośbę i mamy pieniądze. Czy możesz kupić nam to wino? Zapomnialiśmy legitymacji. – Marlena uśmiechnęła się najładniej, jak tylko potrafiła. A potrafiła. Naprawdę.

– Wino. A ile wy macie lat? – zapytał, odrobinę speszony.

– Wystarczająco, żeby napić się odrobinę. – Oblizała usta, a ja zrobiłam się czerwona.

– Kupiłbym wam wino, tylko tutaj jest moja... żona. O, tam. – Wskazał alejkę z kosmetykami.

– Taki duży chłopak chyba nie boi się żony. – Wsunęła do ręki sąsiada butelkę i dziesięć złotych.

– Dobra, to szybko. – Podeszedł do kasy i postawił wino. Marlena stała tuż za nim z paczką nachosów i salsą. Pikantną. Chwilę później chowała do torby zakazaną butelkę i przykrywała ją chipsami.

– Dzięki, Adrian – powiedziałam, siląc się na swobodę.

– Nie ma sprawy. Nie mów rodzicom.

Kiedy wyszliśmy, Marlena zaczęła chichotać.

– Więc jednak ten wieczór nie będzie taki nudny. Będzie zabawa, będzie się działo.

– Mam nadzieję, że nie wygada się matce. A już na pewno ojcu. Ojciec by go, no wiesz, aresztował.

Marlena wzruszyła ramionami.

– Żeby kogoś aresztować, to ten ktoś musi zrobić dużo, dużo gorsze rzeczy, niż kupić wino nieletnim. – Przyjaciółka uspokoiła mnie.

Pożegnałyśmy się i umówiłyśmy, że wpadnie do mnie na picie i nocowanie wieczorem. Rozstanie rodziców i ostatnie wakacje naprawdę zmieniły Marlenę – stała się bezpośrednia i pewna siebie. I taka wysoka. Wysoka do samego nieba. Ciekawe, kiedy ja tak wyrosnę. Ciekawe, kiedy mnie żaden mężczyzna nie będzie umiał odmówić.

Wszyscy się zmieniają, tylko nie ja. Dziś to już na pewno muszę poupychać lalki w szufladach.

Nie chcę być dziecinna, chcę być jak Marlena.

Rozdział 20. Maria Rosa

Teraz

Siedziałam przy fortepianie. Grałam na nim, choć musiał być rozstrojony. Nic nie słyszałam – wyłączyłam aparat słuchowy. Nie byłabym w stanie znieść dźwięków źle zagranych nut, które wychodziły spod moich palców. Kiedy dotykałam klawiszy z kości słoniowej, wracały wspomnienia.

O śmierci córki – a obok dnia śmierci męża ten dzień był drugim najgorszym w moim życiu – myślałam zbyt często. Ostatnie lata z Celiną były trudne i całkowicie zapomniałam wtedy o sobie. Kiedy zaraz po wypadku odwiedziłam córkę w szpitalu, lekarze mówili, że nie ma się co łudzić. Że po takim urazie mózgu z dziewczyną nie będzie kontaktu. A przecież ta dziewczyna tańczyła, grała na fortepianie i była światłością mojego życia. Obok sceny. Była moją własną muzyką. Poświęciłam się, żeby ją urodzić – musiałam zajmować się nie tylko karierą, ale i malusieńkim dzieckiem. Później, po wypadku, mój świat runął. Chociaż Celina żyła – i to było najważniejsze.

Moja śliczna, filigranowa córeczka, której nie upilnowałam. Żrenica mojego oka. Mówili, że zmarła bez udziału osób trzecich. Że to wynik padaczki lekoopornej, która może skończyć się wyłączeniem ośrodków odpowiadających za oddychanie, a w konsekwencji śmiercią. Znalazłam ją na podłodze koło łóżka. Pobiegłam wtedy do Jana, a on zadzwonił do tego Andrzeja. Boże, co za straszna historia. Co za straszny człowiek. Ale zadzwoniliśmy właśnie do niego. Celina odeszła pierwszego listopada tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku. We Wszystkich Świętych.

Kiedy wynosili ją na noszach, stałam wtulona w ramiona Andrzeja. A on mi powiedział, że najgorsze właśnie się wydarzyło, że już nic gorszego nie może mnie spotkać. Miał rację. Już nic nie mogło mnie dotknąć.

Dlaczego kazałam Janowi zadzwonić do Andrzeja? Celina traktowała go jak największego przyjaciela, a nawet więcej... Bardzo mnie to denerwowało, nie chciałam, żeby wzbudzał w niej tak silne emocje. Silne emocje nie były dla niej zdrowe.

Dlatego często podawałam córce zioła, a kiedy on przychodził, żeby zabrać Celinę na spacer, mówiłam: „Celina źle się poczuła, miała w nocy atak, teraz śpi. Przyjdź innym razem”.

Tylko że jak Celina się budziła, to zaraz tam, do niego, te parę domów dalej, laża. Jak Andrzej przeprowadził się na nasze osiedle, to córkę coś opętało. Zachciało jej się normalnie żyć, zaczęła się ze mną kłócić o to normalne życie. Mówiła, że nieważne, ile jeszcze pożyje, ale bardzo ważne jak.

Udawałam, że tego nie widzę, ale dostrzegałam, jak Celina się uśmiecha, jak stara się ładnie wyglądać, jak błyszczą jej oczy. Sama jeszcze pamiętałam, jak to jest być kimś zafascynowanym. Bo to nie mogło być nic więcej niż głupia, szczeniacka fascynacja.

Celina musiała się pogodzić ze swoim stanem, z tym, że ma nieuleczalną padaczkę, a jej mózg jest uszkodzony.

Andrzejowi wydawało się to nie przeszkadzać. Przesiadali razem, czytali razem, spacerowali razem i nagle okazało się, że ja – matka, która poświęciła dla niej wszystko – przestałam być potrzebna.

Zostałam sama ze swoją zmarnowaną karierą, złamanym życiem i popsutą córką.

Tylko że Kołtun tego nie widział. Patrzył na Celinę równie błyszczącymi oczami. Czy oni myśleli, że nie widzę tych spojrzeń, tych przypadkowych westchnień, zbyt długich pożegnań, coraz późniejszych powrotów ze spacerów? „Pójdziemy tylko dookoła, za torami skęcimy w prawo, do przejazdu, przez pola, i wracamy”. Straciłam nad tym kontrolę, w zasadzie już pod koniec tamtego upiornie gorącego lata straciłam nad nimi kontrolę. Dobrze, że córka umarła, nim prawda o Andrzeju Kołtunie wyszła na jaw. Te dwie małe dziewczynki.

Oni chyba sobie wyobrażali, że będą normalnie żyć, pobiorą się, może spłodzą dziecko. Córka niechętnie ze mną o tym rozmawiała. Jakby chciała zatrzymać to zauroczenie tylko dla siebie.

Pod jej poduszką znalazłam jednak zdjęcie Andrzeja. Z dedykacją: „Dla Celiny” i jakimś głupim wierszem. Wiersze wprowadzały Celinę w nostalgiczny nastrój. A on podsuwał jej coraz to nowe tomiki.

Starałam się jemu też podawać uspokajające i wyciszające zioła.

Nie chciałam, żeby skrzywdził moje dziecko. Obawiałam się go. Może wyczuwałam, do czego ta zażyłość może doprowadzić moją córkę, a może po prostu nie chciałam się Celiną z nikim dzielić.

W każdym razie po jej śmierci to u niego szukałam pocieszenia. I to on pomagał mi załatwiać funeralne formalności, kwiaty i trumnę. I to on jeździł ze mną na cmentarz do Celiny.

Popadł w rozpacz. I nie mógł, nie chciał mnie pocieszyć. A wyciągałam do niego ręce w swojej własnej rozpacz. Byłam zaślepiona. A on był tak blisko. Mieszkał kilka domów obok.

Rozdział 21. Julia

Teraz

Marlena spóźniała się. Całe dorosłe towarzystwo siedziało w ogrodzie, słuchając muzyki, popijając i gawędząc. Wysłałam do niej SMS, ale nie odpisała.

Na imprezę miał przyjść mój ojciec chrzestny, Marcin Poręcki. Przyjaciół ojca, oficjalnie komisarz policji, a tak prywatnie to super Marcin, do którego nawet nie mówię „wujku”, tylko po imieniu.

Jak ojciec spotyka się z Marcinem, to zawsze jest wielka impreza. Mam nadzieję, że ci nowi, młodszy przecież od rodziców sąsiedzi udźwigną taki klimat. Nawet ja czasami się za nich wstydzę. A wstydzić się za ojca nie jest zbyt miło.

Nie zamierzam przyłączać się do ich imprezy. Siedzę ubrana w normalne ciuchy – sportowe spodenki i koszulkę z napisem „Vintage”.

W znalezionej w necie „Gazecie Ludowej” odkryłam ciekawy artykuł o Andrzeju Kołtunie. Jak zaczynasz szukać, to za każdymi drzwiami pojawia się nowa informacja.

Jest tyle osób, które mogę o tego feralnego sąsiada zapytać. Od czasu, kiedy dowiedziałam się, że w najbliższej okolicy grasował morderca, zaczęłam się nawet trochę bać. Dotychczas chodziłam do szkoły przez pola i nie miałam z tym problemu. To znaczy teraz nie chodzę do szkoły, ale za chwilę zacznę.

Marlena mieszka na osiedlu obok szkoły i nie musi nigdzie chodzić polami.

Usłyszałam dźwięk telefonu i zobaczyłam, że przyjaciółka wreszcie napisała: „Pożarłam się ze starą. Będę za dziesięć minut”.

Rozejrzałam się po pokoju, żeby sprawdzić, czy znikąd niefortunnie nie wystają zabawki. Nawet lego zamknęłam w szafie. Pokój, mimo wesołego koloru, wyglądał w miarę dorośle.

Zaraz, zaraz – jeszcze kocia poduszka, trzeba ją wcisnąć głębiej pod kołdrę. A jeszcze lepiej do szafy. Wstałam i upchnęłam do niej ukochaną poduchę.

Usłyszałam kroki na schodach i zobaczyłam mamę.

– Marlenki jeszcze nie ma? – zapytała, zaglądając do pokoju.

– Już idzie. Pokłóciła się mamą.

– Jakbyście były głodne, to zrób kanapki, dobrze? – Skierowała się do drzwi.

– Jak nowi sąsiedzi, zabawowi? – zapytałam.

– No tak, tata i Marcin właśnie upijają Adriana. Agata jeszcze się jakoś trzyma, delikatnie popija piwko. Fajni są. Naprawdę fajni. Ja się na ogół co do ludzi nie myślę...

Mama wyszła. Oczywiście nie miała racji. Lubiła wszystkich, nawet moje najgorsze koleżanki.

W każdym szukała czegoś do polubienia. A później często okazywało się, że ludzie włązili jej na głowę, cały czas wydzwaniali, potrzebowali jej, ale kiedy ona potrzebowała ich, zawodzili ją.

– Jestem, jestem! – z dołu usłyszałam krzyk Marleny. Miała bardzo donośny głos, kiedy chciała.

Pojawienie się na górze zajęło jej trzydzieści sekund. Pędziła. Zrzuciła plecak i od razu wypakowała jego zawartość. Wino, chipsy.

– Fajnie się ubrałam? – zapytała. Miała na sobie czarne getry i krótką bluzeczkę odsłaniającą brzuch. Rozpuszczone włosy. Umalowane usta. Wyglądała jak modelka.

– No. Fajnie – przytaknęłam, patrząc na nią z zazdrością.

– To już, pijemy prosto z butelki, żeby nie było śladów. Tak piliśmy na wsi. Pierwszy łyk jest twój.

Podawała mi wino, które miało zwykłą zakrętkę, a nie korek. Mama zawsze odkorkowywała wino – ale to nie był moment, żeby myśleć o mamie. Pociągnęłam pierwszy łyk. Ech, mocne, słodko-gorzkie. W sumie niesmaczne.

– Nie krzyw się! W pierwszej chwili nie smakuje, ale później już wchodzi. To jak z pierwszym razem, ha, ha, ha.

Połączyła telefon z moim głośnikiem JBL i zaczęła tańczyć z butelką w ręku.

Hop, i noga pod sufit. Olly Murs, Heart Skips a Beat.

Też chciałam tak tańczyć. Podniosłam się i dołączyłam do Marleny.

– Hej, musimy cię przebrać, Julia! Jesteś taka śliczna, ale ten strój jest niefortunny – tak zawsze mówi moja mama, kiedy patrzy, jak się ubieram.

Dziś też się o to przyczepiła. Że w tych getrach wyglądam jak bez ubrania. Głupia baba.

Marlena zamasyżuje otworzyła szafę, żeby znaleźć dla mnie jakiś superciuch, i wtedy wypadła z niej moja kocia poduszka.

– Ups, to chyba dla czyjś młodszy brachola, co? – Niedbale rzuciła poduszkę na łóżko.

– Też taką miałaś, dostałyśmy te poduszki na nasze siódme urodziny, pamiętasz?

– E tam. Załóż tę krótką bluzkę, odsłania ramiona i brzuch. No już!

Niechętnie zaczęłam się przebierać. Marlena wyciągnęła czerwoną szminkę i umalowała mi usta.

W pół godziny wypiliśmy całą butelkę wina i zaczęło mi się naprawdę dobrze tańczyć. Zakręciło mi się w głowie, więc poszłam do łazienki. Kiedy wyszłam po jakimś czasie, Marleny nie było już w moim pokoju. Z ogrodu dochodziła głośna muzyka. Moje okna wychodzą właśnie na ogród i wszystko bardzo dobrze słyhać. Trzymając się poręczy, powoli zesłam po schodach.

Goście tańczyli na patio. Rodzice to jednak potrafią się bawić. Marlena siedziała przy stole, obok Marcina.

– O, Juleczka! – Ucieszył się na mój widok.

– Nasza mała Juleczka do nas przyszła, czas potańczyć! – krzyknęła znów tym swoim donośnym głosem Marlena. Ma zawsze taką lekką chrypkę.

Stała na środku patio, wygięła się do mostka... i zaczęła tańczyć, a że tańczy od siódmego roku życia, to naprawdę nieźle jej to wychodzi.

– Ale wyrosła ta Marlena! – powiedział do mnie trochę pijanym głosem chrzestny.

– Ta dziewczynka jest od ciebie starsza, prawda? – zapytała nowa sąsiadka. W sumie to pierwszy raz odezwała się do mnie.

– Jesteśmy w tym samym wieku. Chodzimy do jednej klasy.

– Jesteście już w liceum? – Spojrzała na mnie trochę podejrzliwie.

– Nie – uciełam temat, wiedząc, jak bardzo Marlenie zależy, żeby wyglądać na siedemnastolatkę.

– Też kiedyś tańczyłam – powiedziała Agata.

– No to już, na parkiet! – Marcin zerwał się i poprosił nową sąsiadkę do tańca. Zaczęli się razem kołysać i nie wydawało mi się, żeby którekolwiek z nich kiedykolwiek wcześniej tańczyło.

W tym czasie Marlena zdążyła już uwiesić się na nowym sąsiedzie. A może raczej to on, bardzo pijany, uwiesił się na niej. Ojciec podrygiwał z matką, a ja siedziałam przy stole. Przy mojej nodze siedział niezadowolony kot. Nasz kot był bardzo towarzyski, ale wolał spokojniejsze okoliczności.

Agata usiadła obok mnie.

– W waszym domu mieszkał kiedyś Andrzej Kołtun – powiedziałam bez zastanowienia.

– A kto to jest? – zapytała i pociągnęła łyk piwa.

– Morderca dzieci. Mieszkał w tym domu, razem ze swoją matką, w latach osiemdziesiątych. Zamordował i zgwałcił dwie małe dziewczynki.

– Nieco podkoloryzowałam tę historię, chciałam zobaczyć jej reakcję. Dodatkowo mówienie o gwałcie sprawiło, że poczułam się starsza. – Wszystko to wydarzyło się w okolicy. Możesz poszukać w necie.

– Nie wierzę. – Agata patrzyła na mnie mocno iskrzącymi się oczami.

– To prawda. Zastanawiałam się, jak to jest mieszkać w domu mordercy.

– Nawet o tym nie wiedziałam, ale teraz to mnie na serio przeraża. – Agata spojrzała na mnie raczej z niechęcią i czujnością. Widziałam w tym spojrzeniu sporo niewiary – jak wtedy, kiedy przekonuję nauczycielkę, że naprawdę mam pracę domową, ale zapomniałam zabrać zeszyt z domu.

I wtedy to się stało.

Zaczęli grać jedną z ulubionych piosenek Marleny. Lana del Rey, bardzo wolna piosenka. I co zrobiła moja przyjaciółka? Moja przyjaciółka nie tylko przykleiła się jeszcze bardziej do nowego sąsiada, ale też wskoczyła na niego i objęła go nogami w pasie, po czym wygięła się do tyłu tak bardzo, że zaprzeczało to prawom grawitacji. Gdybym ja tak zrobiła, to pękłby mi kręgosłup. W trzech miejscach.

Sąsiad nie wydawał się całą sytuacją przerażony, w zasadzie to był zrelaksowany, pijany i zadowolony. Spojrzałam na mojego ojca, który siedział obok mojego chrzestnego i cicho z nim o czymś rozmawiał. Zdawało się, że nikt TEGO nie widzi.

I wtedy zareagowała Agata. Zerwała się, dość niezgrabnie, i podeszła do Adriana, który nadal kołysał się, trzymając na swoich biodrach Marlenę.

– Idziemy! Jestem zmęczona, źle się czuję. – Pociągnęła go za rękę i wtedy on jak gdyby się ocknął.

– Już, już... – wymamrotał.

Marlena błyskawicznie z niego zeskoczyła. Nie przejmując się zaostarzającą się między sąsiadami z domu obok sytuacją, kołysała się w takt kolejnej piosenki Lany.

– Pójdziemy już... – wymamrotał do nas wszystkich, a tak naprawdę do drzew w ogrodzie, Adrian.

– Do następnego! – powiedziała, znów trochę za głośno, Marlena.

Agata pociągnęła Adriana za sobą i chwilę później słychać było, jak na niego wrzeszczy.

– A nie mówiłam, że ten dom wzbudza w ludziach najgorsze... – szepnęłam do matki.

– Tak, mówiłaś, to duch okrutnego mordercy, Łukasza, jak mu tam? – dopytała matka.

– Andrzeja. Andrzeja Kołtuna.

Podeszłam do Marleny i teraz to ja pociągnęłam ją w stronę domu.

Kiedy już leżałyśmy w moim łóżku, Marlena powiedziała mi, że z młodością nikt nie wygra. I że każdy nam młodości zazdrości, poczuwszy od naszych matek, skończywszy na starzejących się sąsiadkach.

Pomyślałam, że nowa sąsiadka to ma góra trzydzieści lat. I pomyślałam też, że ja swoją młodością jakoś nic nie wygrywam. Swoją młodością nie wygrały też ofiary Kołtuna. Młodość u młodych się marnuje.

Rozdział 22. Asia

Wtedy

(z pamiętnika Asi)

Nie będę już czytać tych jego głupich wierszy. W ogóle nie będę się już uczyć polskiego.

Na początku był dla mnie taki miły, a później zobaczyłam go z tą dziewczyną. Spacerowali i nie widzieli nikogo dookoła. Jakby świat nie istniał. Ona przystawała, przytrzymywała go pod ramię, patrzyli na siebie i cały czas o czymś dyskutowali.

Trzeba przyznać, że dziewczyna była piękna i młoda. Niestety – była piękna i młoda. Może gdyby była stara i brzydka, to łatwiej byłoby mi przełknąć porażkę.

Miłość bardzo szybko zmieni cię w szpiega i tak właśnie stało się ze mną.

Ty głupi pamiętniku, już nie chce mi się nic pisać. Najlepiej będzie, jak cię wyrzucę. Spalę w ognisku. Czerniejesz jak moje serce.

Nie zakochujcie się w dorosłych, to moja rada.

Może w ogóle się nie zakochujcie. Od czasu dyskoteki Maciek cały czas pojawia się w zasięgu mojego wzroku. I na ławce w pracowni ZPT ktoś na drewnianym stole wyrył: „Aisza i Maciek = WNM”. Tylko że to nie byłam ja.

Akcja z ławką jeszcze bardziej zdenerwowała Monikę i Kaśkę. Teraz już nakręcają przeciwko mnie inne dziewczyny. Maciek musiał o tym usłyszeć, bo podszedł do mnie na jednej z przerw i powiedział: „Wiem, że teraz masz problemy, a przecież nic nie zrobiłaś”. Wiem też, że wysłał kolegę, żeby kazał dziewczynom się ode mnie odwalić.

To naprawdę fajny chłopak. Ale Andrzej jest dużo fajniejszy.

To znaczy był dużo fajniejszy, zanim nie zaczął włączyć się z tą dziewczyną.

Rozdział 23. Mrok

Teraz i wtedy

Pełnia lata na bezkresnych polach przypomina eksplozję – tyle że piękna. Krwawnik biały ze swoimi malutkimi kwiatami. Przymiotno białe ze swoim ślicznym żółtym środeczkiem. Glistnik jaskółcze ziele, trawy, wśród traw włochate gąsienice, z których będą motyle. Wśród tego bogactwa i wysokości, wśród tych zapachów maleńkie stokrotki.

Białe kwiaty to symbol niewinności. Pośród bieli wszystko inne wydaje się brudne.

Młoda kobieta jest jak biały kwiat. Kobiety można przyrównywać do kwiatów i kolekcjonować je jak kwiaty. Najpiękniejsze są dziewczynki. Kobieciątka. Ale jeszcze nie kobiety. Dziewczynki są jak konwalie. Wczesne, pachnące omdlewająco. Na cieniutkich łodygach, z głowami niewinnymi i cudnymi jak dzwonki.

Konwalijki, chronione kwiaty z lasu.

Wystarczy chwila, by zakończyć życie konwalijki, jest bowiem delikatna i choć lubi cień, to mrok może ją pochłaniać.

Wśród kwiatów dni są bezpieczne i kolorowe. Zupełnie inaczej jest z późnojesiennymi liśćmi. Wywołują moją niechęć. Pachną zimą, która nadchodzi... Jesienne liście.

Kiedy się zbliżam, liście szeleszczą i płoszą drobne sarny. Sarny, które nie chodzą, ale skaczą.

Osiągnięcie dojrzałego stanu, zwanego kobiecością, to początek wędnięcia.

Nie ma większej zbrodni, niż zwiędnąć. A może jest? Niewykorzystanie potencjału, który się ma.

Lepiej przyciąć kwiatek przed zwiędnięciem i wstawić go do wody. Tak doradzą każdy dobry ogrodnik i każda gospodyni domowa. Zresztą, jak się kwiatki zetnie przedwcześnie, szczególnie bez zgody i wiedzy ogrodnika, to więcej jest lamentu i bólu na około. A to jest dobre, że inni cierpią.

Mówię o sobie, że projektuję innym życie. Nie zawsze moje projekty się udają, ale nie myli się ten, kto nic nie robi. Zresztą – projektuję innym

życie tak, żeby było rozpaczliwe.

Pamiętam. Tamtego roku na jej cześć zakwitły białe niecierpki. Na cześć tej małej, podłej dziwki z dziurą w głowie.

Łupnięcie było takie, że nie pozostawiało wątpliwości, że wszystko jej tam, w środku, w tej pustej, pięknej głowie, pękło. Nie trzeba było nawet sprawdzać. Trzeba było wyjąć z tornistra zeszyt i odejść. I tak zostało zrobione. Spokojnym krokiem do domu. Dom był przecież zaraz obok.

Rozdział 24. Julia

Teraz

Nie możesz myśleć, że wszędzie czai się zło, bo wtedy zło będzie czaiło się wszędzie, przeczytałam nagłówek artykułu w gazecie mamy.

Mama lubi wycinać teksty z gazet, grupować je w pudełku i później – kiedy nadchodzą czyjeś imieniny, urodziny albo inna okazja – z tych wycinanek tworzy swoje śmieszne laurki. Ludzie uwielbiają je dostawać, bo są kolorowe, dowcipne, i takie laurki podobno robiła, oprawiała i rozdawała znajomym nasza wielka poetka Wisława Szymborska. Mama ma antologię poezji Szymborskiej w dwóch językach, po polsku i po angielsku.

Chciałabym tak lubić poezję jak ona, ale ja lubię tylko niegrzeczne rymowanki w stylu: Siedzi baba na cmentarzu, trzyma nogi w kałamarnicy, przyszedł duch, babę buch... Baba fik, a duch znikł.

Na imprezie wszystko poszło nie tak, to znaczy – Marlenie odwaliło. Na szczęście większość dorosłych była pijana i nikt jakoś specjalnie się nie przyczepił do jej zachowania. Z wyjątkiem mamy.

– Myślisz, że Marlena wypła coś w domu i przyszła do nas pijana? – zapytała mnie.

Mamy taką zasadę, że jesteśmy ze sobą szczerze. Powiedziałam więc, że Marlena przyszła do nas trzeźwa. Mama nie drążyła tematu, jakby nie przyszło jej w ogóle do głowy, że Marlena mogła napić się u nas. Oznajmiła, że na wszelki wypadek porozmawia z matką Marleny i dowie się prawdy. Tylko, niestety, od matki mojej przyjaciółki niczego się nie dowie, bo one żyją ze sobą jak pies z kotem.

Żyć jak pies z kotem – zabawny frazeologizm.

Może to ja pogadam z przyjaciółką, jak znajdę odwagę i chęć. Bo tak szczerze – jej zachowanie w stosunku do sąsiada nie bardzo mi się podobało. Może jestem głupia i dziecinna, ale wieszanie się na trzydziestolatku, którego się nie zna, to trochę wariactwo, bo co niby ma z tego wyniknąć? Gdyby Marlena wieszala się na chłopakach z klasy, to z niechęcią, ale mogłabym to zrozumieć.

Usiadłam do komputera. Włączyłam komunikator i zobaczyłam kilka nieodebranych wiadomości.

Marlena: Jak po imprezie? U mnie spox. Sąsiad żyje czy żona go zakrzyczała na śmierć? U mnie kupa. Z matką wielka kupa.

Marlena: Jesteś, jesteś? Co tam?

Odpisałam.

Julia: Nic tam.

Marlena: Eee tam.

Julia: Matka chce dzwonić do Twojej i ustalić, gdzie piłaś. Uważaj.

Marlena: Ja się nie przyznaję. Nigdy.

Julia: OK.

Marlena: Nie wydaj mnie.

Julia: OK.

Marlena: Lody za dziesięć minut ?

Julia: OK. Do zoba żaba.

Marlena: Goopia.

Wyłączyłam komunikator i poszukałam w skarbonce kasy na lody. Wzięłam dwanaście złotych, bo pewnie Marlena będzie bez kasy. Zresztą, trzeba się dzielić, szczególnie jak się jest jedynaczką. Tak zawsze powtarza moja mama, która też jest jedynaczką.

W domu nie było nikogo, więc nie mówiłam, że wychodzę. Ucałowałam tylko kota. Uwielbiam jego zapach. Taki słodki i zwierzakowaty. Kot nie wydawał się zadowolony, ale on już po prostu ma taki charakter. Zamknęłam drzwi i ruszyłam w stronę lodziarni, która jest po naszej stronie osiedla, ale już przy ulicy oddzielającej domy od blokowiska.

To był piękny letni wieczór, pola wyglądały jak z namalowanego przez przyjaciela matki obrazu, który wisi u nas na ścianie. Przedstawia łąkę usłaną kwiatami. Wyjątkowo spokojny pejzaż.

Minęłam dom Marii Rosy. W poniedziałek trzeba znów iść do tej starej – pomyślałam z niechęcią. Ale obowiązek to obowiązek. Ojciec jest taki obowiązkowy i ja chyba mam to po nim. Mama może wydawać się nieobowiązkowa i oderwana od rzeczywistości, ale też zawsze staje na wysokości zadania. No, prawie zawsze, bo zdarza jej się coś obiecać i tej obietnicy nie dotrzymać, bo zapomni albo zmieni plany.

Pana Jana nigdzie nie widać, pewnie zaszył się w cieniu swojego pięknego ogrodu. Może wykopuje robaki. Powinnam częściej zaglądać do staruszka.

Już z daleka zobaczyłam moją Marlenę. Wyszła mi naprzeciw, bo sama ma do lodziarni dwa kroki, a ja z tysiąc.

– Siemka, słońce! – zawołała i podbiegła do mnie. Jak zwykle przytuliliśmy się na powitanie. – Jak główka, boli? Mnie bolała, tanie wino jest ciężkie i trzeba umieć je pić. – Puściła do mnie oko i poszliśmy, trzymając się za ręce, w stronę budki z lodami przez zamknięty w niedzielę rynek.

Przed budką, jak zwykle, była kolejka.

– Jakie wybierasz smaki? Ja truskawkę i czekoladę – zdecydowała Marlenka.

– Chyba takie same. Usiądziemy pod dębem?

Dąb znajdował się zaraz obok lodziarni, na tyłach pętli autobusowej. Uwielbiałyśmy to miejsce od zawsze, siadałyśmy na trawie i zajadałyśmy lody. Lodów mogłyśmy zjeść bardzo dużo.

– Obojętne – powiedziała Marlena, zabierając swoje lody, i nie czekając na mnie, ruszyła w stronę Dębusia.

– Pamiętasz, jak zawsze starałyśmy się wleźć na to drzewo? – zagaiłam.

– Ty to jesteś taka sentymentalna. Jasne, że pamiętam, jestem młoda i jeszcze nie mam demencji jak moja babcia. Nie wiesz, jaka to masakra być starym i mieć demencję. Twoja babka to się cały czas nieźle trzyma. Moja matka jest podobna do swojej, dwie takie same wariatki. Żeby tylko ja nie skończyła tak jak one.

– Twoja matka nie jest taka zła.

– Chyba dla ciebie. A właśnie, jak twoje śledztwo w sprawie mordercy z domu obok? – zapytała trochę znudzona Marlena.

– Żadne śledztwo, to po prostu taka ciekawostka. Sama też byłabyś ciekawa, gdyby w domu obok twojego mieszkał kiedyś morderca. Nie wierzę, że nie.

– Racja. To ciekawa historia. Nie myśl, że mnie nudzi, nic z tych rzeczy. Właśnie – kiedy dziś wyszłam ci na spotkanie, to w krzakach zobaczyłam faceta. – Marlena dojadła właśnie końcówkę wafelka i oblizywała ociekające lodem palce.

– W tych krzakach jest pełno pijaków – oznajmiłam, bo nie raz spotkałam takiego „zombiaka”.

– Ten po prostu stał. Nawet nie wiem, czy był do końca ubrany – oznajmiła i zmrużyła oczy.

– Pokażesz mi gdzie? Chodźmy. – Pociągnęłam Marlenę w stronę pól. Słońce powoli zmierzało ku zachodowi, ale było jasno i niestrasznie.

– No dobra, chodź.

Kiedy znalazłyśmy się na polach, naprzeciwko zobaczyłam kobietę, którą znam z widzenia. Zdarzyło nam się wymienić uwagi na temat naszych kotów.

– Dziewczynki! – zawołała nas i zaczęła machać. Ruszyłyśmy w jej kierunku. – Dziewczynki, widzę, że idziecie razem, nie rozdzielajcie się, dobrze? Przed chwilą widziałam tu podejrzanego typa. To chyba jakiś ekshibicjonista. Kto go tam wie, lepiej na takich uważać.

– Kto to jest ekshibicjonista? – zapytała mnie cicho Marlena.

– Ktoś, kto lubi poświecić tym i owym – odpowiedziała sąsiadka.

– Widziała pani jego twarz? – dopytywałam.

– Nie, czapkę taką miał... dziwną...

– To ten sam! – powiedziała Marlena, kiedy sąsiadka zaczęła już odchodzić.

– Widziałaś go?

– Miał czapkę z dużym daszkiem... przykuwała uwagę nawet bardziej niż to, co mu wisiało między nogami.

– Chodźmy do mnie, poprosimy ojca, żeby cię odwiózł, żeby cię zboczeniec nie dopadł. – Ramię w ramię pognałyśmy do domu, nie rozglądając się na boki.

Tego wieczoru na polach coś się zmieniło.

Jakby nadchodzący zmrok miał przynieść coś więcej niż tylko ciemność.

Kiedy zamykałam za nami drzwi, przeszedł mnie dreszcz.

Rozdział 25. Maria Rosa

Teraz

Nie lubiłam wychodzić z domu, ale tego lata czułam potrzebę, żeby nacieszyć oko przyrodą. Nie mogłam wprawdzie za bardzo tej przyrody usłyszeć, ale lubiłam przysiąść na ławeczce przed domem, tuż przy polach, i podziwiać ptaki, kwiaty i drzewa. Wszystko w pełnym sierpniowym rozkwicie. Kiedyś, dawno temu, uwielbiałam tę porę roku.

Pora odpoczynku, bez koncertów. Tylko mąż, córka – rodzina. Na dłuższą metę mnie to nudziło, ale teraz nie chciałam o tym pamiętać. Teraz każda chwila z nimi wydawała się największym skarbem.

Kiedy wyszłam, Jan wrywał chwasty przed domem. Jak zwykle ze swoim nieodłącznym stołeczkiem.

Jego widok znów wywołał wspomnienia. Kiedyś pielili tak ogród z żoną. Zwykle wcześniej rano albo wieczorami, bo Barbara miała chore serce i w ogóle słabe zdrowie, i musiała unikać upałów.

Na początku wydawało mi się, że byli taką piękną parą. Świetlistą. On wpatrzony w nią, ona w niego. Nosiła zawsze długą suknię, kapelusz, rękawiczki. Rzadko miała czas na rozmowę, a ja do rozmów z sąsiadami raczej nie dążyłam. Owszem, chciałam wzbudzać ich podziw, byłam w końcu „tą znaną śpiewaczką”, ale w Barbarze wyczuwałam dużą wrażliwość.

Początkowo nie rozmawiałyśmy wcale. Ona tylko uśmiechała się do mojej Celinki i zawsze albo jakiś kwiatek jej dała, albo cukierki. To były czasy, kiedy sąsiedzi byli ze sobą zdecydowanie bliżej. Dzieliliśmy się czasem cukrem i mąką. O dzieci z sąsiedztwa troszczyliśmy się jak o swoje. I nie było strachu, że ktoś komuś coś zrobi. Wszystko odbywało się pod okiem zaprzyjaźnionych sąsiadów. No, pomijając tę sytuację z morderstwami. Zwyrondnialec potrafi zrujnować spokój nie tylko w okolicy, ale i całym mieście.

Tamtego odległego dnia Barbara zastygła na swoim stołeczku, kiedy obok niej przechodziłam. Tak głośno oddychała, że zatrzymałam się

i zapytałam, czy potrzebuje pomocy. Pokręciła przecząco głową. Poprawiła kapelusz i zdjęła rękawiczkę.

Rzuciło mi się wtedy w oczy, że ma tylko cztery palce u prawej ręce. Nigdy wcześniej nie zwróciłam na to uwagi, ale też nieczęsto się widywałyśmy.

Zauważyła moje nieeleganckie zainteresowanie i widziałam, że chce coś powiedzieć. Wtedy jednak pojawił się Jan, złapał ją za tę kaleką dłoń i ucałował.

– Basieńko, kochanie moje, odpocznijmy przy herbacie.

– Ostry sekator – wyjaśniła mi, jeszcze raz spoglądając na swoją dłoń.

– Musisz bardziej na siebie uważać, kochanie. – Jan schylił się po taboret żony.

– Do zobaczenia – powiedziałam i poszłam dalej.

Pomyślałam, że Bóg może nie obdarzył tej Basi zdrowiem, ale dał jej za to troskliwego i dobrego męża, i że to wielki skarb. Wielki skarb dla kobiety zależnej, z przedmieścia. Bo nie dla mnie, oczywiście. Na mnie czekał wielki świat.

Rozdział 26. Andrzej

Wtedy

Kiedy powiedziałem Celinie, że ojciec nas maltretował, zdawała się to rozumieć. Zdawała się o tym wiedzieć. Karolina nie mogła uwierzyć, że ten nobliwy, zamożny i tak dla niej miły człowiek mógłby się tak zachowywać. Zapytała mnie nawet, co takiego mu zrobiliśmy, bo przecież nie mógł bez powodu tak nas traktować. Otóż mógł. To znaczy zawsze znajdował jakiś powód. Najbardziej denerwowała go matka – bez znaczenia było, jak bardzo starała się go nie denerwować, jak bardzo wokół niego skakała. Że przynosiła mu piwo lub drinka i podawała kapcie, i zawsze rano dopytywała, co chciałby na obiad. Czasami jeszcze przed wyjściem ojca do pracy dostawała w brzuch albo w głowę za to, że się tak głupio dopytuje, a on nie ma czasu wymyślać menu. Kiedy jednak nie zapytała, tylko zrobiła grochówkę i zrazy zawijane, to znów dostała kuksańca albo w twarz, bo on nienawidził grochówki. To znaczy nagle znienawidził, bo wcześniej to była jego ulubiona zupa i jeszcze w wojsku sam ją tak pysznie gotował.

Powodów do bicia matka starała się nie dawać, ale im bardziej starała się ich nie dawać, tym mocniej dostawała. Ja tylko siedziałem cicho, bo dzieci i ryby głosu nie mają, więc i ja głosu nie miałem. Patrzyłem, jak ojciec rzuca talerzami, jak szkło rozsypuje się na podłogach, jak ojciec później matką te podłogi wyciera.

Kilka razy próbowałem zareagować. Za trzecim razem pobił mnie tak mocno, że przez tydzień nie mogłem wstać. Złamał mi rękę.

Po tym wydarzeniu (w szpitalu powiedzieliśmy, że spadłem ze schodów) usłyszałem, jak matka rozmawiała z przyjaciółką i mówiła, że boi się o moje i swoje życie. Że boi się wszystkiego, bo dla niej wszystko jest niebezpieczne, dopóki ojciec jest z nami.

Siedzieliśmy z Celiną na łące, na miękkim kocu, popijając nalewkę, którą zabrałem z domowej kolekcji. Ojciec zostawił po sobie dużo czarnych wspomnień i szafę z alkoholem. Celina nie powinna w ogóle pić, ale tak bardzo chciała, a ja tak bardzo nie chciałem czegokolwiek jej zabraniać.

Celina rozumiała mnie bez słów. Słowa w zasadzie tylko nam przeszkadzały w porozumiewaniu się. Kiedy na nią patrzyłem, otwierały mi się oczy. Przeglądałem się w niej i nagle widziałem w sobie to wszystko, o czym nawet nie wiedziałem, że we mnie jest. Widziałem, że ta piękna dziewczyna patrzyła na mnie z zachwytem.

– Jesteś wyjątkowy, masz takie cudowne oczy, jak atrament. O takich oczach mówi się, że są brudne. Masz brudne oczy, wolę, kiedy je zamykasz, bo kiedy patrzysz na mnie, czuję, że budzą się demony. Że zaczynam żałować, że jestem tylko tym, kim jestem. Że nie mogę być czymś więcej. Kimś więcej. Kimś odpowiednim dla ciebie.

Co ona mówi? To w jej oczach można utonąć. To w nich są obietnica i przestroga: nie zbliżaj się. Kiedy się zbliżysz, to nie będziesz mógł już nigdy się oddalić.

Siedzieliśmy na kocu, pijąc, zamiast spacerować, i rozpływając się w sobie, z coraz większą nadzieją na więcej. Wtedy ją pocałowałem. Najpierw w policzek, który był śniady i gorący od słońca. Miała delikatną skórę – nigdy nie dotykałem czegoś tak delikatnego.

Nie potrafiłem oderwać od niej ust. Czułem, jakby przykleiły się do niej, jakby należały do tego miejsca. Cofnąłem głowę, wiedząc, że jeśli pocałuję ją w usta, jeśli dotknę jej soczystych i czerwonych od wina ust, to rozplynie się i przestanie istnieć, i żeby znów zacząć istnieć, będę musiał znowu ją pocałować.

– Ostatni raz całowałam się jakiś rok temu i to było zupełnie okazjonalne – powiedziała mi wtedy Celina.

– Ja ostatni raz całowałem się miesiąc temu i to było – choć zabrzmiało okrutnie – zupełnie nijakie. Żadne.

– Niemożliwe. Kochałeś tę dziewczynę, a ona kochała ciebie. Wasz pocałunek... musiał znaczyć więcej.

– Teraz już nie jestem pewien. A raczej teraz już jestem pewien, że jej nie kochałem. Nie wiem, kim jesteś, że...

– Że co?

– Sprawiasz, że jestem szczęśliwy, Celino. Sama Twoja obecność powoduje, że jestem szczęśliwy, nawet nie musisz nic robić...

– Co o mnie myślisz? – Celina delikatnie odsunęła się ode mnie i pociągnęła łyk nalewki.

– Myślę, że jesteś taka otwarta i że niebycie z tobą w kontakcie byłoby największym błędem.

– A ja myślę, że nigdy nie chcę się z tobą żegnać... – Powiedziawszy to, wstała.

Ja również wstałem.

Wrzuciłem koc i butelkę po nalewce do plecaka i poszedłem za nią, podziwiając jej doskonałą postać. I widząc, że trochę się potyka i zatacza, byłem na wyciągnięcie ręki, żeby ją złapać. Mogłem nawet zanieść ją do domu. Ja również nie chciałem się z nią żegnać.

Rozdział 27. Julia

Teraz

Opowiedziałam tacie o dziwnym człowieku, który nastraszył Marlenę – a ona przecież niczego się nie boi. Opowiedziałam też o sąsiadce, która ostrzegała nas, że to ekshibicjonista i lata, wymachując swoim przyrodzeniem. Tacie bardzo się to nie spodobało i postanowił się tym zająć. Zadzwoił i zgłosił to, gdzie trzeba. Powiedział, że takie sytuacje się zdarzają i że nie chce, żebym włóczyła się po polach, chyba że będę w grupie, bo w grupie różniej i bezpieczniej.

Siedziałam właśnie z moich ojcem chrzestnym i gadaliśmy o zbliżającym się początku roku szkolnego.

– To dla mnie najgorszy dzień w życiu. Dlaczego wakacje nie trwają trzy miesiące?

– Gdyby trwały za długo, to też by ci się znudziły. Wszystko, co zbyt długo trwa, robi się, niestety, nudne i człowiek tego nie docenia. Dlatego ciesz się każdym dniem tego lata.

– Chciałam poprosić cię o pomoc w jednej bardzo ważnej dla mnie sprawie. W tym roku realizujemy na polskim projekt dziennikarski, można oczywiście dostać za niego dodatkową ocenę celującą.

– O jaki projekt chodzi? – zapytał wuj Marcin.

– Ja wybrałam sobie reportaż kryminalny. Musi być oparty na faktach. Nie muszę prowadzić śledztwa dziennikarskiego, ale muszę poszperać w necie i znaleźć informacje o starej sprawie, która wydarzyła się w tej okolicy w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku.

– Zainteresowała cię sprawa sprzed trzydziestu trzech lat?

– Tak, tylko niech to zostanie między nami, dobrze? Rodziców trochę niepokoi, że zafiksowałam się na punkcie tej historii.

– „Zafiksowałam się”, jakie ładne określenie. Słyszę, że zaczynasz mówić tak ładnie jak twoja mama.

– Dzięki. Chodzi o sprawę mordercy dzieci z Łodzi.

– Jezu, o tę sprawę... Teraz sobie przypominam – to znaczy ja nie byłam jeszcze wtedy w policji, ale mój ojciec był i interesował się tym

makabrycznym tematem... Koleś nazywał się Kołtun...

– Tak, właśnie o nim chcę napisać! O Andrzeju Kołtunie! Naprawdę znasz tę sprawę?! Ale super! – Zaczęłam podskakiwać z podniecenia i nie mogłam uwierzyć, że otwierają się przede mną kolejne drzwi.

– No nie wiem, czy tak super. Ojciec spotkał tego człowieka – jeśli można nazwać go człowiekiem, bo ktoś, kto robi takie rzeczy, człowiekiem już chyba nie jest. To był bardzo przystojny facet. Taki czarny – ciemne włosy i ślepia ciemne jak piekło. Wysoki, młody, mógł poderwać każdą dziewczynę. W dodatku inteligent, nauczyciel. Z pieniędzmi, bo po ojcu sporo im zostało: dom, ziemia. Ojciec bił go w dzieciństwie, to wyszło w śledztwie. Opowiadał o tym. Strasznie się załamał po aresztowaniu. Pamiętam, bo to taka niecodzienna historia. Wampir z Łodzi.

– Bardzo mnie interesuje, jaki on był...

– On był, jak mówił mój ojciec, zupełnie normalny. Nigdy byś nie pomyślała, że mógłby zabić. A tymczasem zabił. Choć nigdy się nie przyznał, a wtedy to były metody, czasem trzeba było przycisnąć, żeby – no wiesz – żeby delikwent się przyznał. On nie przyznał się nigdy. Uczył swoją pierwszą ofiarę. To była prawdziwa piękność. Chyba Cyganka. Po zabójstwie przyjechał jej ojciec – który wcześniej ją zostawił i nie wychowywał jej – i miała pogrzeb nie z tej ziemi. Do dziś na starym cmentarzu stoi jej grób ze złotym baldachimem. No, to było wielkie wydarzenie. Ojciec tej dziewczynki to był jakiś ważny Cygan. Powiedział, że jak kary śmierci nie będzie, to on i tak znajdzie w więzieniu tego Kołtuna i go, no wiesz... Ta Cyganka ponoć była w nauczycielu-mordercy zakochana. Dziwna historia.

– Jak myślisz, dlaczego Kołtun się nie przyznał? Czy mordercy często się nie przyznają?

– Często zmieniają zdanie. Raz się przyznają, później odwołują zeznania. Albo piszą pamiętnik i przyznają się do jeszcze większej liczby zbrodni, a siedzą za jedną. Różnie z tymi psycholami jest. Nie wiem, czemu się nie przyznał. Jego matka musiała się wyprowadzić po tym wszystkim. Bo mieszkała gdzieś tutaj, w okolicy.

– Ona nie mieszkała gdzieś tutaj, ona mieszkała w domu obok!

– No co ty, Julka? – Wujek naprawdę się zdziwił.

– Serio. Sprawdziłam to. Andrzej Kołtun był naszym sąsiadem. Morderca dzieci.

– O, kurdebele, no to nieźle!

- Myślisz, że on na sto procent był winny?
 - Nie wiem, pewnie tak. Został skazany, wyrok wykonano, a on nie miał jeszcze trzydziestu lat, jak zawisł. Chyba nie szkoda ci takiej bestii?
 - Nie, chociaż jestem przeciwna karze śmierci. W średniowieczu wykonywano publiczne egzekucje i to nie zmniejszało przestępczości. Cieszę się, że w naszym kraju nie ma już takich wyroków.
 - Oko za oko, Julka. Czasami tak trzeba. Jak nie ma kary śmierci, to państwo musi utrzymywać tych sukinsynów.
 - Tak, ale co, jeśli zabije się niewinnego człowieka, przez pomyłkę...?
 - Pomyłka zawsze może się zdarzyć, ale w sprawie psychola takiego jak Kołtun na pewno mieli niepodważalne dowody i dlatego – w tym momencie wujek wykonał dziwny ruch, jakby się wieszał – sukinsyna powiesili. Koniec kropka.
 - Dzięki. Pewnie będę miała więcej pytań, może zabierzesz mnie do swojego taty, to sobie z nim pogadam, dobra?
 - Jasne, wszystko dla twojej szóstki z polskiego, Julka.
- Wujek uśmiechnął się, a mnie po raz pierwszy przysłała do głowy myśl: co, jeśli to nie był Kołtun i prawdziwy potwór nadal mieszka w naszej okolicy? Ta myśl była zupełnie od czapy.

Rozdział 28. Mrok

Teraz

Starość. Starość to zgnilizna, która dotyka właśnie ciebie. Zachorujesz na starość albo zabierze cię jakaś inna choroba. Nawet miłość może być chorobą.

Moim przeznaczeniem jest trwać na posterunku i projektować rzeczywistość.

To właśnie robię. Od lat w uśpieniu jak pluskwa za obrazem w starej kamienicy.

Wychodzę, gdy jest ciemno, i przyglądam się wszystkiemu, co mnie otacza.

Starym babom z psami, emerytowanemu bufonowi, który wygląda mi na lekarza. Nigdy nie mówi „dzień dobry”, nikomu. Jest bowiem przekonany o swojej ważności. Tymczasem jego data przydatności do spożycia już dawno minęła i teraz jest łysą karykaturą samego siebie.

I ten jego piesek. Kocham zwierzęta, bo na zawsze pozostają niewinne, ale jego piesek jest odzwierciedleniem swojego paskudnego właściciela i jest tak stary jak on. Nie lubię tego osiedla, bo załęgła się na nim starość.

Załęgła się też we mnie i zjada mnie, jak robak. Czasami jeszcze budzę się w nocy i czuję tę siłę i potrzebę. Tamten stary gniew.

Nasila się, kiedy w mojej obecności powieje młodością. Ta energia oszałamia mnie i prowokuje zło, które jest we mnie. Asocjuję stare wspomnienia. Przypominają traumę i budzą we mnie to, co najgorsze.

Kiedy na rowerze obok mnie przejeżdża uśmiechnięta młodość, prawie czuję, jak do mnie macha. Tu jestem. Złap mnie. Dogoń mnie, jeśli potrafisz.

Chcę ją dogonić. Chwycić tę młodość mocno w swoje ręce, które są coraz słabsze.

Widuję ją. Płynie przez mój strumień świadomości. Zbyt wysoka, zbyt dorosła, ale nadal dziecko.

Dziecko, które zaraz przestanie nim być.

Jej włosy mieniają się w słońcu lata. Na nich łuna czerwieni...

Nie złapię jej, jest ulotna. A może jednak ją złapię.
Czas nie pozbawił mnie bowiem rąk.

Rozdział 29. Asia

Wtedy

(z pamiętnika Asi)

Z Joanny zmieniałam się teraz w cyganicę, tak przynajmniej mówią na mnie dziewczyny. Powiedziałałam nawet o tym matce, licząc, że postara się pomóc, a matka roześmiała się i oznajmiła, że jak się tak zachowuję, to mnie dziewczyny przezywają. Że pewnie cały czas kłamię i włóczę się, i robię nie wiadomo co.

Nazywają mnie cyganicą, a ja nawet nie znam mojego ojca.

Ostatnio w szkole Monika zaczęła płakać, że przed lekcją WF-u zostawiła w szatni zegarek, który dostała na komunię, i już go później nie znalazła. Że ktoś go ukradł, a wiadomo, kto kradnie.

Dziewczyny zaczęły przeszukiwać mój plecak i nawet matka Moniki dzwoniła do mojej, starając się dać jej do zrozumienia, że zabrałam cenny przedmiot. Ja mam swój zegarek elektroniczny i naprawdę nie potrzebuję innego.

Nikt nie chciał mi pomóc, więc postanowiłam pogadać o całej sytuacji z Andrzejem. Bo chociaż już wiem, że on nie jest i pewnie nie będzie we mnie zakochany, to może zrobić jednak coś, żeby mi pomóc.

Zostałam po lekcjach w klasie, zwlekając z pakowaniem teczek, i zaczekałam, aż wszyscy wyjdą.

– Dziewczyny nie odpuszczają, co? – zapytał, jakby czytał w moich myślach.

– Nie, nie odpuszczają, oskarżyły mnie o kradzież i dostałam manto od matki, bo moja matka nie wierzy mi, ale wszystkim dookoła. Mówi, że szydło zawsze wyjdzie z worka i że pewnie ukradłam, skoro tak mówią. Jeszcze miesiąc temu byłam ich najlepszą przyjaciółką, a teraz jestem złodziejką i...

– Złodziejką chłopaków chyba. – Uśmiechnął się.

Znów zrobiło mi się cieplej na sercu, że ktoś mnie słucha i że ktoś mnie rozumie.

– To też. Tyle że ja nikomu niczego ani nikogo nie ukradłam. Mnie te chłopaki ze szkoły nic a nic nie obchodzą.

– Postaram się to jakoś załatwić, Aisza, dobrze? Porozmawiam z dziewczynami. Jeśli będzie trzeba, pójdziemy z tym do pani pedagog i do pana dyrektora. Trudno jest tak w pojedynkę dawać sobie ze wszystkim radę, a ty teraz właśnie stoisz w obliczu takiej sytuacji. Szkoła to nie jest miejsce, w którym szkaluje się uczniów, szkoła to powinno być miejsce rozwoju, spokoju i bezpieczeństwa.

– Bardzo dziękuję, proszę pana.

– Nie ma za co, Aisza. Pamiętaj, że jesteś moją najlepszą uczennicą. Pani od muzyki mówiła, że masz wybitny głos. Nie pozwolę, żeby ktokolwiek krzywdził tak utalentowaną dziewczynkę. Zresztą, nie pozwolę krzywdzić nikogo. Człowiek człowiekowi wilkiem, a powinien być bratem, no – powiedział to i delikatnie mnie objął. A raczej poklepał po plecach, ale to było tak na granicy objęcia. Jego bliskość znów sprawiła, że zmiękły mi nogi.

– No, uciekaj już do domu, do zobaczenia na spacerze z psem; widziałem, że spacerujesz z pieskiem za torami.

– To nie piesek, to suczka. Wabi się Duka.

Rozdział 30. Julia

Teraz

Śniła mi się ta dziewczynka. Była ubrana w czerwoną sukienkę z cekinami i wyglądała jak ktoś z telewizji, wprost ze sceny. Złote kolczyki w uszach, rozwiane włosy, czerwone usta.

W tym śnie siedziała na podłodze, wokół niej walały się dziwne przedmioty: potłuczona szklanka, fusy herbaty, kamienie i kości. Kiedy przyjrzałam im się bliżej, zobaczyłam, że to przede wszystkim kości, strzępy skóry, palce – brudne, nie białe.

Cyganka wyciągnęła do mnie rękę i powiedziała, że w nagrodę mi powróży.

Pomyślałam, że nikt mi jeszcze nie wróżył, i wyciągnęłam do niej swoją dłoń. I wtedy to się stało. Cyganka nie była już dziewczynką, ale szarym, oślizgłym potworem z ziejącymi pustką oczami i szponiastą łapą, i tą łapą stwór złapał mnie mocno za nadgarstek. Pomyślałam, że skóra zejdzie z mojej ręki jak rękawiczka i że z mojej dłoni zostaną same kości... Kości i strzępy skór dookoła Cyganki. Zaczęłam wrzeszczeć i obudził mnie mój własny krzyk. Usiadłam na łóżku. Byłam spocona i bliska płaczu.

Mój krzyk obudził też mamę, która przybiegła do mojego pokoju. Wyglądała na przestraszoną.

– Julia, wszystko dobrze? – zapytała, gdy weszła.

– Nie wiem, chyba tak... Miałam okropny sen...

Mama usiadła na moim łóżku, a po chwili położyła się obok mnie.

– Mnie też śniły się jakieś głupoty, takie niepokojące, ale nie pamiętam, co dokładnie.

– Spróbujmy jeszcze zasnąć – powiedziałam, naciągając na siebie mój ulubiony włochaty koczek.

– Co ci się śniło, Julia?

– Śniła mi się mała Cyganka. Chciała mi powróżyć, a jak podałam jej rękę, zmieniała się w potwora i próbowała obdrzeć mnie ze skóry... Wokół niej leżało pełno skór i kości. Powiedziała, że powróży mi w nagrodę...

– Okropność. – Mama położyła rękę na mojej głowie i pogłaskała mnie po włosach.

Poczułam się bezpiecznie i spokojnie, choć gdzieś pod skórą nadal pozostało niebezpieczne pulsowanie. Niepokój. Jakby coś miało się wydarzyć. Coś złego.

Rozdział 31. Asia

Wtedy

(z pamiętnika Asi)

Zacząło się od tego, że co noc ktoś dzwonił do naszych drzwi. To było bardzo wkurzające. Około drugiej w nocy, kiedy zwykle śpisz w najlepsze, nagle rozlegał się dzwonek.

Budzili się brat i mama, i jej nowy gach, Kazik. Budziłam się też ja.

– Do kurwy nędzy, ktoś sobie jaja robi! – Matka wściekała się, wyglądała przez okno, ale nikogo tam nie było.

– Z siekierą na nich wyjdę! – zapowiedział swoim paskudnym głosem Kazik.

– To pewnie twoi znajomi spać nie dają, znowu się komuś naraziłaś, Aśka. Same kłopoty z tobą.

Niech się wali. Stara, głupia małpa. Wszystko na mnie, wszystko moja wina, gdyby nie ja, to teraz by miała męża i superzycie, a tak od rana do wieczora siedzi w przedzalni i ręce jej już odpadają.

Wcześniej myślałam, że rzeczywiście to ja zmarnowałam matce życie. Bo była taka młoda, bo zdecydowała się mnie urodzić, czego bardzo żałowała i o czym zawsze mówiła, i mój ojciec ją zostawił, i wszystko się posypało. A była taka ładna i miała takie branie.

Teraz, od kiedy spotkała Kazika, niby jest dla mnie trochę miłsza. Wygląda na zadowoloną. Włosy zrobiła na blond – krótka trwała, więc jest tak, jakby tych swoich włosów miała więcej.

Oko umalowane, usta też, klipsy w uszach – takie koła, niby z masy perłowej. Paznokcie umalowane na czerwono. Cała w dzinsie, obcisła kiecka, czerwona bluzka z poduszkami, taka klasa moda polska. Koleżanka jej uszyła, z „Burdy” wykrój miała. Matka naprawdę się stara, jak Kazik wraca z roboty – a jest hydraulikiem czy kimś takim w dużym państwowym zakładzie – to obiad na stole, wódeczka też z meliny kupiona. Zaraz obok naszego domu jest melina u Elki. Matka tej Elce rajstopy załatwia i ma taniej wódkę.

Wieczorami znajomi się schodzą, szczególnie w piątek i sobotę. Mamy tylko dwa pokoje. Jak się wchodzi, to jest przedpokój, z niego wejście do małej toalety, potem kuchnia razem z pokojem i wejście do mnie i brata. Mamy piętrowe łóżko, co jest prawdziwym luksusem, jeden z gachów matki nam taki luksus zbudował.

Ledwo się w tym naszym pokoju mieścimy, ale strach wyjść, jak matka się bawi, bo jak imprezka, to dzieci mają być niewidoczne. Brat to jeszcze jest taki słodki, więc czasem może wyjść, ale ja nie. Najlepiej, żebym zniknęła pod kołdrą.

Do rana balują, muzyka gra ze szpulowego magnetofonu, chluby mojej matki.

Nie muszę mówić, że nienawidzę tych imprez. Że marzę, żeby wtedy być gdzieś indziej, w ciszy i spokoju, żeby drzwi cały czas się nie otwierały, żebym nie musiała patrzeć na matkę i jej gachów zmieniających się szybciej niż widoki za oknem pociągu.

Nauczyciel polskiego zadał nam wypracowanie: „Czego najbardziej nie lubię”. Temat ciekawy. Dziewczyny pisały, że najbardziej nie lubią białej kaszy z sosem albo zalewajki z rozmokniętymi skwarkami, i że nie lubią, kiedy rodzice się kłócą... i kiedy trzeba zajmować się rodzeństwem.

Ja napisałam, że nie lubię swojego domu i braku poczucia bezpieczeństwa. Że mój dom jest zaprzeczeniem idei domu. Że boję się w nim spać, żeby ktoś nie wlaźł do pokoju, nie dotknął mnie. Napisałam, że nie lubię własnej matki, bo czuję, że mnie nie kocha, i nie rozumiem, jak można nie kochać swojego dziecka. Kiedy ja będę miała dziecko, to okażę mu największą czułość i dobroć, i nie będę go odstępować na krok. Będziemy razem wyjeżdżać na wakacje. Kiedy żyła moja babcia, zdarzyło mi się kilka razy z nią wyjechać. To było takie cudowne. Siedziałyśmy razem w pokoiku gdzieś w górach i popijałyśmy herbatkę z cytryną i cukrem. Tuliłyśmy się do siebie, a babcia mówiła mi, że jestem mądra i ważna, że całe życie przede mną i muszę sobie to życie dobrze ułożyć. Wróżyła mi szczęście. Niestety umarła i już jej nie ma. I nie lubię tego, że już jej nie ma.

I o tym właśnie napisałam w moim wypracowaniu.

Pamiętam, że po jego lekturze Andrzej został ze mną po lekcjach. Powiedział mi, że ciężko jest żyć w dysfunkcyjnej rodzinie, ale można wyjść z tego bez szwanku, że on też miał bardzo trudne dzieciństwo. Nie chciał opowiadać, jak trudne, ale udało mu się skończyć studia,

usamodzielić. Powiedział, że bardzo we mnie wierzy i że zawsze mogę na niego liczyć, i jak będzie trzeba, to nawet porozmawia z moją matką, jest w końcu pedagogiem.

Bardzo mnie to rozczuliło. Powiem szczerze, że gdyby przestał nas uczyć, to chyba bym się zabiła. To jedyna osoba na całym świecie, która się mną przejmuje.

Mniejsza z tym. Ktokolwiek dzwoni do nas w środku nocy, niech wie, że jestem mu wdzięczna, że burzy „spokój” mojej paskudnej rodziny. Mam nadzieję, że będzie budził moją matkę i jej gacha codziennie.

Zresztą ten jej gach jest, moim zdaniem, paskudny. Gruby, pod wąsem, koszula w kratkę włożona w spodnie. Zawsze ta sama. Łysawy i spocony. Prawdziwe spełnienie marzeń każdej kobiety.

Dobranoc, pamiętniczku. Muszę cię dobrze ukrywać, żeby ten idiota Kazimierz cię nie dorwał. Ani ta niby-mama.

Rozdział 32. Andrzej

Wtedy

Rozmawiałem z Celiną o tym, że martwię się o jedną z moich uczennic. O bardzo wyjątkową dziewczynę. Za kilka lat zawróci w głowie niejednemu chłopakowi. To prawdziwa piękność. Ale żeby nikt nie myślał, że wychodzę poza rolę nauczyciela – mam po prostu oczy i widzę.

Zresztą, pomijając to, jak wyjątkowo piękna jest Aisza, to jest też niezwykle inteligentna. Czytam jej wypracowania, pożyczam jej coraz to nowe książki i kiedy czasami zdarzy mi się jej posłuchać, to wydaje mi się, jakby miała lat osiemnaście, a nie czternaście.

Gdyby tylko w domu miała spokój, gdyby miała normalną rodzinę... Ale ma matkę, która jest młoda i myśli tylko o swoich przyjemnościach. Mogę się tylko domyślać, że po domu coraz to nowsze chłopcy się pałętają. Aisza ma jeszcze młodszego brata. On jednak nie jest taką kością niezgody, jak moja uczennica.

Celina powiedziała, że gdyby cokolwiek złego się działo, to ona bardzo chciałaby pomóc. Zaoferowała nawet, że porozmawia z matką i może dziewczynka będzie mogła przychodzić na lekcje śpiewu do Marii Rosy. Maria, oczywiście, nie udziela żadnych lekcji, ale może w tym przypadku zrobiłaby wyjątek.

Aisza ma kawał głosu. Słyszałem ją tylko raz, w trakcie akademii, ale zapadło mi to w pamięć.

I pomyśleć, że matka może zmarnować takie dziecko, takie piękne, wyjątkowe i dobre dziecko.

Myślę, że mała trochę się we mnie podkochuje, ale to pewnie taki moment w jej życiu. Zresztą, wygląda na to, że nikt jej nie rozumie, a ja się staram. Celina śmieje się, żebym tylko nie starał się za bardzo, bo za chwilę to ja rozplnę się w jej półcygańskich oczach. Właśnie, bo ona jest w połowie Cyganką. To stąd pewnie ma urodę i słuch muzyczny.

Celina nie musi się o takie rzeczy martwić. Jej obecność sprawia, że jestem w innym, lepszym świecie. W świecie, w którym każda chwila jest wyjątkowa, a każdy kolor jeszcze bardziej żywy.

I to jest uczucie, którego szukałem dwadzieścia sześć lat. Kiedy kładę głowę na poduszce, czuję, że ona leży obok mnie, choć oczywiście obok mnie jej nie ma.

Kiedy wyciągam rękę w ciemności, czuję, jakbym splatał moją dłoń z jej dłonią.

Z jej piękną, smagłą dłonią.

Celina sprawia, że jestem romantyczny, że jestem otwarty na świat. Jest moim ratunkiem. Zaczyna być moim wszystkim. O niczym nie marzę tak bardzo, jak o tym, żeby wziąć ją w ramiona i żeby była moja. Pragnę jej.

A ona pragnie mnie.

To jest taka cicha niewyartykułowana wzajemność.

Możemy rozmawiać o wszystkim. Nawet o pięknych uczennicach.

Rozdział 33. Maria Rosa

Teraz

Dziewucha znowu w złym momencie przyszła zrobić zakupy. Nawet na dziewczuszyisko nie patrzę, tylko pieniądze daję w progę. Dzwoniła jak oszalała, jakbym była głucha... No cóż, jestem głucha.

Powiedziała, że już chciała iść po Jana, bo bardzo się przestraszyła, że coś mi się stało. Kolejna troskliwa, zupełnie jak ta nieżyjąca – świeć, Panie, nad jej duszą – Żukowa.

Byłam w pokoju. Tak mało czasu w nim spędzałam, zapomniałam o mojej córce, zaniedbywałam jej pamięć. A nic już więcej, prócz tej pamięci, mi nie zostało. Mój kolorowy motyl, który miał mnie przenieść w przyszłość. Może nie mnie dosłownie, ale moje geny i mój talent. Wszystko to, co los mi zabrał.

I pomyśleć, że siedziałam właśnie w fotelu, który tak lubiła Celinka. Jej pokój z tapetą na ścianie. Tapeta jest jasnoniebieska w maleńkie listki. Wersalka przykryta kocem w brązowo-szarą kratkę. Wtedy nie było takich niesamowitych przedmiotów jak teraz. Nawet zdobycie wersalki to było wyzwanie. Obok wersalki wysoka lampka z abażurem ze sznurka, ozdobiona pomarańczowym kwiatem. Podłoga piękna, drewniana, układana na francuską modłę – w jodełkę. Stare biurko pod oknem, rzeźbione krzeselko z wytartym już siedziskiem. I ten ulubiony fotel – na lwich nogach, szary, z poduszką zrobioną na drutach. W lewym rogu pokoju szafa z kryształowym lustrem, obok biblioteczka ze szklaną, zasuwaną witryną. I mały stoliczek tuż obok wersalki, a na nim adapter i magnetofon kasetowy. Na ścianie obraz, a na nim dziewczynka zbierająca kwiaty na łące. Jest ubrana w białą suknię, stoi tyłem, na głowie ma piękny kapelusz. Dzień jest słoneczny, dziewczynka wydaje się szczęśliwa. W szafie nadal ubrania Celiny. Jej baletki, przewieszzone niedbale.

Taki zwyczajny pokój, a tyle niezwykłych w nim wspomnień. Pokój, w którym Celinka dorastała. Pokój, w którym umarła.

Pokój, w którym nadal stało jego zdjęcie. Byłam pewna, że to zdjęcie nie stoi już u nikogo, że nikt nie ma ustawionej na starej witrynie fotografii

straszego mordercy. Tylko ja, i to nie dlatego, że ją tam ustawiłam; ustawiła ją Celina, a ja nie miałam sumienia i odwagi tego zdjęcia schować. No i...

Moja córka i Andrzej byli naprawdę blisko. Gdyby nie śmierć Celiny, może nawet dalej byliby razem. Tylko jak mogliby być razem, skoro on okazał się takim bydlakiem.

To było małe zdjęcie, takie do dowodu. W tamtych czasach ludzie nie latali wszędzie z aparatem. Zdjęcia były luksusową pamiątką. Na fotografii mężczyzna ma pogodny wyraz twarzy, ciemne włosy okalają jego czoło, pełne usta są leciutko uśmiechnięte. Jest młody. Zresztą, on nawet umarł młody. Uczynił takie spustoszenia, a los nie doświadczył go zgryzotami starości. Umarł taki silny, wysoki, z tymi swoimi pięknymi szerokimi ramionami, z tym swoim chudym tyłkiem, z tymi swoimi wielkimi stopami. Andrzej.

„Mamo, ja kocham Andrzeja” – przypomniały mi się słowa córki. Zaufała mi i powiedziała to na głos, i nie wiedziała nawet, jak bardzo zraniła tym swoją matkę.

„Co ty wiesz o miłości, co ty masz do zaoferowania. Nic. Ty jesteś bardzo chora i...”.

„Ja chcę żyć...”.

„Nie wiesz, co mówisz!”.

Wybiegłam wtedy z tego pokoju i nigdy później nie miałam już okazji porozmawiać z Celinką. To była nasza ostatnia rozmowa.

Wyszłam z pokoju i zamknęłam ze sobą drzwi. Klucz, jak zwykle, zawiesiłam na szyi. Zeszłam po zakupy, bo usłyszałam dzwonek. Dziewucha wróciła.

Po raz pierwszy lepiej jej się przyjrzałam. Całkiem miła na buzi brunetka. Taka zwykła nastolatka. Szczupła. Za szczupła. Taki pisklak nieopierzony.

– Chciałam tylko powiedzieć, że to dla mnie wielki zaszczyt, że mogę pomagać tak wybitnej osobie... – powiedziała nieśmiało, zaglądając mi przez ramię, w głąb mieszkania.

Poczułam dziwne łaskotanie w brzuchu. Czułam się taka zapomniana. Zapomniana przez cały świat. I nagle ta mała mówi mi coś miłego. I nie traktuje mnie infantylnie, nie traktuje mnie jak starego cukierka, który już nie nadaje się do schrupania, ale z szacunkiem i z podziwem.

– Ech, dziecko... To było dawno i nieprawda. – Cofnęłam się w głąb korytarza, nogą zatrzaskując za sobą drzwi. Jednak po chwili zawróciłam, otworzyłam drzwi i zaprosiłam tę małą do środka.

– Wejź – powiedziałam, a dziewczynka bez zastanowienia przyjęła zaproszenie.

Rozdział 34. Julia

Teraz

Stara po raz pierwszy wpuściła mnie do swojego królestwa. O dziwo, to królestwo jest w doskonałym stanie. Jak widać nie jest z nią jednak tak źle i sama sobie potrafi posprzątać. Wygląda to nawet tak, jakby cały talent muzyczny przełożyła na talent do sprzątanania, bo pomimo braku pomocy pani z PCK dom jest zadbane. Panuje w nim „nieład artystyczny”, jak to czasem określa moja matka.

Nie spodziewałam się, że mnie wpuści, bo przecież miałyśmy witać się w progu i tyle. Tymczasem zasiadłam u niej w salonie, widziałam fortepian, i pani Rosa włączyła nawet muzykę. Oczywiście operę.

Zapytałam, czy to jej nagranie. Uśmiechnęła się tylko i pokręciła przecząco głową.

– Nie jestem megalomanką – stwierdziła i zaparzyła mi herbatę. – Pamiętaj, że herbaty ziołowe działają cuda. To lek na wszystko, nawet na smutki. Wiem, co mówię. Nawet na nieszczęśliwą miłość. – Mówiąc o tej miłości, przyglądała mi się bardzo uważnie, jakby starając się wy badać, czy byłam już zakochana. Niestety nie byłam. Jestem dzieckiem. Nie to, co Marlana.

– Moja córka w twoim wieku też jeszcze nie była zakochana. Zresztą, kiedy ona była w twoim wieku, to ja byłam zajęta swoją sceną, swoim życiem, a nie nią. Niestety. – A więc wyczytała to ze mnie: że jestem jeszcze małą dziewczynką. Pewnie wszyscy potrafią to wyczytać, a może tylko ona? Może wyjątkowo czyta ludzi.

– Grasz na fortepianie? – zapytała mnie, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie, jakby każdy grał na fortepianie.

– Niestety nie – odezwałam się, znów za głośno. Nigdy nie wiem, kiedy Maria Rosa mnie słyszy.

– Nie krzycz, dziecko. Podkreśliłam aparat. Powiem ci w sekrecie, że jak już ludzie strasznie mnie znudzą, to go wyłączam i wtedy – strefa zero. Cisza.

Pomyślałam, że to zabawne. Że ona nawet nie jest taka okropna, ale jest zabawna.

Zjadłam kawałek ciasta, którym mnie poczęstowała. Od dawna musiało zalegać w lodówce. Smakowało lodówką i z trudem połykałam każdy kęs. Kiedy wychodziłam, zrobiło mi się niedobrze. Maria Rosa może potrafi ogarnąć swój dom, ale z pieczeniem jest na bakier – i to mocno na bakier. Pożegnałam się i pobiegłam do domu. Od razu zwymiotowałam.

– Źle się czujesz? – zapytała matka.

Jaka ona jest czujna, wie wszystko, może boi się, że mam bulimię. Teraz bulimia jest dość popularna. Marlena już kilka razy próbowała rzygać po posiłkach. Mówi, że figura jest dla niej najważniejsza. Dopiero na którymś tam miejscu jest zdrowie. Nie mogę powiedzieć matce o tym, co wyrabia, bo zaraz wydałoby się, że nie potrafię dotrzymać sekretu, a niedotrzymanie sekretu to często koniec przyjaźni. Marlena mówi mi wszystko i jesteśmy jak siostry.

Odpowiedziałam, że – o dziwo – zostałam wpuszczona do domu sopranistki i uraczona starym ciastem, i że z trudem dobiegłam do domu, żeby to ciasto zwymiotować, bo okropny smak odbijał mi się przez całą krótką wizytę.

Mama poprosiła, żebym starała się u niej nie jadać, bo mnie kobita otruje. Powiedziała też coś wyjątkowo ciekawego: że spotkała tę naszą nową sąsiadkę, Agatę, że weszła do niej na kawę i była zapłakana.

Zaczęłam ciągnąć matkę za język. Okazało się, że Agata dostała wyniki badań i wyszło, że ma torbiele na jajnikach, i pewnie będzie potrzebna operacja, bo inaczej trudno jej będzie zajść w ciążę, a ona już bardzo chce mieć dzieci, bo ma trzydzieści cztery lata i podobno od kilku lat starają się o dziecko. Oczywiście to sekret i z nikim nie wolno mi o tym rozmawiać.

Czasami dziwię się, że moja naiwna mama opowiada mi takie rzeczy. Ona uważa, że w rodzinie wolno plotkować, i tylko w rodzinie, bo jak się opowiada koleżankom, to sekrety zawsze wychodzą. Ciekawe, o jakich swoich sekretach opowiadała koleżankom i jakie jej sekrety wyszły.

Moja matka wydaje się raczej nudną i poukładaną osobą. Ojciec też, wprawdzie w mojej opinii ma fascynującą pracę, ale poza tym jest ułożony i oddany matce. Marlena mówi, że jest w matkę zapatrzony jak wierny pies i nawet na niej nie zawiesza oka. Jak miałby na niej zawiesić oko, skoro zna ją od siódmego roku życia?!

Marlena ma w sobie coś takiego, że do każdego potrafi się wdzięczyć, i uważa, że każdy na te jej wdzięki ma odpowiadać. Nawet starego pana Ogródnika nie oszczędza, uśmiecha się do niego słodko i pręży się przed nim. Powiedziałam jej kiedyś, że to nienormalne, chore i głupie. Nawet się nie obraziła, stwierdziła tylko, że ja to nic nie wiem, bo kobiecość jeszcze nawet się we mnie nie obudziła.

No to już chyba wolę, żeby się we mnie nie budziła, jeśli mam latać za każdym samcem z naszej ulicy, bez względu na jego wiek.

Jeśli chodzi o tę naszą nową sąsiadkę, to może powinna spróbować ziół, ponoć pomagają na wszystko – tak przynajmniej twierdzi Maria Rosa. Następnym razem, jak u niej będę, podpytam, nie mówiąc, o kogo chodzi. Podpytać zawsze warto.

Mam też pomysł, żeby wybrać się na cmentarz i znaleźć grób Andrzeja Kołtuna. Czuję pod skórą, że mój projekt będzie najciekawszy i że to będzie wielki sztos.

Rozdział 35. Asia

Wtedy

(z pamiętnika Asi)

Zaraz po lekcjach dziewczyny poprosiły mnie, żebym z nimi poszła. Chciały się pogodzić i pogadać. Monika, zdawało się, wybaczyła mi zainteresowanie Maćka. Widziała, że jakoś za nim nie latam. Zrozumiała chyba, że to on się we mnie zabujał.

Przynajmniej tak mi się wydawało, kiedy wyszłam z nimi po szkole. Powiedziały, że ostatnio odkryły fajną zabawę i że wtajemniczą mnie, jako przyjaciółkę. Trochę im niedowierzałam po ostatnich sytuacjach, kłótniach i prześladowaniach, ale chciałam wyciągnąć rękę na zgodę.

Kiedy wyszłyśmy poza teren szkoły, zorientowałam się, że dziewczyny nie idą tak po prostu na spacer, że one idą za kimś.

Wskazały mi małą dziewczynkę w granatowym fartuszku z dopinanym kołnierzykiem. Sama pamiętam, jak w młodszych klasach nosiłam taki fartuszek. Dziewczynka miała na sobie cienką czerwoną kurtkę, włosy mysiego koloru były splecione w dwa warkocze.

– To Zuzia. Od jakiegoś czasu tak za nią chodzimy. No, trochę ją straszymy. To takie głupie dziewczuszyśko – powiedziała Kaśka, ledwo za nami nadążając, bo ze względu na swoją tuszę poruszała się wolniej i sapała.

Kiedy znalazłyśmy się przy torach, dziewczyny przyspieszyły, więc przyspieszyłam i ja.

– Te, głupia fujaro! Niedojdo! – zaczęła Monika i podbiegła do małej, trącając ją w tornister.

Dziewczynka się zachwiała.

– Powinnaś chodzić do jakiejś wiejskiej szkoły, ty karaluchu! Okularnica! Ślepy kret! – kontynuowała atak Kaśka.

– Dzięcioł, kujon! – zawtórowała Monika.

Dziewczynka odwróciła się do nas i widać było, że się boi i czuje się nieswojo.

– Zamieszkaj na drzewie, ty dzięciole porąbany!

– Któregoś dnia cię dopadniemy! Do rzeki cię wrzucimy. „Plum” ci zrobimy do Sokołówki, ty okularnico!

Dziewczynka zaczęła płakać i uciekać przed nami, a ja zastanawiałam się, po co one to robią.

– Jak chcesz nadal być w naszej paczce, to musisz ją dogonić i przestraszyć! Pacnij ją w tę głupią łepetynę i rzuć na nią cygański czar! – zażądała Kaśka.

– Weź się, ja nie umiem rzucać cygańskich czarów... A już na pewno nie na takie małe dziewczynki! – oburzyłam się, bo moje były przyjaciółki nagle wydały mi się podłe i marne.

– Każda Cyganka to umie, masz to we krwi, a krew nie woda! – Monika się śmiała.

– Skoro mam to we krwi, to uważaj, żebym czasem nie rzuciła czaru na ciebie! Od tygodni latacie za mną i mi dokuczacie, ale, jak widzę, to wam nie wystarcza. Musicie gnębić małe dziecko. Jesteście... Jesteście paskudne – powiedziałam, sama zdziwiona swoją odwagą i stanowczością. Kaśka i Monika zamarły.

– Więc nie chcesz się z nami przyjaźnić? Pamiętaj, że dałyśmy ci ostatnią szansę. Właśnie ją zmarnowałaś. Teraz zostaniesz zupełnie sama. Zero przyjaźni, słyszysz!

– Mam gdzie waszą przyjaźń! – Odwróciłam się na pięcie i zaczęłam bardzo szybko iść w stronę osiedla.

– Uważaj, żeby nie spotkało cię nic złego! Wypadki chodzą po ludziach! – krzyknęła za mną Kaśka.

– A gdzie takie mądrości wyczytałaś, skoro nie czytasz, co? Ty paskudna gruba świni! – wrzasnęłam.

Kaśka zaczęła biec w moją stronę. Zatrzymałam się. Nie bałam się tej świni. Bardziej bałam się tego, co ja mogę zrobić.

– Nienawidzę cię – syknęła i złapała mnie za włosy, zaczęła ciągnąć w stronę ziemi.

Nie zastanawiając się, uderzyłam ją pięścią w brzuch, i jeszcze raz. Zaczęłyśmy się szarpać i już po chwili leżałyśmy w trawie, tarzając się i okładając, gdzie popadnie.

– Gruba świni! – wrzeszczałam.

– Cyganicha! – odpowiadała mi.

I wtedy pojawił się zupełnie obcy człowiek. Siwowłosy pan, który zaczął nas od siebie odciągać.

– Uspokójcie się! Za chwilę zaprowadzę was do dyrektora. Jestem pewien, że chodzicie do tej szkoły. Jak można się tak zachowywać, panienki? Co? Nie przystoi!

Czułam, jak podnosi mnie z ziemi i stawia na nogi, i widziałam, jak staje między nami.

– Przepraszam – powiedziałam do niego, ale tylko do niego. Do Kaśki nie zamierzałam się już nigdy odezwać.

– Trochę szacunku dla samych siebie – skarcił nas mężczyzna i ruszył w swoją stronę.

Monika stała w pewnej odległości od Kaśki. Widać, w razie kłopotów nie chciała być w nic zamieszana. Ona zawsze wywoływała aferę, a później robiła te swoje słodkie, niewinne minki.

Odwróciłam się w stronę przejazdu kolejowego i wtedy zobaczyłam, że ten mężczyzna nadal na nas patrzy. Chyba chciał mieć pewność, że już sobie nie skoczymy do oczu. Przeszedł mnie dreszcz. Nie mogę angażować się w takie głupie afery. W oczach matki to zawsze będzie moja wina. Ostatnio stwierdziła, że jak się źle zachowam, to Kazik zdejmie pas i „natłucze mi do dupy”. Patrząc na niego, wiem, że chętnie by to zrobił.

– Ja dostawałem od ojca i wyszedłem na ludzi – stwierdził Kazimierz i popatrzył na mnie.

– Ale ty nie jesteś moim ojcem! – odezwałam się i wtedy od razu poczułam na twarzy uderzenie.

Matka była szybka i miała twardą rękę.

– Ryj w kubeł! – wrzasnęła na mnie, i chociaż chciałam wyjść, to wiedziałam, że nie mam dokąd.

Więc przetykałam obiad razem ze łzami.

Rozdział 36. Andrzej

Wtedy

Rozmawiałem ze szkolną pedagog o Aiszy. Iwona sprawia wrażenie bardzo miłej dziewczyny – młoda, atrakcyjna, sensowna.

Powiedziała mi, że z Asią są problemy i że jej własna matka była w szkole na skargę. Podobno sobie z nią nie radzi, wychowawczo już nie wyrabia i nawet zastanawiała się nad szkołą z internatem, bo boi się, że córka może mieć demoralizujący wpływ na młodszego brata. Mówiła, że zaczęła układać sobie życie i nareszcie mają dwie pensje, a nie jedną, i teraz, kiedy mogłoby być tylko lepiej, to jest gorzej i gorzej, bo Joanna nie słucha, pyskuje, a nawet bije brata.

Zdziwiłem się, słysząc to, i zasugerowałem, że być może teraz, jak baba znalazła sobie gacha, to córka jej w domu zaczęła przeszkadzać. Pokazałem jej kilka wypracowań Aiszy i przypomniałem, jaką dziewczyna ma wrażliwość, bo każdy słyszał ją śpiewającą na akademii. Powiedziałem, że ja za tę uczennicę ręczę i wydaje mi się, że u niej w domu dzieje się coś złego i trzeba dziecko ratować, bo ma przed sobą przyszłość, chyba że za moment zdarzy się jakaś tragedia i ktoś podetnie jej skrzydła.

Iwona słuchała mnie z zainteresowaniem i nawet przytakiwała. Powiedziała, że może mam rację i że ona chętnie przyjrzy się sprawie. Na koniec oznajmiła, że jestem nowy i nie znam jeszcze dobrze grona pedagogicznego, a szykują małą prywatkę i jestem zaproszony. Prywatka odbędzie się u niej i będzie sporo fajnych dziewczyn. Nie wypadało mi odmówić, więc przyjąłem zaproszenie. Chciałem zapytać, czy mogę przyprowadzić osobę towarzyszącą, ale Iwona mnie ubiegła, informując, że to spotkanie zamknięte, tylko dla grona pedagogicznego. Mrugnęła przy tym do mnie znacząco, jakby chciała mnie zawstydić.

Sam nie wiem. Słyszałem, że jak w szkole pojawia się mężczyzna, to wśród nauczycielek – często kobiet stanu wolnego – robi się prawdziwa burza. Nie przypuszczałem, bym ja mógł tę burzę wywołać. Dziewczyny, owszem, były dla mnie życzliwe, ale nie szukałem w tym podtekstów.

Rozmowa z Iwoną pokazała mi jednak, że mają jakieś oczekiwania względem mnie.

Szkoda tylko, że one nie wiedzą, że jestem zajęty. Moje serce jest chore, ale istnieje kobieta, która sprawia, że jestem szczęśliwy. Zresztą – nieważne.

Skoro porozmawiałem z pedagog, postanowiłem też porozmawiać z matką Asi. Prawdę mówiąc – byłem jej ciekaw. Aisza mówiła, że jest młoda, że bardzo wcześnie ją urodziła. Byłem ciekaw, jak wygląda i co z niej za człowiek. Miałem negatywne wyobrażenie, bo wiedziałem tylko tyle, ile moja uczennica pozwoliła mi się dowiedzieć.

Mieszkali blisko szkoły, więc zaraz po lekcjach wybrałem się w stronę poniemieckich parterowych domków, które wyrastały tuż obok szkolnego budynku. Po pięciu minutach byłem na miejscu. Numer pięć. Zadzwoiłem, ale nikt nie otworzył. Nacisnąłem klamkę i wszedłem na zagracone podwórko. Trzy stopnie po schodkach i zapukałem do drzwi mieszkania. Cisza. Nacisnąłem klamkę i wszedłem. Wpadł na mnie wielki, czarny pies. O ile pamiętałem, pies Aiszy był mały. Tuż za psem, na jego kształt i podobieństwo, wyskoczyła na mnie wielka kobieta.

– Czego tu?! Jak do siebie włazi! – zagrzmiała z wielką złością.

– Dzień dobry, szukam pani Pejki. Mamy Aiszy, to znaczy Asi Pejki. Dom numer pięć.

– Pejkowa mieszka obok. Szczęście, że pies pana nie pogryzł.

– Bardzo przepraszam. – Zacząłem się wycofywać i z wielką ulgą zamknąłem za sobą stare, skrzypiące, drewniane drzwi.

Co za sąsiedztwo! – pomyślałem. Okropna baba. Już trochę przestraszony, ruszyłem ku kolejnej, pewnie też niegościnniej furtce. Nie miałem pewności, czy zastanę panią Pejkę. Wiedziałem, że pracuje w fabryce i jest włókniarką – jak tysiące łódzkich kobiet.

Furtka była zamknięta. Zadzwoiłem raz i drugi. W końcu w drzwiach wejściowych pojawił się niski mężczyzna około pięćdziesiątki.

– Do kogo? – zapytał.

– Jestem nauczycielem Joanny Pejki. Przyszedłem porozmawiać z jej matką.

– A, znów kłopoty z tą gówniarą! Janki nie ma. W robocie jest.

– Czy mógłbym porozmawiać z panem? – zagadnąłem; nie dlatego, że miałem ochotę na rozmowę z nim, ale dlatego, że chciałem wybadać kołesia, który mieszka z Aiszą pod jednym dachem. Chciałem wiedzieć, czy

jest bezpieczny, czy nadaje się na ojca. Choć, oczywiście, nawet gdyby się nie nadawał, nie miałbym w tej kwestii zbyt wiele do powiedzenia.

– No, w sumie czemu nie. Mieszkamy razem, wychowuję Aśkę. – Wszedł do mnie, żeby otworzyć furtkę, która cały czas nas od siebie oddzielała.

Wszedł do domu pierwszy, a ja za nim. W nos uderzył mnie zapach kociego moczu. Mały hol, za nim wejście do pokoju połączonego z kuchnią. I drzwi do kolejnego. To tam pewnie mieszka Aisza.

– Usiądzie pan? Herbaty, kawy? – zapytał mnie. – Kazimierz Grzelak jestem.

Wyciągnął do mnie dłoń o grubych palcach. Uścisnąłem ją mocno.

– Andrzej Kołtun – przedstawiłem się. – Nauczyciel polskiego.

– Miło mi. To o czym pan chciał porozmawiać?

Patrzyłem, jak wlewa wodę do szklanki, z małego czajniczka dolewa mocną herbacianą esencję, bez pytania słodzi, a następnie wstawia do metalowego koszyczka.

– Rozmawiałem z panią pedagog, przyglądaliśmy się ocenom Asi i chcielibyśmy zaproponować jej dodatkowe lekcje, specjalne warsztaty dla wybitnych dzieci...

Kiedy to mówiłem, widziałem, jak Kazimierz Grzelak zmienia się na twarzy. Jego uprzednia ciekawość i pewność, że przyszedłem ze skargą, zmieniła się teraz w cichą podejrzliwość i niepewność, o co mi w rzeczywistości chodzi.

– Że niby co?

– Joanna jest wybitnie uzdolniona z języka polskiego, jest moją najlepszą uczennicą, pisze wypracowania na poziomie liceum. Chcemy przygotować ją do olimpiady.

– Aśkę? Jej nie da się zagonić do książek. Cały czas matka tylko drze się na nią i drze – i nic.

Chciałem powiedzieć, żeby może przestała się drzeć, a zaczęła rozmawiać, ale wiedziałem, że nie tędy droga.

– W szkole radzi sobie znakomicie, widać jest jeszcze zdolniejsza, niż myśleliśmy.

– Wie pan co? Ja tam wiem swoje. Dziewucha ma diabła za skórą. Pan tak gada, bo na pana też rzuciła ten swój cygański czar, co?

Spojrzałem w jego okrągłe, przekrwione oczy i już o nic nie musiałem pytać. W tych oczach wyczytałem wszystko, czego tak bardzo się

obawiałem.

– Przychodzę tutaj jako pracownik szkolny, pedagog i nauczyciel Joanny Pejki. Ona jest moją wybitną uczennicą... – zacząłem, ale mi przerwał.

– Wybitną uczennicą, tak? Panie nauczycielu, mnie tam jest obojętne, czy ona jest wybitna, czy niewybitna, byle mi w domu nie fukała. Ma być posłuszna. Jak będzie, to niech robi, co chce. Takie to w domu długo miejsca nie zagrzeją. Zaraz dzieciak jaki jej się przytrafi i i tak do fabryki pójdzie. Polonistki to z niej nie będzie. Cygan ze mnie nie jest i wróżyć nie potrafię, ale panu nauczycielowi mówię.

– Pożegnaj się już. Do widzenia.

Wstałem, otrzepałem spodnie z kociego futra. Miałem dość tego paskudnego człowieka, kociego zapachu i wszystkiego, co było w tym domu.

– Wspomni pan moje słowa, ta młoda źle skończy – krzyknął jeszcze za mną.

Zrobiło mi się nieswojo. Musiałem uratować Aiszę, tylko nie miałem pojęcia jak. Uratować ją przed jej matką i przed tym paskudnym typem. A właściwie chciałem uratować ją przed całym podłym światem, który czyhał na nią. Aisza była za dobra na takie bagno.

Rozdział 37. Julia

Teraz

Zupełnie przez przypadek otworzyły się przede mną kolejne drzwi w sprawie, która od miesiąca nie dawała mi spokoju – dowiedziałam się więcej o Andrzeju Kołtunie. I to od osoby, od której nie przypuszczałam, że będę mogła się czegokolwiek dowiedzieć – od pana Jana Ogródnika.

Postanowiłam odwiedzić go i pomóc mu w ogrodzie. Czas na pomaganie i wolność mi się kończył, za chwilę już miała się zacząć szkoła.

Pan Jan był pogrążony w głębokiej nostalgii. Powiedział mi, że tego dnia przypada kolejna rocznica śmierci jego żony i że przez długie lata nie potrafił w ten dzień otworzyć się na ludzi. Szukał wtedy tylko samotności. Jeździł na cmentarz i wyrzucał te wszystkie niepotrzebne znicze, które jacyś obcy stawiali na jej grobie. Jego zdaniem nie pasowały do pomnika i zieleni wokół. Pan Jan nienawidził, kiedy ktoś zaśmiecał grób jego ukochanej żony, nawet jeśli ten ktoś robił to w dobrej wierze.

Usiedliśmy razem w ogrodzie, popijając naszą ulubioną lemoniadę. Tym razem była z jabłkiem i ogródkowymi winogronami. Zaczęłam opowiadać o moim szkolnym projekcie i zaangażowaniu w sprawę morderstwa sprzed lat.

– Dobrze, jeśli w dzisiejszych czasach młodzież angażuje się w coś więcej niż korzystanie z telefonu komórkowego – powiedział mi, a ja upewniłam się, czy moja komórka ma wyłączony dźwięk, bo wiedziałam, że pan Jan jest przeciwnikiem tych urządzeń.

– Muszę dowiedzieć się jak najwięcej o Andrzeju Kołtunie i jego pierwszej ofierze, Joannie Pejce – oznajmiłam odważnie. Wiedziałam, że pan Jan może się wyłączyć i wtedy już niczego się nie dowiem – ale była też szansa, że coś wie i pamięta.

– Oj, to ty cały czas grzebiesz w tej historii? Taka to niechlubna historia naszego osiedla.

– Tak, grzebię – lubię grzebać w ziemi i w historiach.

– No tak. – Uśmiechnął się, błyskając swoimi idealnymi zębami. I wtedy zaczął mówić, że pewnie mu nie uwierzę, ale że on poznał tę pierwszą

dziewczynkę.

– Jak jej było? – dopytał.

– Joanna Pejka.

– To było strasznie dawno temu. Wracałem do domu, zobaczyłem bijatykę i skotłowane ciała. Podszedłem i okazało się, że to dwie dziewczynki tarzają się po ziemi, przeklinają i biją się. Jedna – zapamiętałem – była gruba. Nie dziwię się, że jak ta druga nazwała ją grubą świnią, to ją zabolalo, bo prawda zazwyczaj boli najbardziej. No więc tłukły się, a ja zacząłem na nie krzyczeć i w końcu udało mi się je rozdzielić. Ta druga to była taka butna, egzotyczna dziewczynka. Później, kiedy już Kołtun ją zabił i o sprawie zrobiło się głośno, usłyszałem, że była Cyganką. Teraz to się chyba na Cyganów mówi Romowie. To była taka okropna sprawa... Widywałem tę Cyganę, to znaczy Romkę, a wtedy nawet rozmawialiśmy, jak zainterweniowałem w tę ich bójkę. Mówiło się, że pokłóciła się z przyjaciółkami, że odbiła jednej chłopaka i od tego zaczęły się niesnaski między nimi. Tyle się o niej mówiło już po śmierci, jak to zwykle bywa. Jak był pogrzeb, to jej matka najgłośniej płakała. A mówili, że z matką źle żyła. Podejrzewali nawet, że tę małą zabił konkubent matki, ale tylko przez jakiś czas. Zawsze szuka się mordercy w najbliższym otoczeniu. Jak morderca jest przypadkowy, to szanse na znalezienie sprawcy maleją, zresztą pewnie to wiesz, bo masz ojca policjanta, co? Ten Kołtun też był na pogrzebie, i ja byłem, i Maria Rosa. Wszyscy byliśmy, bo to takie nieszczęście w sąsiedztwie.

– I jak on się zachowywał? – poczułam ogromne podniecenie.

– A ja tam pamiętam? To było tak dawno temu, moje dziecko. Marii Rosy zapytaj. Oni wtedy się przyjaźnili. Kołtun z jej córką się prowadzał. Zresztą, co ja dzisiaj taki gadatliwy. Stary plotkarz, a plotek nienawidzę. Potrafisz ciągnąć za język, Julia.

– Zapiszę sobie to wszystko, no, do mojego projektu.

– A pamiętnik piszesz? Dziewczynki w twoim wieku go piszą? – zagadnął, dolewając mi lemoniady.

– Nie piszę... Ale wiem, że Joanna Pejka pisała. Podobno pamiętnik zaginęła. Przepadł. Zawsze nosiła go ze sobą. Ktoś go zabrał, już po jej śmierci, może nawet on – ale nie znaleźli zeszytu. Podobno Andrzej Kołtun nigdy się nie przyznał...

– Przyznał czy nie, włóczył się z tą zabitą. Dorosły facet, a takie dziewczynki były mu w głowie.

– Jak to: włóczył się z nią?

– Każdy widział, tu, w sąsiedztwie. Bardzo się nią interesował, a na końcu ją zabił. Koniec historii.

Pan Jan wstał i zrozumiałam, że na mnie już czas i że chyba go zdenerwowałam, bo miał sobie w spokoju odpoczywać, a ja zaczęłam wywlekać nieprzyjemne sprawy.

– Dziękuję za tę historię. Nie traktuję jej osobiście, ale po szkolnemu, naukowo. – Złapałam się na kłamstwie. Traktowałam tę historię bardzo osobiście.

Krok za krokiem wracałam do domu, wpatrując się w okna domów w sąsiedztwie. Każdy skrywał swoją historię i miał swojego trupa w szafie.

No, może nie każdy. Nasz chyba nie. A może tak?

Biedna Joanna Pejka. Biedna mała dziewczynka.

Będę musiała wypytać w szkole o kroniki i archiwalne zdjęcia. Chciałabym ją zobaczyć.

Zupełnie przypadkiem ta dziewczyna stała mi się bliska.

Rozdział 38. Mrok

Wtedy

Kiedy tak sobie chodzisz i nie wiesz, że na ciebie patrzę, jesteś jak podstępnie obserwowany kolorowy ptak. Ptak obserwowany przez drapieżnika albo myśliwego, bo to jedno i to samo. Ptak, który nie wie, że przed nim nie tylko same kolorowe dni. Piękny ptak.

Sama się napatoczyłaś. Nigdy nie byłaś poszukiwana. Po prostu pojawiłaś się za blisko mnie – niepotrzebnie dla siebie i niepotrzebnie dla mnie.

Taka do złamania. Nie było jednak moim zamysłem cię złamać. Moim zamysłem było cię nie spotkać. Byłaś zbyt żywa. Patrząc na ciebie, to widzieć tętniącą pod skórą przyszłość.

Twoja delikatność wymieszana z determinacją, twoje splecione ręce, kolorowy strój i upięte w kok włosy. Brakowało ci kwiecistego wianka, żebyś wyglądała jak Frida Kahlo w młodości. Twoje kolorowe dni, same kolorowe dni...

W twoich uszach brakowało tylko wielkich kolczyków. Wiem, że wywodziś się z biedy, ale nosisz się po królewsku. Masz na twarzy ten dramatyczny wyraz, tę tęsknotę za miłością i lepszym światem.

I to wszystko może ci się przydarzyć, bo jesteś tak bezczelnie piękna. Pod przymrużonymi powiekami nosisz światło i ogień, którego pod moimi powiekami nigdy już nie będzie.

Jesteś pięknem, młodością, energią i obietnicą.

Jesteś wszystkim, czego ja już nie mam.

Mężczyźni patrzą na ciebie ze strachem, bo jesteś taka młoda. Gdybyś mogła wyrosnąć, wyrosłabyś na coś niepojętego. Patrzenie na ciebie łamie mi serce.

Rozdział 39. Asia

Wtedy

(z pamiętnika Asi)

Kiedy wróciłam do domu po zajęciach chóru, trwała już prywatka, przez moją matkę zwana imprezką. Mignęło mi kilka koleżanek matki z pracy. Na jedną napatoczyłam się już w drzwiach.

– Aśka, jak ty wyrosłaś!

Uśmiechnęłam się, bo nigdy nie wiedziałam, jak reagować na takie komentarze. Chciałam niezauważenie przemknąć do pokoju, ale musiałam wziąć sobie cokolwiek do jedzenia. Jeden obiad w szkole nie wystarcza na cały dzień.

– Aśka nauczycieli ze szkoły na nas nasyła, na swoją rodzinę. Zaraz policję przyśle, na matkę doniesie, że matka chce się zrelaksować po tygodniu pracy. Co to za ptak, co własne gniazdo kala? –pokrzykiwała z wersalki matka, ale magnetofon grał głośno i na szczęście słabo ją słyszałam.

– Chodzi tylko o olimpiadę – powiedziałam cicho, usprawiedliwiając się.

– Zdolna jest, niech się uczy! – powiedziała jedna z koleżanek matki, taka ruda, nawet miła babeczka.

– Za tych zdolnych i za tych, co na morzu! – Kazik wzniósł toast.

– Na zdrowie! – odkrzyknęli pozostali.

– Chciałam tylko pochwalić się olimpiadą, żebyś była ze mnie dumna.

Zaśmiała się niewyraźnie i spojrzała na mnie z pijacką wrogością.

– Ty to wiesz, co możesz sobie zrobić z tą informacją? – zapytała mnie i wszystkich dookoła.

Oczywiście, wiedziałam. Wiedziałam, że moje olimpiady nic jej nie obchodzą, że to głupota, że jak będę miała osiemnaście lat, to będę musiała się wynieść i zapracować na swoje utrzymanie. „W naszej rodzinie nikt nie studiował, a każdy wyrósł na porządnego człowieka”. Jeszcze raz spojrzałam na nich wszystkich i zrozumiałam, że nie chcę dla siebie takiego życia. Nie chcę mieszkać w brudnym, zapyziałym mieszkaniu, w smrodzie

i dymie papierosów. Chcę żyć inaczej. Poczułam, że to mi się uda. Że on w to wierzy i że ja też w to uwierzę.

Andrzej ma taki ładny dom. Zaprosił mnie, razem z tą swoją piękną dziewczyną, Celiną. Siedzieliśmy, słuchając płyt, oglądając obrazy na ścianach i interpretując, co malarz chciał powiedzieć. Andrzej palił papierosa i dzielił się nim z Celiną, która ze względów zdrowotnych nie powinna palić. Czułam się dorosła, doceniona, normalna. Powiedzieli, że ich drzwi stoją dla mnie otworem i że jakby coś złego działo się w domu, to mogę walić do nich jak w dym. Że są po mojej stronie.

To było jak wygrana na loterii. Nagle okazało się, że mam przyjaciół. Oczywiście w szkole nie mogę liczyć na taryfę ulgową, ale poza szkołą to już inna sprawa.

Podniosłam wyżej głowę i poczułam, że jestem ponad tym, co mnie tutaj otacza. Że fruвам.

Że to tutaj wcale mnie nie dotyczy.

Rozdział 40. Maria Rosa

Teraz

Kiedy wyglądałam przez kuchenne okno, widziałam dom Jana. Cały zarośnięty dzikim winem i bluszczem. Liście łożniany, żółknące o tej porze roku rododendrony i hortensje.

Rękę do kwiatów to on miał zawsze. Stary, ale pomocny. O cokolwiek poproszę, to za chwilę już jest zrobione. Tylko jak chciałam wyciąć drzewo przed domem, to dostał szału. Obraził się na mnie i nie odzywał się rok. Drzewo wycięłam, bo przez nie cały czas było mi zimno i nie mogłam tak dobrze obserwować okolicy, a już niewiele prócz tych obserwacji mi zostało.

Z końcem lata coraz częściej myślałam o Celinie. Zbliżała się rocznica jej śmierci.

Nie mogłam jednak myśleć o Celinie w oderwaniu od innych, związanych z nią osób. Z jakiegoś powodu myślałam o włoskiej piosence, którą moja córka uwielbiała: Voulez Vous Danser zespołu Ricchi e Poveri. Oczywiście nie wiem, jak takiej wykształconej muzycznie dziewczynie ta piosenka mogła się podobać – a jednak.

Kiedyś, zdarzyło mi się wyjechać na dwa dni do dalekiej rodziny i celowo wróciłam niespodziewanie tylko po to, by zorientować się, że w domu trwa prywatka. I z tej prywatki najbardziej pamiętałam tę właśnie piosenkę.

W domu byli: Celina, Andrzej i ta dziewczyna. Magnetofon grał głośno i oni sobie tańczyli we trójkę. Oczywiście nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie papierosy i wino. Mogę się tylko domyślać, że Celina też piła. Zabraniałam jej, lekarze też, ale Celina chciała żyć i doświadczać. Nie powinnam była wyjeżdżać i kreować takich pokus. Nie chciałam, żeby takie głupie libacje odbywały się w moim domu, w naszym domu.

Kiedy podjechałam taksówką pod bramę, już wiedziałam, co się święci. Nie weszłam od razu, chociaż mogłam. Przez ogród zarośnięty tymi przeklętymi drzewami zakradłam się pod okno salonu.

I patrzyłam sobie na nich. Celina w niebieskiej sukience, którą kiedyś przywiozłam jej z Włoch, podrygiwała w rytm muzyki, a później ciężko usiadła na kanapie. Jej nie wolno było się tak męczyć, a już na pewno nie wolno jej było tańczyć. To się skończy atakiem – pomyślałam wtedy.

Andrzej przysiadł obok niej i objął ją ramieniem. Śmiali się i przytulali. Wyglądali na szczęśliwych.

Dobrze, że inni mogą pozwolić sobie na luksus szczęścia.

Na parkiecie, to znaczy na moim perskim dywanie w kolorze miodu i wina, podrygiwała ta dziewczynka. Wiedziałam, że jest uczennicą Andrzeja, bardzo zdolną, i że ma kłopoty w domu. Celina opowiadała mi o niej. Była oburzona zachowaniem matki Aiszy. Jej brakiem zainteresowania córką. Podobno ta uczennica była doskonała z polskiego i miała absolutny słuch muzyczny. Celina zachwycała się, że wystarczy jej coś zanucić, a ona potrafi to zagrać na pianinie, choć nigdy nie uczyła się gry. Podpatrywała tylko nauczyciela muzyki.

Zresztą, zupełnie mnie to nie obchodziło. Ja też miałam kiedyś zdolne i świetnie rokujące dziecko i sama wiem, jak to się skończyło. Każda droga ma jakiś koniec i czasami, niestety, ten koniec jest rozczarowaniem.

Jaka byłam głupia! Wtedy stan Celiny wydawał mi się końcem, a przecież ona żyła i mogłam się nią cieszyć. Może już nie tańczyła i nie grała na fortepianie, ale piłyśmy razem herbatę i słuchałyśmy muzyki. Oglądałyśmy namiętnie W starym kinie i to było dobre.

Tak dobrze nie było już nigdy potem.

Kiedy przypominam sobie tę tańczącą dziewczynę, to w głowie mam jeszcze jedną rzecz – że tamtego wczesnojesiennego wieczora nie mogłam wiedzieć, jaki plan szykuje dla nas los. Pamiętam tylko troje młodych, rozpromienionych i rozbawionych ludzi. Byli tacy niewinni. Dziewczyna potrząsała rozpuszczonymi włosami. Miała na sobie długą spódnicę, która kiedyś należała do Celiny. Podnosiła ręce do góry, grając na niewidzialnym tamburynie.

Troje bardzo pięknych ludzi. Zawsze byłam estetką.

Podeszłam do drzwi wejściowych i przekręciłam klucz w zamku. Ucichły najpierw śmiechy, a później muzyka.

– Koniec przyjęcia – oznajmiłam.

I chwilę później zostałam tylko z Celiną. Ta jednak, obrażona, poszła na górę, do swojego pokoju. Żałuję każdej obrażonej chwili milczenia, która była między nami.

Rozdział 41. Julia

Teraz

Kiedy Marlena do mnie przyszła, była wzburzona i rozdygotana. Usiadła na kanapie w pokoju i zaczęła przerzucać kanały w telewizji.

– Wczoraj byliśmy z matką w mieście. Nie chciało mi się wchodzić z nią do sklepu, więc stałam przed i wtedy podeszła do mnie stara kobieta, wiesz, taki babsztyl, Cyganka. „Powróżyc panience, powróżyc?” – naśladowała głos starej kobiety, wywracając przy tym oczami i chwytając mnie za rękę, żeby spojrzeć na moją dłoń. Wyrwałam ją. – „Nie, dziękuję”, powiedziałam uprzejmie, ale ona zaczęła pytać o banknot, więc wyjęłam portfel, pięćdziesiąt złotych tam miałam. Debilka ze mnie, trzeba było wejść do sklepu i dać sobie spokój. Ale nie weszłam i ona złapała te pięćdziesiąt złotych i moją dłoń, i zaczęła gadać głupoty...

– No, Cyganki tak podobno robią, mnie nigdy nie zaczepiały, w zasadzie zbyt wielu nawet nie widziałam – wtrąciłam.

– No to miałaś szczęście, bo mnie dopadła i zaczęła opowiadać, że widzi smutek i że blondyn i brunet, i że dzieci widzi... Na to wypadła ze sklepu moja matka i od razu do Cyganki, banknot jej wyrwała i moją rękę, wiesz, jaka jest moja matka, zołza jedna, i zaczęła coś wrzeszczeć, a na to ta Cyganka... złowieszczo spojrzała... i powiedziała: „Groźbę śmierci widzę i przekleństwo”. Splunęła nam pod nogi i odeszła.

– Upsy-daisy. – Cmoknęłam.

– No, bo nie tobie złorzeczyła, to możesz się naśmiewać! – oznajmiła zdenerwowana przyjaciółka.

Zupełnie zapomniałam, że Marlena jest bardzo przesądna, unika czarnego kota, nie odmawia ciężarnym kobietom, bo mogą na ciebie zesłać myszy. Jak znajdzie guzik, to zawsze musi rzucić go za siebie, a jak zobaczy kominiarza, to z kolei łapie się za guzik i szuka pani i pana w okularach, najlepiej razy dwa, bo to przynosi szczęście.

Postanowiłam też opowiedzieć jej coś interesującego, żeby odciągnąć jej uwagę od klątwy starej Cyganki, która mnie wydawała się śmieszna, ale Marlenie nie.

– Ja wracałam wczoraj ze sklepu, wiesz, przez pola. Dochodziła dwudziesta i było już naprawdę szaro. Przedemną szła grupa ludzi, która z daleka wydawała mi się nieznaną, więc zamiast iść zwykłą drogą, po chodniku, przez pole odbiłam w lewo, w stronę ścieżki przy lesie. W dzień ta ścieżka wydaje się krótka i przyjemna. Szłam sobie w sandałach krok za krokiem, a tu nagle po lewej stronie usłyszałam szelest z tego lasu. Zatrzymałam się, wpatrzyłam w ciemność... Nic nie widziałam, żywego ducha. Znow, choć już mniej spokojnie, ruszyłam... I znow szelest, kroki jakby z tego lasu, z tej ciemności. I wtedy naprawdę się przestraszyłam, i zaczęłam biec, i już się nawet nie oglądałam, ale wydawało mi się, że tuż za mną ktoś jest, że mnie goni, a bez powodu nie goni się ludzi w ciemności, na polach. Ominęłam ten biały budynek z transformatorami i wypadłam na ulicę, zobaczyłam domy i ruszyłam już spokojniej, ale nadal z duszą na ramieniu, w stronę naszej ulicy. Ci obcy wtedy właśnie też skręcali, ale ja skręciłam pierwsza i w świetle lamp i domów już się nie bałam.

– Ty się bałaś? – Marlena spojrzała na mnie naprawdę zdziwiona.

– No wiem, właśnie pierwszy raz, będąc tak blisko swojego domu, naprawdę się bałam.

– Myślisz, że naprawdę ktoś był tam, w lesie?

– Myślę, że nie, ale w tamtym momencie czułam, że powinnam szybko stamtąd odejść... Że tak jest lepiej.

– Instynkt zwykle podpowiada dobrze: uciekaj albo walcz! – Marlena uśmiechnęła się i położyła nogi na ławie. Dobrze, że mama tego nie widziała.

– Wiesz, to pewnie bez sensu, ale od czasu, gdy odkryłam prawdę o domu obok, to częściej jest mi nieswojo. Myślisz, że miejsca, w których mieszkał ktoś zły, są naznaczone?

– Nie wiem. Jestem przesądna. Mogą być. Ale na szczęście to nie tutaj zabijał ten morderca. To znaczy, nie w domu obok.

– Nie, ale zabijał w lesie obok i w szkole, do której chodzimy, to znaczy na szkolnym boisku.

– Myślisz, że matka tej zabitej dziewczynki nadal tu mieszka? – Wtedy zaczęłam się nad tym zastanawiać. Właśnie, dlaczego wcześniej nie pomyślałam o znalezieniu Janiny Pejki? – Pewnie nie będzie chciała z nami gadać, ale kto wie. Chodź, popytamy w okolicy. – Marlena ściągnęła nogi ze stołu i włożyła swoje japonki.

Dlaczego by nie spróbować dowiedzieć się więcej – pomyślałam i podążyłam za przyjaciółką w dół, po schodach.

Rozdział 42. Asia

Wtedy

(z pamiętnika Asi)

W sklepie była pani Jadzia, bardzo ją lubiłam. Poprosiłam o dwa serki homogenizowane – jeden truskawkowy, drugi czekoladowy – do tego wzięłam chałkę i dwadzieścia deko żółtego sera.

– Powiedz matce, że papier toaletowy będzie jutro i żeby przysłała, to jej kilka rolek odłożę.

Podziękowałam uśmiechem. Lubiłam ten sklep. Wchodziło się do niego po schodkach, w środku było dużo miejsca i jak się stało w kolejce, to deszcz nie kapał na głowę.

Na podłodze szaro-czarne kafle, bliżej ściany duża lada, a na niej te wszystkie pyszności: serki homogenizowane, moje najulubieńsze, żółte sery i serki topione. Wszystko ładnie pakowane w papier. Pod ścianą, w koszykach, pachnące bułeczki i chlebek od spodu w mące. Z boku chałeczki, które też uwielbiam. Skrzynki z mlekiem i śmietaną, a także oranżady.

Moje ulubione śniadanie to chałka z serkiem czekoladowym albo bułka z serem topionym i pomidorem. Czasami płatki kukurydziane z mlekiem. Mleka to ja w ogóle nie lubię, ale kiedy zmieni się w kakao, to już inna sprawa. Albo kogel-mogel ucierany z jajek i cukru, a do tego szczypta kakao.

Lubię dużo jeść; matka śmieje się ze mnie, że potrafię na obiad zjeść cztery schabowe. Raz rzeczywiście tak się zdarzyło i to obrosło legendą. Tyle że mięsa nie jadamy za często. Mięso trudno jest kupić.

Matka załatwia czasem nerki, to też przysmak, chociaż jadłam je może trzy razy w życiu.

Brat najbardziej lubi wylizywać prosto z dłoni oranżadę w proszku. Tak śmiesznie strzela między zębami. Ja wolę vibovit, jest taki aksamitny, żółty. Rozpływa się natychmiast w ustach. A zamiast oranżady wolę visolvit.

Nie lubię tylko chleba pomoczonego w wodzie i posypanego cukrem, a dzieciaki teraz to uwielbiają.

Lubię miętusy i landrynki, a także cukierki toffi i irysy. Tylko wolę, jak toffi się ciągną, niż jak są kruche. Wolę, jak kleją gębę.

Jak patrzę na panią Jadzię uwijającą się w sklepie, to myślę sobie, że też mogłabym pracować w Społem i sprzedawać jedzenie. Wszyscy by mnie wtedy szanowali, uśmiechali się do mnie i przypocholebiali, bo mogłabym im zostawić jakieś rarytasy i sprzedać spod lady.

To by była taka mała niesprawiedliwość i nierówność. Bo niby wszyscy jesteśmy sobie równi i mamy to samo, i ogólnie tak jest, ale jak się patrzy na grubą Kaśkę z naszej klasy, której ojciec jest badylarzem, to jednak równi nie jesteśmy. Ona cały czas nosi pomarańcze i banany, a ja jem te owoce tylko na Boże Narodzenie, i to nie co roku. Może to i zdrowiej dla mnie, bo nie jestem spasioną świnią, ale i tak bym chętnie podjadła takich przysmaków.

W drodze do domu spotkałam Maćka z ósmej b. Tego Maćka. Podszedł i chciał wziąć ode mnie reklamówkę, którą niosłam. Zaczęłam mu ją wyrywać.

– Zośka samośka. – Uśmiechnął się, akceptując to, że nie chcę jego pomocy. – Pójdiesz ze mną do kina? Grają Diabła morskiego, ja zapraszam.

– Chętnie, chętnie pójdę z tobą na ten film.

– Do kina. – Zaśmiał się. Znałam różnicę między pójściem do kina a na film. – Przyjdę po Ciebie jutro o siedemnastej, pod dom. Będzie fajnie, zobaczysz! – Maciek nachylił się i pocałował mnie w policzek.

I tak już prawie odprowadził mnie do domu. Kiedy stałam przy bramie, zobaczyłam tego starszego mężczyznę z siwymi włosami. Tego samego, który kilka dni temu odciągał mnie od dziewczyn.

– Lepiej się całować, niż bić. – Uśmiechnął się do mnie.

– Dzień dobry i do widzenia. – Otworzyłam furtkę i weszłam na nasze podwórko.

Matka była w dobrym humorze. Powiedziałam jej o kinie, że koleżanki mnie zaprosiły. Nie skomentowała tego jak zwykle, w stylu: „A ty masz jeszcze jakieś koleżanki?”.

– Świetnie, tyle się uczysz, to sobie wyjdź – powiedziała, wyjęła z portfela parę złotych i położyła przede mną na stole. – Kaziu dostał premię, miał dewizy, to mi w Pewexie kupił. – Uśmiechnęła się do mnie

i dumnie wypięła pierś w nowym zielonym swetrze z cekinami. Śliczny był, to muszę przyznać. Dałabym się pokroić za taki sweter. – To prezent od niego. Już nie pamiętam, kiedy ktoś mi coś podarował. – Znów się uśmiechnęła, podśpiewując pod nosem. – Na co idziesz do tego kina?

– Na Diabła morskiego, radziecki film, podobno świetny – powiedziałam dumnie.

– Może i mnie Kazik zabierze, kto wie? – Matka wzruszyła ramionami.

– Jak ci takie swetry kupuje, to może za chwilę i małego fiata – zażartowałam i usiadłam na wersalce w pokoju matki.

– A żebyś ty wiedziała! Tyle lat czekałam na kogoś porządnego, kto się nami zajmie, i oto jest.

– Cieszę się, że jesteś zadowolona.

– Kupiłam lody familijne, owocowe i czekoladowe, weź sobie po obiedzie, Asia.

Miłość rzeczywiście zmienia ludzi – pomyślałam, patrząc na rozpromienioną matkę. Zawsze tylko zrzędzi i się pluje, a tutaj taka zmiana. Kazik czyni cuda. Miłość.

Rozdział 43. Julia

Teraz

Zrobiła się afera, ktoś zaatakował Marlenę na Fejsie. Zupełnie bez sensu. Napisał o niej paskudne rzeczy, takie obelgi posypały się z kilku kont naraz. Marlena domyślała się, kto to zrobił, i jak do mnie wpadła, powiedziała, że albo zabije tę osobę, albo siebie. Zawiesiła konto. Jej matka dostała szału i wrzeszczała, że gdyby Marlena nie spędzała całych godzin w necie, to taka głupota nie mogłaby jej dotknąć. Afera zaczęła się od tego, że Marlena pisała z pewnym gościem i on poprosił ją o zdjęcie w bieliźnie, i ona mu wysłała, a on je upublicznił i wszyscy na jej „ryjbuku” mogli tę fotę zobaczyć.

– Matka mnie pobiła, zwyczajnie wzięła pas i powiedziała, że nigdy wcześniej tego nie zrobiła i teraz żałuje, bo jakby mi wcześniej wpierdoliła, to teraz nie robiłabym takich cyrków. Bić? Jak można bić dorosłą osobę?! – Marlena rzuciła się na mój materac i zaczęła płakać.

– No głupio.

– Najgorsze, że teraz wszyscy wiedzą, że jestem grubą świnią. Zobaczyli to. – Spojrzałam na moją przyjaciółkę. Rozmazało jej się oko, wyglądała jak zranione dziecko w za dużej bluzie i getrach.

– Nie jesteś grubą...

– Co ty tam wiesz! – przerwała mi. – Ten koleś, co upublicznił zdjęcie, też tak uważa.

– A ty tego „kolesia” widziałaś? Sam ma pewnie osiemdziesiąt lat i wygląda jak kupa. Nawet nie wiesz, kto to jest, Marlena, proszę. Nic aż takiego mu nie wysłałaś. To jak zdjęcie w bikini.

– Wszystko tam mi widać... – powiedziała i znów wybuchła płaczem.

– Możesz to zgłosić na policję, twoja matka może, to nękanie – zaproponowałam.

– Matka tak właśnie chce zrobić, ale on napisał, że mnie dopadnie, jeśli mu zaszkodzi. Tak mi napisał w SMS-ie.

– Pokaż mi tę wiadomość – zażądałam i Marlena, zamiast podać mi swój telefon, rzuciła nim we mnie.

– Pod „Igor” znajdziesz, tak ma na imię...

– Ta, jasne, akurat podał ci prawdziwe... Pamiętasz, jak do mnie kilka lat temu pisała pani niby-pielęgniarka? Żebym podała jej różne intymne szczegóły. Pokazałam matce i matka od razu zareagowała. W necie roi się od zboków-perwertów.

– Jak ja mam się teraz pokazać w szkole?

– Nic takiego nie zrobiłaś, kto nie wysłał zdjęcia w bieliźnie, niech pierwszy rzuci kamieniem.

– Co? – Marlena najwidoczniej nie rozumiała mojego biblijnego nawiązania. – Wiesz, co jest najgorsze? Że od jakiegoś czasu czuję się, jakby ktoś mnie obserwował...

Chciałam powiedzieć, że ja czuję się podobnie, ale nie miałam zamiaru straszyć przyjaciółki. Incydent z biegiem przez las, kiedy wracałam ze sklepu. I takie uczucie niepokoju. Dziecinne i niepotrzebne pewnie, a jednak.

Zjadłyśmy lody i Marlena postanowiła wrócić do domu. Bolał mnie brzuch i nie miałam ochoty ruszać się z domu.

– Trudno, pójdę sama, nie pierwszy i nie ostatni raz. I muszę się spieszyć, bo wygłąda na to, że zaraz zacznie lać – powiedziała, ściskając mnie na do widzenia. Rzeczywiście na dworze zrobiło się wietrznie i nieprzyjemnie.

Zamknęłam za nią drzwi. Dochodziła dwudziesta i powolutku zaczynało się ściemniać. Poszukałam no-spy, którą mama zawsze trzymała w szufladzie z lekami od bólu głowy, i połknęłam tabletkę. Następnego dnia przed szkołą chciałam wejść do pani Marii Rosy i dopytać o ewentualne zakupy.

Powrót do szkoły to najsmutniejszy czas w roku.

Rozdział 44. Andrzej

Wtedy

Chciałem spełnić marzenie Celiny i zabrać ją w miejsce, w którym kiedyś jeździła na koniach. Teraz już nie mogła, upadek mógłby skończyć się tragicznie. Musiałem porozmawiać z Marią Rosą, choć Celina zdecydowała, że żadnej zgody na wyjazd nie potrzebuje, bo jest dorosła.

Oczywiście, że była dorosła; w jakimś sensie była doroślejsza niż ja. Wypadek ją zmienił – nie tylko mocno ją upośledził, lecz także sprawił, że jej dusza postarzała się o sto lat. I teraz w ciele pięknej, młodej kobiety mieszkał ktoś dojrzały, doświadczony przez los. Ktoś, kto zdawał sobie sprawę z ryzyka śmierci; ktoś, kto wiedział, że jego dni są policzone. Nie chciałem o tym myśleć. Nigdy nie widziałem ataku padaczki i tylko opowieści Celiny przygotowywały mnie na taki scenariusz. Nie bałem się. Przy Celinie przestawałem się bać. Nie tylko przestawałem się bać, ale pragnąłem żyć szybko, jak najszybciej. Celina zmieniła również mnie – chciałem się nią opiekować i słuchać tego, co ma do powiedzenia. Ta dziewczyna nieoczekiwanie zmieniła moje życie. Cała sytuacja wymagała ode mnie odpowiedzialności i rycerskości. Wymagała kontroli. Celina nie była po prostu jakąś tam dziewczyną. W krótkim czasie stała się dla mnie całym światem, wszystkim.

Najgorsze, że pragnąłem jej jak niczego na świecie. Zapach jej skóry i włosów doprowadzał mnie do stanu, w którym zapomniałem o tym, kim jestem. Czynił mnie mężczyzną bardziej niż cokolwiek wcześniej. Patrzyłem na nią i widziałem dużo więcej, jakby otwierały się przede mną wszystkie drzwi. I nawet nadchodząca jesień nie wydawała się mokra i smutna, tylko fascynująca. Świadomość, że gdzieś obok jest Celina, sprawiała, że życie stawało się fascynujące.

Spełniałem swoje marzenie o miłości, nie obcując z Celiną w sensie damsko-męskim. Naszą największą bliskość dotychczas stanowiły pocałunki. Pamiętałem każdy i po każdym nie mogłem się pozbierać. To też było nowe. Spotykałem się już dziewczynami, z jedną mieszkalem przez

rok, wydawało mi się, że ją kocham. Ale tylko mi się wydawało – i wiedziałem o tym dopiero teraz.

Dla Celiny chciałem zrobić wszystko i nie myślałem o przyszłości. Po raz pierwszy od czasów dzieciństwa byłem zachwycony chwilą, tym, co tu i teraz. Nie liczyło się nic innego, pod warunkiem, że była obok. Dlatego tak bardzo chciałem mieć ją tylko dla siebie, być z dala od jej nadopiekuńczej matki. I z dala od mojej matki, która nie miała pojęcia o tym, co czuję, a jednak patrzyła na mnie podejrzliwie.

Zaplanowałem, że wyjazd odbędzie się w najbliższą sobotę.

W piątek Celina czuła się słabo. Kiedy wpadłem w odwiedziny, Maria Rosa ewidentnie chciała się mnie pozbyć.

– Jutrzejszy wyjazd stoi pod znakiem zapytania. Jak Celina się uprze, to nie jestem w stanie nic zrobić. Nie chciała wziąć tabletek, nie chciała nawet niczego się napić, twierdząc, że ją truję i tak bardzo nie chcę, żeby wyjechała, że zrobię wszystko, by zatrzymać ją w domu.

Spojrzałem podejrzliwie na Marię. Znałem jej ciemną stronę, Celina dużo mi o niej opowiadała. Matka chciała, żeby córka żyła jak mniszka. Bała się każdego kroku Celiny. Oczywiście rozumiałem dlaczego, ale nie potrafiłem patrzeć na nią życzliwie. Celina zasługiwała na wszystko i nie podobało mi się, że matka traktuje ją jak ciężko chorą osobę, której wszystko może zaszkodzić.

– Pani Mario, zdaję sobie sprawę, że się pani martwi, ale nie wyjeżdżamy daleko, pojedziemy samochodem. Gdyby cokolwiek się stało, natychmiast zareaguję.

– Mam taką nadzieję. Nie wiesz, jak to jest, kiedy Celina nagle dostaje ataku w łazience i nie można jej stamtąd wyciągnąć. Cały czas sprawdzam, czy nic się jej nie dzieje. W nocy kilka razy podchodzę do drzwi jej pokoju i nasłuchuję, czy nie dostała ataku. Celina jest ciężko chora...

– Obiecuję, że nie stanie jej się krzywda.

Kiedy to powiedziałem, w drzwiach pojawiła się ona. Wyglądała naprawdę niepokojąco – potargana, bardzo chuda, roztrzęsiona.

– Andrzej. Nie wiedziałam, że jesteś. Może się przebiorę.

Wstałem i podszedłem do niej.

– Nie, ja już wychodzę, a ty się połóż i wyśpij. Zawsze mówisz, że jak czujesz się gorzej, to sen stawia cię na nogi.

– Tak właśnie zrobię. Rano będę gotowa.

– Przyjadę o dziewiątej i ruszamy. Oczywiście jeśli będziesz niedysponowana, to przełożymy ten wyjazd – wyszeptałem, przerażony, że możemy jednak nie spędzić tego czasu razem.

– Będę gotowa – obiecała.

Przytuliłem ją mocno, a ona wsunęła swoją cudowną dłoń w moją rękę. Wróciłem do domu.

Celina, Celina... W żołądku czułem to, co czujemy na myśl o największej rozkoszy, która czeka na nas na końcu drogi. Bo każda droga ma jakieś zakończenie; czasem jest ono rozczarowujące, ale jest. Ja wiedziałem, że na końcu tej drogi są... nieskończoność i spełnienie.

I miałem rację.

Kiedy następnego dnia przyjechałem po Celinę, przerażony, że może czuć się źle i odwołać wyjazd, moja ukochana siedziała na schodach, wiążąc buty.

W dzinsach i swetrze wyglądała jak rasowa traperka, która właśnie wybiera się w góry.

– Jestem gotowa, jeszcze tylko wezmę torbę.

Ruszyła w stronę swojego harcerskiego plecaka, ale ja podniosłem go pierwszy i zarzuciłem sobie na ramię.

Maria Rosa nie wyszła do nas. Celina powiedziała, że strasznie się o ten wyjazd obraziła. Nic nas to nie obchodziło i żartowaliśmy z jej trudnego, nieustępliwego charakteru.

Odpaliłem silnik małego fiata mojego ojca i ruszyliśmy w stronę Pabianic. Stajnia, do której się wybieraliśmy, znajdowała się w Hucie Dłutowskiej, wśród lasów i stawów – dla mnie na końcu świata. Wiozłem ser, ogórki, kotlety mielone, wino, jabłka i czekoladę. Przysmaki na obiad i kolację. Przysmaki, którymi chciałem karmić Celinę.

– Wybaczy ci ten wyjazd? – zapytałem.

– Nie. Jak ją znam, to nie wybaczy. Jest uparta i wydaje jej się, że zawsze ma rację. Ale zapomniała, że charakter mam po niej i lubię stawiać na swoim.

– Plan jest taki, że pochodzimy po lesie, popracujemy przy koniach, a wieczorem zrobimy sobie ognisko. Upieczemy w nim ziemniaki...

– Upieczemy ziemniaki i... Napijemy się wina, co? Czerwone wino to moje ulubione. – Roześmiała się, a cała jej twarz zmieniła się i rozjaśniła.

Pomyślałem, że w tym samochodzie mam wszystko, czego potrzebuję, i że jeszcze nigdy nie byłem tak spełniony, tak zrelaksowany, jeszcze nigdy

nie czułem takiego szczęścia.

Momenty, w których tak ewidentnie objawia nam się szczęście, są rzadkie i warto je doceniać.

Przez całą drogę tylko się śmialiśmy. Śmialiśmy się ze wszystkiego. Z siebie, z tego, że kiedyś umrzemy, że będziemy starzy.

– Uwielbiam niezależne kobiety, które mają swoje pasje, które są nieuchwytny, których nie da się zamknąć w ramy. – Mówiąc to, wiedziałem, że mówię o niej.

– Wiesz, który z pisarzy najbardziej mnie zadziwia? Tołstoj. Nikt tak jak on nie potrafi wyrazić prawdy o kobiecie, jej rozterkach, zmienności... Widać to w Annie Kareninie. Ja w ogóle kocham Tołstoja i rosyjską literaturę. To taka literatura z duszą przez duże „D”.

– W sztuce i miłości możemy dać z siebie tyle, ile sami mamy, jak mawiał Strzemiński. Widać, że Rosjanie w sztuce i miłości – bo sztuka jest miłością – mają wiele do zaoferowania.

– A może to miłość jest sztuką? Zakochałeś się kiedyś od pierwszego wejrzenia? – zapytała mnie Celina.

– A można inaczej?

Zapadła między nami cudowna, magiczna, elektryzująca cisza.

– Chyba nie... Pamiętam, jak pierwszy raz uścisnąłeś moją rękę, ten uścisk był tak mocny i długi, zupełnie się czegoś takiego nie spodziewałam.

– Ani ja – twój był jeszcze mocniejszy. A twoje dłonie... Nigdy, przenigdy nie widziałem tak pięknych dłoni. Coś w tym jest, że ręce świadczą o człowieku, jego wrażliwości, delikatności; o tym, kim jest.

– Tak myślisz? – Celina spojrzała na mnie, a ja na nią, i czułem tylko iskry. Iskry, które sypały się po samochodzie i przeskakiwały między nami jak prawdziwy prąd.

– Nadal sprawiam, że jesteś szczęśliwy? – zapytała.

– Sprawiasz, że żyję...

Zaparkowaliśmy przed domem pana Wiktora. Znał Celinę i rozpromienił się na jej widok.

– To przepiękne miejsce. Konie, natura, wolność – cieszę się, że razem tego doświadczymy – powiedziała, a w jej głosie słyszałem obietnicę, która ma zostać spełniona.

I to był magiczny dzień wśród pól i lasów, po których spacerowaliśmy za rękę i pod ramię. Wśród rozmów i westchnień. Wśród zapachu koni,

którym Celina potrafiła nawet czyścić kopyta i których zupełnie się nie bała.

Kiedy rozpaliliśmy ognisko, nic prócz iskier nie mąciło widoku gwieździstego nieba.

– Niebo gwieździste nade mną... a prawo moralne nic mnie nie obchodzi – mówiła, zajadając kanapkę z serem topionym i ogórkiem kiszonym.

– Wina, wina, wina dajcie...

– A jak umrę, pochowajcie – dokończyłem.

– Księża do mnie nie wołajcie. Nie wiem, czy wiesz, ale nie jestem religijna. Chyba nigdy nie byłam. Inteligencja wyklucza religijność. – Roześmiała się.

A ja pomyślałem, że przy niej nic się nie wyklucza, a nawet jak się wyklucza, to nie ma to najmniejszego znaczenia, bo wszystko jest ważne i piękne. Że to najlepsza noc i że taka noc powtórzy się nam jeszcze tysiące razy. Że przed nami jeszcze tysiące nocy przy wiatrze.

Po północy ruszyliśmy w stronę domu. Prysznicze znajdowały się tuż obok naszego pokoju. Pokoju z widokiem na las. Wszedłem do małego pomieszczenia i włączyłem wodę. Była gorąca. Zdjąłem dzinsy i sweter. Pomyślałem, że ona pewnie kąpie się obok. W pomieszczeniu zrobiło się jak w saunie. Woda spływała po moim ciele, czułem się jak w morzu – bardzo, bardzo ciepłym morzu, w jakim nigdy dotąd nie miałem przyjemności się pływać.

Kiedy wyszedłem, bosy i w ręczniku, zobaczyłem, że przed drzwiami czeka Celina. W przeciwieństwie do mnie nie miała na sobie nic. Otulały ją tylko pachnące dymem ogniska długie włosy. Cofnąłem się do pomieszczenia, a ona weszła tam za mną.

– Chciałam poczuć, jak pachniesz – powiedziała i obydwójce utonęliśmy w zaparowanym pomieszczeniu. Zrzuciłem ręcznik i wtedy nie było już żadnych barier. Nie oddzielało nas od siebie nic prócz skóry.

Tak oszołomiony bliskością drugiej osoby nie czułem się jeszcze nigdy.

Zbliżyłem się do niej i podniosłem ją. Delikatnie postawiłem Celinę pod prysznicem. Widziałem, jak miękko staje na białych kafelkach, odkręca wodę i poczułem, że zaczyna po nas płynąć gorący strumień.

Całym ciałem, każdym rąbkiem skóry przytuliłem się do Celiny. I ona zrobiła to samo. To było arcypiękne doświadczenie.

– Zajedwabiście – szepnęła Celina i zaczęła się ze mną stapiać. Rozpłynąłem się w niej i przestaliśmy istnieć.

Część II

Czas Mroku

Rozdział 45. Julia

Teraz

Leżałam w łóżku i oglądałam kanał na YouTube. Brzuch przestał mnie już boleć.

Jest taki kanał podróżniczy: dziewczyna jeździ sama po świecie i kręci z tych wyjazdów filmiki, naprawdę nie mogę przestać go oglądać. Gdybym nie chciała być policjantką, to na pewno chciałabym być podróżniczką.

Usłyszałam dźwięk telefonu, a chwilę później do pokoju weszła mama.

– Julia, czy wiesz, gdzie jest Marlana? Dzwoni jej mama. Nie wróciła do domu...

Usiadłam na łóżku, wzięłam telefon mamy do ręki i przyłożyłam go do ucha; kątem oka zobaczyłam, że dochodziła dwudziesta druga.

– Dzień dobry, to znaczy: dobry wieczór... – zaczęłam.

– Bez ceregieli, Julia. Gdzie, do cholery, jest Marlana? Odprowadziłaś ją?

– Nie, właśnie nie. Bolał mnie brzuch.

– O której od ciebie wyszła? Czy już wtedy padało?

– Nie pamiętam, o dwudziestej? Dwudziestej trzydzieści? Jeszcze nie padało.

– Daj mi matkę.

Przekazałam telefon.

– Zaraz będę z nią rozmawiać. Tak, wiem, że nie możesz teraz wyjść, bo ona może wrócić. Bądź w domu. Zaraz się skontaktujemy. Tak, ona na pewno zaraz wróci.

Matka usiadła obok mnie na łóżku. Była zdenerwowana.

– Julka, tylko potraktuj to poważnie. Co się wydarzyło i gdzie jest Marlana? Wszystko sobie mówicie, rozumiem tajemnice, ale jak robi się niebezpiecznie, to tajemnice mogą tylko zaszkodzić, wiesz o tym, prawda?

– Tak... Marlana nic mi nie mówiła, że zniknie z domu. Ona wyszła ode mnie prosto do domu. Pokłóciły się z matką, chodziło o tę sprawę z Facebookiem i zdjęciem, które wrzucił ten koleś, Igor.

– Tak, jej mama mi o tym mówiła.

– Mama Marleny chciała to zgłosić, ale ten facet napisał do Marleny SMS, że ją dopadnie, jeśli pójdzie na policję. Pokazała mi dziś tę wiadomość.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? Dlaczego nie powiedziałaś ojcu?

– Nie jestem jakimś kablem, żeby o wszystkim mówić, mamo! – oburzyłam się, ale i przestraszyłam.

– Powinna zgłosić tę sprawę na policję. Pewnie pomyśla, że dziewczyna uciekła – i tak też może się stało. Mówiła, że chce nastraszyć matkę?

– Nic takiego nie mówiła...

– Zadzwonię do ojca.

Wyszła z pokoju, a ja poszłam za nią.

– Weźmy latarkę i wyjdźmy na pola. Może sąsiad z nami pójdzie? – zaproponowałam i zaczęłam się ubierać.

Mama też zaczęła się ubierać, jednocześnie rozmawiając z tatą przez telefon.

Wybrałam numer Marleny, jednak odpowiedziała mi cisza, jakby telefon był wyłączony. Marlena nigdy nie wyłączała swojego telefonu...

Rozdział 46. Julia

Teraz

Ojciec uważa, że na przestrzeni ostatnich lat w naszej okolicy nie było zaginięcia dziecka, które byłoby wynikiem przestępstwa. Jeszcze tamtej nocy kazał matce Marleny obdzwonić wszystkich znajomych i zapytać, czy nie ma u nich jej córki. My z matką i sąsiadem wyszliśmy z latarkami na polną drogę, którą moja przyjaciółka musiała wracać. Było jednak ciemno i niczego niepokojącego nie odkryliśmy.

Matka Marleny zostawiła w mieszkaniu sąsiadkę i pojechała na komisariat, by wypełnić protokół przyjęcia zawiadomienia o zaginięciu dziecka. Powiedziała, jak Marlena była ubrana, ja też coś dopowiedziałam, bo widziałam ją jako ostatnia. Na szczęście na tym komisariacie pracuje mój ojciec, więc policja podeszła do sprawy tak poważnie, jakbym to ja zaginęła.

Od razu wezwano ojca Marleny, ale był poza miastem. Zapewniał jednak, że córka się z nim nie kontaktowała. Ostatnio widział się z nią dwa tygodnie temu, kilka dni wcześniej napisał do córki SMS, ale nie odpisała. Uznał, że znów ma humory. Od rozstania z matką Marleny jego stosunki z córką uległy pogorszeniu.

Wydrukowałam zdjęcie Marleny i przekazałam je ojcu. Przedstawiało jej twarz i sylwetkę, żeby policja miała jasność, kogo szuka.

Moja matka i matka Marleny zaczęły obdzwaniać wszystkie szpitale.

– Powiadomimy taksówkarzy i kierowców MPK, często pomagają nam w takich sytuacjach. Niestety w okolicy nigdzie nie ma monitoringu, prócz przejścia na 11 Listopada, które musiała minąć Marlena, żeby dotrzeć do domu. Chyba że skręciła wcześniej i przeszła na drugą stronę w innym miejscu.

– Marlena zawsze przechodzi tamtędy, ale coś mogło ją przestraszyć, może skręciła koło krańcówki autobusów.

– Co mogło ją przestraszyć? – zaczął dążyć ojciec.

– No, nie wiem, jakiś hałas w krzakach... Mnie też kilka dni temu przestraszył, jak wracałam ze sklepu, i zaczęłam biec... Oczywiście niczego

tam nie było, ale...

– Nie możesz tego wiedzieć, Julka.

– Uruchomicie Child Alert? – zapytałam.

– Analizujemy sprawę. Marlenu, zważywszy na ciężką sytuację w domu i problemy z publikacją jej zdjęcia w bieliźnie, prawdopodobnie sama uciekła.

– Powiedziałyby mi, tato, gdyby miała uciec... – Poczułam się dotknięta tym, że być może Marlenu naprawdę związała, nic mi o tym nie mówiąc. – Im szybciej ją znajdziecie, tym większa szansa, że w ogóle ją znajdziecie... – powiedziałam i zaczęłam się znów bać.

Czułam, że moja przyjaciółka nie uciekła. Że nie wróciła do domu, bo nie mogła. Bo ktoś ją powstrzymał. Ktoś, kto być może zrobił jej krzywdę... albo dopiero zrobi.

– Tato, znajdź Marlenę. Błagam cię...

Poszłam do pokoju i rozpłakałam się, bo nie wytrzymałam już tego napięcia.

Rozdział 47. Mrok

Teraz

Ta świeczka zgaśnie.

To moje postanowienie.

Młodość i dobre serce zawsze cię zgubi.

Miesiące obserwacji. Przypadek – i oto ją mam.

Mam ją.

Jest ledwie przytomna ze strachu. Nie myślała, że coś takiego może przydarzyć się właśnie jej. Mówi, że jej matka i ojciec zapłacą. Nie wie, że nie zależy mi na pieniądzach, ale zależy mi, żeby zapłacili.

Gdybyś nie była taka ładna, to byś się nie rzucała w oczy – myślę sobie. Oczywiście to zmienimy.

Zmienimy tę ładność w coś szkaradnego.

Kiedy zbliżam się z nożem i przykładam go do jej szyi, jest przerażona. Ona mnie nie widzi, ale czuje ostrze, i to wystarcza.

Ciach, ciach, stuk-puk, szacher-macher po cichu.

Płacze.

To normalne płakać. Rzeczywistość jest szara, a ludzie są nieciekawi.

Rozdział 48. Julia

Teraz

Rano pobiegłam do pana Jana. Nie otwierał, chociaż dobijałam się jak szalona. Chciałam mu powiedzieć, co się stało, i dowiedzieć się, czy niczego nie słyszał i nie widział. Mieszka przy samych polach.

Ponieważ nie otworzył, poszłam do Marii Rosy. Patrzyłam na zegarek. Szkoła zaczynała się dziesięć po ósmej, dochodziła siódma.

– Czego chcesz? – Maria Rosa stanęła w drzwiach. Była w szlafroku, który pamiętał bardzo dawne czasy. Niebieski, jedwabny, w czarne kwiaty.

– Moja przyjaciółka zaginęła. Nie wróciła do domu. Musiała wtedy iść w nocy. Na monitoringu nie widać, żeby przechodziła na drugą stronę osiedla.

– A co to ma wspólnego ze mną? Widziałam w ogóle tę dziewczynę?

– Tak, widziała pani. – Wyjęłam telefon i pokazałam jej zdjęcie.

– Prawie nie pamiętam. Prawdopodobnie już jutro przyjdzie do mnie nowa opiekunka, więc nie będę potrzebowała twojej pomocy.

– Dziś sąsiedzi wyjdą na pola i będziemy szukać Marleny.

– Z tego, co mówiłaś, to narwana dziewczyna. Dorośle wygląda, może uciekła z chłopakiem.

– Marlena nie ma chłopaka...

– Chyba niewiele o niej wiesz. Zresztą, na tym osiedlu już działy się złe rzeczy, zło zatacza krąg – tak mawiają – i nikt nie jest bezpieczny. Mnie też kiedyś się wydawało, że nic nie może mnie zniszczyć, a tu los spletał mi paskudnego figla. Zło zatacza krąg – powtórzyła pani Maria i, patrząc na mnie nieprzytomnym wzrokiem, zamknęła drzwi.

Wracałam do domu, powtarzając słowa Marii Rosy, jakbym sama nagle zmieniła się w starą, poharataną życiem wariatkę.

„Zło zatacza krąg”.

Matka powiedziała, że zawiezie mnie do szkoły. Bała się o moje bezpieczeństwo. Do szkoły przyszła policja i zamiast na lekcji, siedziałam w pokoju pani pedagog. Matka zgodziła się, żebym w jej obecności odpowiedziała na pytania funkcjonariuszy.

Opowiedziałam więc wszystko, co wiedziałam. O koleśiu, który pokazywał swojego ptaka na polach, i o niepokojącym zjawisku w krzakach, które przeraziło mnie kilka dni temu. O tym, że Marlena nie ma chłopaka. O stalkerze, który opublikował jej zdjęcie w Internecie, o SMS-ie, którego jej wysłał. O jej stosunkach z matką i ojcem.

Na koniec powiedziałam im o tym, że w tej okolicy wiele lat temu doszło do paskudnej zbrodni, i co, jeśli osoba skazana nie była mordercą, a prawdziwy psychol nadal jest na wolności? – Policjanci popatrzyli na mnie jak na wariatkę i powiedzieli, że mam fantazję i że powinnam napisać książkę.

– A co, jeśli to nie Andrzej Kołtun zabił te dziewczynki?

Pani pedagog zatrzymała na mnie swoje spojrzenie. Poczekałyśmy, aż policja wyjdzie, i wtedy ta sześćdziesięcioletnia kobieta usiadła naprzeciwko mnie.

– Dziecko, skąd ty znasz Andrzeja Kołtuna?

– A skąd pani go zna? – zaatakowałam jak prawdziwy detektyw.

Podskórnie czułam, że to, co działo się teraz, miało związek z tym, co działo się wtedy. Nie chciałam, żeby Marlena podzieliła los Aiszy. Znów zaczęłam strasznie się bać. Jak tak dalej pójdzie, będą musieli podawać mi leki uspokajające. Przestałam nad sobą panować.

– Pracował w tej szkole w tym samym czasie, co ja, i – powiem ci szczerze – nigdy ani przez chwilę nie wierzyłam, że zabił te dziewczynki. To był taki szlachetny człowiek.

– Więc jeśli to nie on... to ...

– Morderca dzieci może być nadal na wolności – dokończyła kobieta i zasłoniła twarz dłońmi.

Rozdział 49. Maria Rosa

Teraz

Co mnie to wszystko obchodzi, te zaginione dziewczuchy? Osiedlowe niepokoje. Niech przestaną tu przychodzić i mi przeszkadzać. I nie potrzebuję żadnej opiekunki, Jan będzie zamawiał mi zakupy przez Internet albo sama się tego nauczę. Zdarzało mi się w życiu być bardzo inteligentną. Klik, klik – i już mam zakupy przywiezione z marketu. Market mamy za rogiem, poradzę sobie bez pomocy ludzi dochodzących i nagminnie mi przeszkadzających.

Mocniej ścisnęłam klucz, który miałam zawieszony na szyi. Klucz do pokoju Celiny.

Gdyby to wszystko nie przytrafiło się Celinie, to moje życie wyglądałoby inaczej. Wiele rzeczy nigdy by się nie wydarzyło, byłabym teraz na szczycie, występowałabym w programach typu talent show i byłabym gwiazdą. A Celina miałaby dzieci i tuliłabym wnuki. I może jej mężem byłby Andrzej. A może nie, bo gdyby nie wypadek, pewnie nie zainteresowałaby się tym chłopakiem. Chyba że byli sobie przeznaczeni? Czy istnieje przeznaczenie? To był taki ładny mężczyzna, wysoki i pięknie zbudowany. Gdyby taki nie był, nie poszłabym do niego szukać ukojenia po śmierci córki. To był straszny błąd. Byłam sparaliżowana bólem. On zresztą też. To, że był obecny, kiedy zabierali Celinę, zbliżyło nas do siebie. Kiedy wyrwałam się z odrętwienia, poczułam go przy sobie. Czułam jego zapach, taki mydlany, czysty, młody, doskonały.

Przypomniałam go sobie, jak tańczył, później wyobraziłam sobie jego i Celinę. Tamten przekłęty wyjazd, z którego Celina wróciła jeszcze bardziej odmieniona. Rozpalona, rozgorączkowana, fruwała po pokoju. Zawsze miała wielką lekkość chodzenia – to dlatego została baletnicą. Nawet wypadek nie odebrał jej tej lekkości. Wypadek ją uszlachetnił.

I zabił. Tylko że Celina nie umarła od razu, tak jak jej ojciec. Umarła dopiero po jakimś czasie. Zostawiła mnie w niebycie, poczuciu beznadziei, niezgody i smutku, który zmienił się w rozpacz.

Andrzej – tylko on swoją młodością i dobrocią mógł wyprowadzić mnie z tego stanu. Wyprowadzić na chwilę, bo otchłań i tak już się otworzyła i było wiadomo, że mnie wchłonie.

I tak też się stało.

Kiedy – kilka dni po śmierci Celiny – siedziałam wtulona w jej kochanka, nagle poczułam pożądanie. Wyrwało mnie na moment z tego poczucia nicości. Jak nie masz nic, to chwytasz się czegokolwiek.

I przez ułamek sekundy myślałam, że on też tak czuje, że on też mnie pragnie. Miałam dopiero czterdzieści dwa lata, byłam siwa, ale piękna... Nadal byłam kobietą.

– Maria... Nie... – Odsunął się ode mnie delikatnie, bo na pewno nie chciał mnie zranić. – Ja...

– Ja cię potrzebuję, nie pojawiłeś się tu bez przyczyny! – powiedziałam mu.

– Pojawiłem się tu, bo kocham... twoją córkę... – Pierwszy raz wyraził na głos swoje uczucia.

– Uratuj mnie. Uratuj mnie w swoich ramionach. – Znów przybliżyłam się do niego. Andrzej wstał, bardzo gwałtownie. Na jego twarzy malowało się obrzydzenie.

– Nikt mnie nigdy nie odtrącił! – krzyknęłam... i to była prawda. Andrzej był pierwszy i w dodatku odtrącił mnie w najczarniejszej godzinie mojego życia. Wtedy właśnie wpadłam w otchłań nieśmiertelnej rozpacz.

Rozdział 50. Julia

Teraz

Powiedziałam ojcu, że Marlena nie uciekła, bo on przypiął się do tego pomysłu najbardziej. Nawet matka mojej przyjaciółki też skłaniała się w tę stronę.

– Marlena nie uciekła, bo gdyby miała uciec, powiedziała mi o tym! – upierałam się. – Mamo, czy gdybym ja zniknęła, to też myślałabyś, że uciekłam? Ty byś tak myślała, a tymczasem ktoś właśnie mordowałby mnie w piwnicy!

– Julia, ta sprawa jest w rękach policji. Nie możesz mówić innym, co mają robić, jesteś niespełna czternastoletnią dziewczynką.

– Rozmawiałam z panią pedagog, ona знаła naszego sąsiada, Andrzeja Kołtuna – tego oskarżonego o zabicie dzieci w okolicy. Powiedziała mi, że nigdy nie uwierzyła w jego winę. A jeśli to nie on zabił, to zrobił to ktoś inny, i ten ktoś może teraz mieć Marlenę. Jeśli jej nie było w lesie i na polach, to on ją trzyma...

– Julia, powinnaś porozmawiać z panią psycholog, ale nie o Andrzeju Kołtunie, tylko o tym, jak się czujesz. Widzę, że w twojej głowie dzieje się coś złego. Bardzo martwię się o Marlenę, odchodzę od zmysłów. Minęło już czterdzieści osiem godzin, a jej nadal nie ma, nie mogę sobie nawet wyobrazić, jak znosi to jej matka.

– Czuję, że Marlena żyje, ona jeszcze żyje, a wy sprawdzacie monitoringi i gadacie z kierowcami MPK. Moja przyjaciółka mnie potrzebuje!

– My potrzebujemy, żebyś zachowała spokój!

– A Ty byś zachowała, gdyby zniknęła twoja przyjaciółka? Marlena jest dla mnie jak siostra, musi się znaleźć. Musicie ją znaleźć!

I wtedy zadzwonił ojciec.

– Włączyła telefon, ona albo ktoś. Wysłała SMS... wiadomość do swojej matki – zrelacjonowała na głos mama.

– Jezu, jakiego, mamo? Co napisała?!

– No właśnie nic... To tylko emotikon: uśmiechnięta buźka... nic więcej.

– I wtedy sobie to przypomniałam. Kiedy kilka dni temu, jeszcze przed

zniknięciem Marleny, wracałam do domu przez pola, widziałam narysowane patykiem na piasku uśmiechnięte buźki... Dwie kreski zamiast oczu i uśmiezek. – Tata mówi, że to dobry znak... Że napisała.

– Pod warunkiem, że to rzeczywiście ona. – Chwyciłam za telefon i wybrałam numer ojca. Musiałam mu o tym powiedzieć.

Rozdział 51. Julia

Teraz

Znowu strasznie rozbolał mnie brzuch. Leżałam w łóżku i nasłuchiwałam, czy ojciec nie wraca.

W końcu zasnęłam, a kiedy się obudziłam, usłyszałam, jak rodzice rozmawiają. Na palcach, jak najciszej, zeszałam piętro niżej po naszych nieskrzypiących schodach i stanęłam pod drzwiami ich sypialni.

– Zatrzymaliśmy tego gościa od SMS-ów. Dzisiaj jak ukryjesz adres IP, to może ci się wydawać, że jesteś niewidzialny. To czterdziestolatek, udawał nastoletniego amanta, na jego kompie zabezpieczyliśmy materiały, których nie chciałybyś oglądać, nikt przy zdrowych zmysłach by nie chciał. Paskudny oszołom, ale ma alibi. Żona poświadczyła. Prześwietlamy go. Byli razem na urodzinach teściowej od siedemnastej do dwudziestej trzeciej. Wrócili do domu taksówką. Teraz, jak się żona dowiedziała, co on wyrabia, będzie miał piekło, na które zasłużył. Tak nas prosił, żeby nic jej nie mówić. Że to takie jego nieszkodliwe hobby. Obrzydliwy pedofil.

– Mam nadzieję, że nie ma dzieci...

– Nie ma. Na szczęście. Na monitoringu nie widać przechodzącej Marleny. Jutro zaczniemy przepytawać pozostałych sąsiadów. Może ktoś zabrał ją samochodem i dlatego nie widać tego na kamerze.

– Jeśli nie ma jej w lesie ani na polach, to albo ktoś ją stąd zabrał autem, albo... – mówiła przyciszonym głosem matka.

Zbliżyłam się jeszcze o krok.

– Albo dziewczyna jest nadal na osiedlu. To raczej wykluczamy. Zakładamy, że zadzwoniła po kumpla i wyłączyła telefon, i włączyła go tylko jeden raz, żeby wysłać ten SMS do matki.

– Gdzie ostatnio logował się jej telefon?

– Tutaj, w okolicy.

– Może zostawiła komuś telefon i ktoś za nią wysłał ten SMS?

– Niewykluczone.

– Bardzo się o nią boję – wyszeptała matka.

– Ja z każdą godziną też boję się o nią coraz bardziej. Gdyby tamtej nocy nie było takiej krótkiej, ale intensywnej ulewy, to może psy tropiące podjęłyby trop Marleny. Niestety, molekuly zapachowe człowieka, podstawowe cząsteczki naszej woni, są najmniej trwałe. Ważne jest też to, na jakiej powierzchni zostawia się ślad – jeśli na chodniku czy piachu, to niestety molekuly zapachowe utrzymują się krótko. Warunki atmosferyczne mogą zniszczyć nawet najlepszy ślad.

Zacząłam cichutko wycofywać się do swojego pokoju, chociaż nie chciałam być sama.

Zawsze myślałam, że ja i Marlena jesteśmy nieśmiertelne, niezniszczalne i że złe rzeczy dzieją się innym, a nie nam.

Tej nocy, prawdopodobnie z nerwów, dostałam tak bolesnej kolki, że matka musiała zadzwonić po pogotowie i zabrali mnie do szpitala, do Pabianic.

Rozdział 52. Maria Rosa

Teraz

Historia lubi się powtarzać. Podobno dziś do domu obok przyszła policja i zabrała na przesłuchanie tego nowego sąsiada Julii. Próbowałam się nawet do tej gówniary dodzwonić. Za trzecim razem odebrała, mówiąc, że leży w szpitalu na obserwacji.

– Chciałam ci tylko powiedzieć, bo wiem, że interesują cię takie historie, że twój sąsiad został zabrany na komisariat. Cała dzielnica o tym huczy. Przesłuchują go w sprawie zniknięcia twojej koleżanki.

Czułam, jak po drugiej stronie słuchawki rośnie napięcie. Powiedziałam, co miałam powiedzieć, i rozłączyłam się.

Wyszłam z domu i pospiesznie zamknęłam za sobą drzwi. W domu był głodny kot, a zabrakło karmy i musiałam wybrać się do sklepu. Czułam jednak przypływ energii i miałam odwagę, by zmierzyć się ze światem zewnętrznym.

Podeszłam pod dom Jana i zakołatałam do drzwi. Upewniłam się, że mam dobrze ustawiony aparat słuchowy.

– Idę po zakupy, potrzebujesz czegoś? – oznajmiłam, być może trochę za głośno, przez drzwi.

Otworzyły się z nieprzyjemnym skrzypnięciem.

– Strach się bać i otworzyć drzwi. Znów zło czai się w okolicy, co, Mario?

– Strachy na lachy. Każdy powinien pilnować swoich spraw. To najważniejsze. Jak się pilnuje swoich spraw, to się nie wściubia nosa w nieswoje.

– Teraz mówisz mądrze, ale w młodości byłaś bardziej ciekawska. – Jan uśmiechnął się półgębkiem, prezentując nienagane zęby.

– Wtedy jeszcze chciało mi się reagować.

– Skoro idziesz do sklepu, to pójdę razem z tobą. Codziennie staram się wyjść na choćby krótki spacer, w starszym wieku bezruch to śmierć – powiedział i narzucił na siebie lekką zieloną kurtkę.

Widać było, że pamiętał dawne czasy, ale wyglądał nienagannie. Przechesał ręką rzadkie już siwe włosy i zamknął drzwi na klucz.

– Julia jest w szpitalu – powiedziałam mimochodem.

– Nasza Julka? A co jej się stało? Wszystko w porządku? – zaniepokoił się.

– Nie wiem. Dzwoniłam do niej. Jest na obserwacji, ma bóle brzucha. Jakies tam dziewczyńskie sprawy.

– Lepiej być w szpitalu niż na cmentarzu. Julia przynajmniej jest cała, a ta druga dziewczynka, ta zaginiona, ciekawe gdzie... – wysapał.

– Tego nikt nie wie... – powiedziałam i zwolniłam kroku, żeby dopasować się do sąsiada.

Rozdział 53. Mrok

Teraz

Skrzynia została wyłożona kawałkiem starego dywanu i dzięki temu stosunkowo tłumiała dźwięk. Sporo pracy, ale warto – bo zawartość skrzyni była za głośna. A głośność mogła być niebezpieczna.

Zresztą, dostawała, co trzeba, żeby być cicho. Czasami mniej, czasami więcej.

Jak nie chciała brać, to najpierw była bita pięścią, a potem ciągnięta za włosy. Po takim ciągnięciu zawsze dużo włosów zostawało w ręku. Wystarczyłoby raz przyłożyć mocniej... ale wtedy byłoby po wszystkim. A nie może być po wszystkim zbyt szybko. Wtedy znowu czas mroku by się skończył.

A kiedy rzeczy się dzieją, to jest energia. Kiedy jest strach, to budzą się radość i poczucie największej na świecie sprawiedliwości.

Jak będziesz skrobać w skrzynię, to poodcinam ci palce. Pianistką chyba nie jesteś, co, to tych paluchów aż tak nie potrzebujesz? – myślę sobie. Włosy lepią ci się do czaszki, jeszcze trochę ich zostało.

I co jej z tej młodości, skoro została uwięziona i będzie – no, mówiąc nieładnie – ukatrupiona.

Powtarzam w myślach: trup, trup... I nagle zaczynam to mówić na głos.

Mówię to na głos.

Zesrała się paskudnie, na zielono, i zwymiotowała do skrzyni. Brudaska.

– Gdybyś mogła wybrać, to wolałabyś umrzeć i nigdy stąd nie wyjść czy wyjść ślepa? Zastanów się, bo może dam ci taki wybór. Dwoje oczu za jedno życie – Uśmiezek. Tyle że już nie wolno mi wysyłać tych uśmiezków, bo mogą mnie zlokalizować. – A może dziurki w uśmiezku? Wyjmę ci ząb po zębie? Będziesz młoda, ale bezzębna i ślepa jak starucha.

Była taka bezczelna, a teraz jest przerażona.

Jak łatwo jest złamać człowieka. Każdego, bez wyjątku. Jak łatwo.

Rozdział 54. Asia

Wtedy

(z pamiętnika Asi)

Kiedy przyszedł po mnie Maciek, poczułam się wyjątkowo. Bo oto najładniejszy chłopak w szkole przychodzi po mnie. To musi oznaczać tylko jedno: że jestem warta jego uwagi. I o ile nie interesowałam się nim wcześniej, o tyle... teraz zainteresowałam się nim bardziej.

Pożyczyłam od matki ten cudny sweter, zielony z cekinami. Matka o tym nie wie. Sweter ukryłam pod kurteczką. Założyłam moją jedyną dzinsową spódnicę, która jest obcisła i w którą ledwo wchodzę. Włosy spięłam w koński ogon. Podobno jak włosy nie okalają mojej twarzy, to lepiej widać moje oczy.

– Cześć, wyglądasz tak, że... – skomplementował mnie Maciek.

– Do którego kina idziemy?

– Zachęta. Przejdziemy się do ulicy i pojedziemy tramwajem, choć wolałbym iść na piechotę i chwalić się tobą, wiesz, przed wszystkimi.

Uśmiechnęłam się.

– Nie ma się kim chwalić, ale dobrze... możemy iść na piechotę.

– Nie, to za daleko, nie chcę cię zamęczyć, bo już się ze mną nie umówisz.

W tramwaju pozwolił mi usiąść, a w zasadzie zmusił mnie, żebym usiadła, bo wcale tego nie chciałam. Nie jestem jakąś babuliną, żeby siedzieć. Kiedy zostało mniej ludzi, Maciek złapał się za metalowe rury do trzymania i zrobił na nich błyskawicznego fikołka. Też tak potrafiłam, ale nie w spódnicy.

Kiedy wysiadaliśmy tuż przed kinem Zachęta, zobaczyłam, że naszym tramwajem jedzie też matka Celiny. Patrzyła na mnie. Przywitałam się, wysiadając.

– Nie wiedziałam, że masz chłopaka, myślałam, że kolegujesz się ze starszymi – zagadnęła.

Nie odpowiedziałam, bo zamknęły się za nami drzwi.

– Kto to? – zapytał Maciek.

– To matka mojej dobrej koleżanki. Była gwiazdą opery – dodałam, żeby odwrócić jego uwagę od tematu.

– Aha, no zadbana kobitka. Trochę stara, ale okej.

– Ja już widziałem ten film, Aisza, zabieram cię na niego, bo jest piękny i jest o miłości.

– Dziękuję. Bardzo lubię kino.

– Kto nie lubi kina! – Maciek złapał mnie za rękę i pociągnął w stronę wejścia.

Zapachniało wyjątkowo: starymi taśmami celulozowymi i drewnem foteli, i zakurzoną kotarą, która zakrywała ekran.

Usiadłam na mięciutkim fotelu, on obok mnie. Nim zaczął się film, poczułam, jak bierze mnie za rękę. Tym razem jej nie wyrwałam.

Miałam czternaście lat i pełne prawo, żeby ktoś trzymał mnie za rękę. Skoro Andrzej trzyma za rękę Celinę, to Maciek może trzymać za rękę mnie. Może za trzy lata wszyscy, we czwórkę, wyjedziemy w Bieszczady albo Góry Sowie, będziemy chodzić po szlakach, wieczorami przy ognisku ja będę im śpiewać i grać na gitarze, a Celina będzie dla nas tańczyć. Będę już wtedy w liceum – wygram tę olimpiadę z polskiego i będę mogła pójść do dowolnej szkoły. A później już będzie tylko lepiej i lepiej. Ojciec dowie się, jaka jestem wspaniała, i zechce mnie poznać. I urządzi mi cygańskie wesele. Na tym weselu będzie dwanaście cygańskich wróżek i każda wywróży mi pomyślność. I tylko trzynasta wróżka wywróży mi śmierć... Pomyślałam tak i przeszedł mnie dreszcz. I wtedy poczułam, jak Maciek swoimi ustami dotyka moich ust.

Kiedy wyszliśmy z kina, byliśmy w doskonałych nastrojach. Wracaliśmy do tramwaju, trzymając się za rękę.

– To może teraz będziesz chciała jeszcze się ze mną umówić, co?

– Może... Postarałam się.

– Wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia? – zapytał.

– Powiem tak: wierzę w miłość. Wystarczy?

Maciek zdjął kurtkę i otulił mnie nią, i choć wcale nie było mi zimno, to zrobiło mi się bardzo przyjemnie. I znów pomyślałam, jak to będzie w tych Bieszczadach za trzy lata, gdy wszyscy razem tam pojedziemy. Jacy będziemy wolni i szczęśliwi. I uśmiechnęłam się do tej myśli.

Rozdział 55. Julia

Teraz

Marleny nie było już od pięciu dni. Chyba coraz mniej osób myślało, że uciekła. Jej matka siedziała w domu i nie rozstawała się z telefonem.

Mama zapłacała za możliwość pozostania ze mną na sali. Miała tam mały fotel, na którym tylko teoretycznie dało się spać.

Wykonano mi serię badań, które miały wykluczyć coś poważniejszego. Nie mogłam wybrać gorszego momentu, żeby się rozchorować. Powinnam działać, a nie leżeć w szpitalu. Od momentu, kiedy do niego trafiłam, fizycznie zaczęłam czuć się lepiej, jakby nieobecność w domu robiła mi dobrze – tylko że to nie miało żadnego sensu.

Dowiedziałam się od mamy, że przesłuchują naszego sąsiada i że każdy na każdego patrzy teraz podejrzanym okiem. Powtarzała, że Marlena się znajdzie i żebym się nie martwiła. Traktowała mnie jak małą dziewczynkę i udawała, że wierzy w szybkie rozwiązanie sprawy.

Był u mnie tata z kolegą z policji, żeby jeszcze dokładniej przepytac mnie w sprawie ostatniego spotkania z Marleną. Widać było, że tata też się martwi i najchętniej odsunąłby mnie od całej sprawy, żeby mnie chronić. Ale jeśli chciał chronić Marlenę, to nie mógł wykluczyć mnie.

Miałam wyrzuty sumienia, że jej nie odprowadziłam. Okropne wyrzuty. Gdyby nie ten bolący brzuch... Tata powiedział, że wtedy być może coś złego przytrafiłoby się mnie. W myśl zasady: co jest twoje, to cię znajdzie.

Coraz bardziej czułam, że byliśmy obserwowane. Że nam się nie wydawało. Oczywiście teraz, kiedy o tym mówiłam, wszyscy dorośli słuchali i doszukiwali się w tym sensu, pytali, czemu nie powiedziałyśmy o tym wcześniej. A przecież mówiłyśmy o obnażającym się kolesiu, i co? I nic.

Nie da się gadać o złych przeczuciach, bo dorośli robią okrągłe ze zdziwienia oczy, jakby tylko oni mieli prawo przewidywać i ufać intuicji.

Chciałam już wyjść do domu. Nie narzekałam nawet jednym słowem na brzuch. Nie narzekałam na nic. W zasadzie to udawałam, że wszystko było ze mną okej.

Matka rozmawiała z lekarzem o wynikach badań. Kiedy weszli do sali, zauważyłam zaniepokojenie na ich twarzach.

– Czy ty zażywałaś jakieś nielegalne substancje? – zapytała łamiącym się głosem mama.

– Co?

– Czy stosowałaś kiedykolwiek dopalacze?

– Nie ... – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– W twoim organizmie wykryliśmy toksyny pochodzenia roślinnego, które mogą być odpowiedzialne za twój stan – za biegunki, bóle brzucha. Takie substancje mogą powodować zaburzenia krążenia i oddychania. Musi pani porozmawiać z córką. – Lekarz znacząco spojrział na matkę, a później na mnie. – Młoda damo, jutro wychodzisz do domu. Nie muszę mówić, że stosowanie niedozwolonych substancji może doprowadzić do śmierci, prawda? Mamy wiele takich przypadków. Jeśli nie chcesz być jednym z nich... to następnym razem się zastanów.

Lekarz wyszedł. Między mną a matką nastąpiła cisza.

– Julia? Czy ty coś brałaś, czy brałyście coś z Marleną? – zapytała.

– Ja nic nie brałam. O ile wiem, ona też nie. Nie mam pojęcia, skąd w mojej krwi wzięły się te substancje.

– Chyba musimy porozmawiać o zaufaniu... – powiedziała matka i wyszła z sali. Pewnie żeby zadzwonić do ojca.

Skąd, do cholery, to coś wzięło się w moim organizmie?

I wtedy nagle przypomniałam sobie te herbatki. Kto jest specem od ziół...?

– Mamo! – Wybiegłam za nią na korytarz. Zakręciło mi się w głowie i musiałam przytrzymać się ściany. Matka stała przy oknie i rozmawiała przez telefon. Poczłapałam do niej. – Ja piłam herbatki u pana Jana i ziółka u pani Marii Rosy.

– No, teraz to pięknie wymyśliłaś! Będziesz zrzucać winę za swoje błędy i głupie zachowania na sąsiadów! Wracaj do łóżka! Po co sąsiedzi mieliby cię truć?

Właśnie, po co sąsiedzi mieliby mnie truć? Może dlatego, że za bardzo zbliżałam się do prawdy, która jest dla nich niewygodna. A może dla zabawy.

Wróciłam do pokoju i zadzwoniłam do ojca.

– Wiem już o wszystkim od mamy, Julio, jestem rozczarowany i chciałbym znów móc ci zaufać.

– Ale to sąsiedzi, pan Jan i pani Maria, poili mnie ziołami. Pamiętasz, jak opowiadałam, że Maria Rosa zna zioła na wiele schorzeń, pan Jan też mówił o tym, co będzie dobre dla mamy, na odchudzanie.

– A więc otruli cię starsza sąsiadka, śpiewaczka operowa, i bardzo stary ogrodnik, wdowiec. Rozumiem, Julio, to oczywiście ma sens. – Czułam, że mówi to z przekąsem. To mnie zdenerwowało i rozłączyłam się.

Nie chcą mnie słuchać, nie chcą ze mną rozmawiać. Ktoś mnie podtruł – akurat teraz, kiedy Marlena zniknęła. Ktoś nas straszył i podglądał, a mój ojciec w takiej chwili zupełnie mi nie wierzy. Podobnie jak matka.

Tacy dorośli, a tacy głupi – pomyślałam i zrobiło mi się strasznie przykro. A kiedy pomyślałam o Marlenie, ogarnęła mnie rozpacz. A co, jeśli oni jej nie znajdą? Co wtedy?

A jeszcze gorzej – co, jeśli ją znajdą, ale nieżywą...?

Rozpłakałam się.

Rozdział 56. Maria Rosa

Teraz

Nie lubiłam, kiedy odwiedzali mnie ludzie, i chyba każdy powinien już o tym wiedzieć, a przynajmniej każdy, kto choć trochę mnie znał. Kiedy wieczorem do moich drzwi zadzwonił Jan, wcale nie miałam ochoty go wpuszczać. Wyszłam na ganek i przestępując z nogi na nogę, okazywałam swoje zniecierpliwienie.

– Mario, chciałem tylko zapytać cię o jedną rzecz, i nie bierz tego do siebie – wymamrotał, a ja podkreśliłam aparat.

– O co chodzi? To musi być ważne, skoro niepokoisz mnie wieczorem.

– Mówiłaś, że Julia jest w szpitalu. Dzwoniłem do jej matki. Chciałem zapytać, czy ty... czy ty dałaś jej jakieś zioła? Leczyłaś ją?

– Co? Od kiedy to ja jestem lekarką?! Chyba zwariowałeś! Stary dziad, w głowie mu się poprzewracało! Czarownicę będzie ze mnie robił.

Zrobiłam ruch w stronę drzwi. Złapał mnie za ramię tą swoją chudą, żylastą ręką.

– Łapy precz! – syknęłam.

– Pytam nie bez powodu. Kiedyś, dawno temu, dawałaś zioła mojej żonie, pamiętasz?

– Nic jej nie dawałam.

– Wiem, że tak, i ona się po nich bardzo źle czuła – dokończył dobitnie i spojrzał mi w oczy.

– Ach tak! Skoro zaczynamy się oskarżać, to chciałam ci przypomnieć, że też co nieco wiem.

Wiem, jaki był z ciebie mąż i z jakimi ona sińcami chodziła! Wiem wszystko!

Jan cofnął rękę, spojrzał na mnie z bólem i nienawiścią i, zachwiałwszy się na schodkach, zszedł z nich i zniknął za bramą.

– Damski bokser! – wysyczałam za nim.

I przypominałam sobie tamten dzień, kiedy odwiedziła mnie Barbara, jego żona. I to, co wówczas mi o nim opowiedziała.

Rozdział 57. Andrzej

Wtedy

Może zachowuję się jak narwany gówniarz, ale chcę się z nią ożenić. Nie wyobrażam sobie inaczej. Wiem, że Celina ma dopiero osiemnaście lat, ale moja matka też wyszła za mąż w tym wieku. Oczywiście jej małżeństwo było nieszczęśliwe, bo trafiła na mojego ojca, ale ja jestem zupełnie inny. Nic prócz wyglądu mnie z ojcem nie łączy. Brzydzę się gwałtownością i nie wyobrażam sobie nie stanąć w obronie zaatakowanej kobiety.

W zasadzie ostatnia próba obrony kobiety była dla mnie bardzo nieprzyjemna. Na samą myśl o tym, co się wydarzyło – mnie, osobie niezwykle spokojnej – otwiera się w kieszeni nóż.

Tego wieczoru, już po naszym powrocie ze stadniny, siedzieliśmy w moim domu z Celiną i Aiszą. Żartowaliśmy, że jak oświadczę się Celinie, to Aisza zaśpiewa na naszym ślubie Ave Maria.

Zaczął się to od tego, że słyszałem, jak Aisza śpiewała tę piękną i transponującą na antypody umysłu pieśń na szkolnej próbie. Trochę żartem, a trochę serio, ale jak usłyszałem, to dech mi zaparło. I mój zachwyt nad tą dziewczyną stał się jeszcze większy. Widziałem przed nią przyszłość świetlaną i doskonałą. Widziałam, jak wyrывa się z tego paskudnego domu – bo jej dom był dla mnie paskudny, i to nie ze względu na brzydkie ściany, ale na ludzi, którzy go tworzyli.

Aisza zobaczyła mnie, speszyła się i przestała śpiewać, choć przecież nie była wstydliva, a ja wtedy podszedłem do niej i cicho szepnąłem, że może zaśpiewać to na moim ślubie i że nikt tego lepiej nie zrobi. Uśmiechnęła się. Celinie pomysł też bardzo się spodobał. Wszystko, oczywiście, było w sferze żartów, ale wydaje mi się, że tylko dla nich, bo ja na samą myśl czułem, że tylko tego chcę.

Nie wyobrażałem już sobie bycia z jakąkolwiek inną kobietą.

Kiedy siedzieliśmy i żartowaliśmy, Aisza opowiadała, że w matce zaszła pozytywna zmiana i że nawet dała jej pieniądze na kino, co w zasadzie wcześniej zdarzyło się może ze dwa razy. Celina powiedziała, że widać

miłość ją uskrzydliła, i spojrzała na mnie bardzo znacząco. Rozumieliśmy się bez słów.

Potem rozeszliśmy się do domów i wszystko zapowiadało się bursztynowo.

Gdy spałem, ze snu wyrwał mnie dzwonek do drzwi. Bardzo natarczywy. Zaspany, zbiegłem po schodach, spotykając po drodze zaniepokojoną i też wybudzoną ze snu matkę.

Przed domem stała Aisza. Przyjechała na rowerze, w piżamie, w pasie miała przewiązaną dresową bluzę. Wybiegłem do niej.

Płakała. Wiedziałem, że musiało stać się coś okropnego. Bałem się jednak myśleć, co takiego wydarzyło się w jej domu, że w środku nocy zdecydowała się do mnie przyjechać.

– Ratuj mnie! Matka mnie zabije, i on mnie zabije!

– Aisza, musisz się uspokoić i powiedzieć mi, co się stało.

– Przepraszam... Przepraszam.

– Wejdz do domu i opowiedz mi, co się wydarzyło. – Zacząłem ciągnąć ją do środka.

– Jak wróciłam, to oni, oczywiście, siedzieli przy butelce, kłócili się. Czar ostatnich dni prysnął. Zaczęli się czepiać, że się włóczę nie wiadomo gdzie. Poszłam do pokoju i wtedy usłyszałam łomot. Wybiegłam do nich i zobaczyłam, jak Kazik bije matkę po twarzy. Krew poszła jej z nosa. „Ręcznik daj!” – zaczął do mnie wrzeszczeć. A ja wrzeszczałam, że co on robi, żeby przestał matkę bić, że robi jej krzywdę, że dzwonię po policję. I jak powiedziałam o policji, to trzasnął mnie w głowę. Upadłam. „Policją mnie będzie taka jedna straszyć!”. Kopnął jeszcze matkę i ruszył w moją stronę. Brat już darł się w niebogłosy. „Idź stąd!” – krzyczałam i do brata, i do Kazimierza. Skoczył mi do szyi i zaczął mnie dusić. Obok stał matczyzny koszyk do robienia na drutach, wyciągnęłam drut i dźgnęłam go, i jak zawył, to wybiegłam przed dom. Brata do sąsiadki zaprowadziłam, obudzona już była wrzaskami. Wsiadłam na rower i przyjechałam tutaj.

– Czy on... czy coś mu się stało? Żyje? – Byłem przerażony.

– Nie wiem, chyba żyje. Nie chciałam mu nic zrobić. Broniał nas. Broniał matki i siebie, i brata!

– Zostań tu, ja pojedę do waszego domu. Mamo, zrób Aiszy herbatę – powiedziałem trochę rozkazującym tonem, którym nie zwykłem się do matki zwracać.

Wyszła za mną do garażu i stwierdziła, że wiedziała, że z tą Aiszą będą kłopoty i że za bardzo się angażuję.

Odpaliłem auto i pojechałem. Byłem naprawdę wściekły. Kiedy zatrzymałem się pod domem Aiszy, zobaczyłem, że pali się w nim światło. Furtka była otwarta. Bez pukania wszedłem do środka.

Matka Aiszy opatrywała brzuch swojego konkubenta.

– Nie daruję jej tego! – powiedziała, patrząc na mnie wściekłym wzrokiem.

– Została pani pobita, Aisza też, czego pani jej, kurwa, nie daruje?! – Poniosło mnie.

– Każdy związek chce mi zniszczyć. Tak zdenerwowała Kazia...

Spojrzałem na mężczyznę, który pijacko rozpierał się w fotelu. Miałem ochotę uderzyć go w twarz, ale wiedziałem, że niewiele by z tego pamiętał. Podszedłem do matki Aiszy i szarpnięciem podniosłem ją z klęczek do pozycji stojącej.

– Ocknij się, kobieto, zanim będzie za późno. Nie powiem ci, że możesz stracić dzieci, bo o to ci pewnie chodzi, ale możesz zniszczyć im życie. Tego właśnie chcesz? Jakiegoś gacha stawiasz wyżej niż rodzoną córkę! Wstyd!

Puściłem ją, a ona znów osunęła się na klęczki i rozpłakała. Był to bardziej nieszczęśliwy pijacki bełkot niż szczerza skrucha. Wszedłem w poczuciu, że to misja beznadziejna. Że Aisza musi wrócić do takiego domu i kto wie, co zdarzy się następnym razem. Co takiego wymyśli Kazio. Kiedy wróciłem do siebie, Aisza spała w pokoju mojej matki.

– Musiałem zareagować. Jestem dorosłym mężczyzną i teraz już mogę reagować. Przepraszam, że nie ratowałem ciebie...

– Nie mogłeś, ale teraz możesz i robisz to. – Matka przytuliła mnie mocno i położyła się spać na kanapie w salonie.

Czułem, że muszę uratować Aiszę. W zasadzie wiedziałem o tym od początku. Może rzeczywiście w jej przypadku bardziej sprawdzi się szkoła z internatem. Bardzo chciałem odseparować ją od toksycznej rodziny, żeby ta rodzina jej nie wchłonęła i nie zniszczyła jej wyjątkowości. Jeszcze wtedy nie wiedziałem, że nad nami wszystkimi zawisły czarne chmury i że nikt nie wyjdzie stąd żywy...

Rozdział 58. Julia

Teraz

Mama tej ostatniej nocy postanowiła spać w domu. Tym, że zostawiła mnie samą w szpitalu, okazała swoje rozczarowanie i niechęć do mnie. Przynajmniej ja tak to odebrałam. Słyszałam, jak dzwoniła do babci i mówiła, że nie może mi ufać. Skupia się na głupotach, nieprawdziwych głupotach, zamiast na tym, co ważne – na zniknięciu Marleny.

Nie mogłam usiedzieć w miejscu, dlatego grzebałam w telefonie i przeglądałam wszystko jak leci.

Zioła też. Przeglądałam zioła i zielniki online, ale za dostęp do tych fajnych trzeba płacić. Oglądałam popularne w Polsce rośliny trujące. A więc: bieluń dziedzierzawa, czyli diabelskie ziele, pokrzyk wilcza jagoda, lulek czarny i szalej jadowity. To od tej ostatniej wzięło się powiedzenie „najeść się szaleju”.

Bieluń, inaczej datura, jest biały i wygląda jak wiatrak. Jest traktowany przez młodzież jak narkotyk. Wykazuje niezwykle silne właściwości odurzające, dlatego jego nasiona nazywa się „haszyszem Targówka”. Spożycie tej silnie toksycznej rośliny może doprowadzić do śmierci. Wystarczy zjeść kilka nasion i ma się omamy wzrokowe i słuchowe, zaburzenia równowagi i uczucie niepokoju.

Szalej jadowity to bardzo powszechnie występująca na łąkach roślina, którą często bez zastanowienia zrywałam. Małe, białe płatki, tworzą takie piękne główki. I o czymś tak ładnym mówią „cykuta” – od wieków znana jako silnie trująca. U człowieka, który zatruje się szalejem, stwierdzić można następujące objawy: pieczenie w ustach, nudności, nieżyt żołądka, do tego biegunka i wymioty. Człowiek może zemdleć, zdrętwieć, a nawet stracić świadomość. Dostaje drgawek, zgrzyta zębami, dochodzi do porażenia i śmierci. Zatrucie cykutostatyną wpływa na korę mózgową i początkowo przypomina upojenie alkoholowe. Tak przynajmniej podawała strona www.tadeuszchowaniak.pl. Istniało podejrzenie, że Sokrates skazany na śmierć przez ateński sąd miał wypić napar z szaleju. W rzeczywistości wypił napar z innej rośliny – pietrasznika.

Przeglądałam dalej i wtedy zobaczyłam przepiękną roślinę; uśmiechała się do mnie z Wikipedii. Naparstnica purpurowa. Dzwony zmarłych, Palce Wróżek, Psi Palec, Lwia Paszcza. Jedna z najbardziej trujących roślin w Polsce. Posiada również właściwości lecznicze. Chemicznie podobna do naparstnicy zwyczajnej, ma także bardzo zbliżone działanie toksyczne. Spowalnia akcję serca, wywołuje nudności i wymioty. Po zatruciu człowieka dopadają kolka żołądkowo-jelitowa, zaburzenia widzenia. Dostaje też porażenia. W wyniku zatrzymania się akcji serca następuje śmierć. Dlatego też samodzielne leczenie się naparstnicą jest wykluczone.

Śliczna jest ta naparstnica i widziałam ją na pewno. U Jana, a może u Marii Rosy.

Kopiuję linki do artykułów i wysyłam wiadomość do ojca. Niech sobie poczyta, może to otworzy mu oczy. Ktoś chciał mnie otruć, a teraz ktoś porwał Marlenę.

Chcę wrócić do domu i zacząć działać.

Rozdział 59. Asia

Wtedy

(z pamiętnika Asi)

Pamiętniku mój, nie mogę Cię nigdzie zostawić, bo to, co opisuję, jest zbyt okropne. I o ile powiedziałam Andrzejowi wszystko o tamtej nocy, kiedy Kazimierz pobił matkę i zaatakował mnie, to nie opowiedziałam o wcześniejszej sytuacji. Nie chciało mi to przejść przez gardło i nawet nie wiem, czy będę umiała o tym napisać, ale mam być tutaj szczerą i tylko szczerą, tak?

Moje życie dzieli się teraz na normalne i nienormalne. Normalnie jest w szkole i kiedy spędzam czas z Celiną i Andrzejem. Patrzą, jak coraz bardziej się w sobie zakochują, z jaką czułością się do siebie odnoszą. Coś mi podpowiada, że nie ma już między nimi granic i ta historia po prostu musi mieć szczęśliwe zakończenie. Kiedy śpiewam, to też czuję się normalna, i kiedy piszę. Jednak wystarczy wrócić do domu i zaczyna się jazda. Patrzą na matkę, która podporządkowuje się Kazikowi, i nie mogę już znieść tego, jak on na mnie patrzy. Niby ukradkiem, ale tak oślizgle. Nie chcę, żeby ktokolwiek tak na mnie patrzył, brzydzę się sobą pod tym spojrzeniem i brzydzę się tym gadem. Tutaj się o mnie otrze, tam rzuci jakąś uwagę. Najchętniej rzuca te uwagi, jak się szykuję do snu, kiedy matki nie ma. Ale i przy niej mu się zdarzy. Czy ona tego nie słyszy?

– Takie pannice lubię najbardziej. Dziewczyneczki. Kobita się z niej zaraz zrobi, Janka, ech...

Matka patrzy na mnie wtedy złym wzrokiem, który który sygnalizuje kłopoty.

Ostatnia akcja nie była pierwszą z Kazem. Czasem tak go nazywam – Kaz.

No więc tak (wiem, od „no więc” nie zaczyna się zdania, ale to nie jest wypracowanie i nikt prócz mnie tego czytać nie będzie) – Po kolejnej ich prywatce nagle obudziłam się i poczułam, że ktoś się obok mnie kładzie. Śpimy z bratem w jednym pokoju, na piętrowym łóżku, ja na dole, bo on kocha, po prostu kocha spać na górze. Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że

to pijany Kaz. Uwalił się jak kłoda. Wielka, tłusta kłoda. Zupełnie jakby uwalila się obok mnie Kaśka z klasy, tyle że musiałyby jeszcze połknąć Monikę.

Znieruchomiałam, zamarłam, zaczęłam go szturchać i przelazłam przez niego, żeby wyjść z łóżka. Matka siedziała z koleżankami. Powiedziałam, że nie mam miejsca, że Kaz uwalił się na moim łóżku.

– No i po co dramat robisz. Upił się i położył. – Matka zaczęła go tłumaczyć.

Powiedziałam, że ja tam spać nie będę.

Zaczęłam wyskrobywać się do brata, ale Kaz złapał mnie za nogę.

– Chodź tu, mała... – wysyczał jakoś tak złowrogo. Zaczęłam tę nogę szarpać i puścił. Położyłam się na górze i wtuliłam w młodego. – Gdzieś ty polazła, chodź do wujka... No... chodź – wypowiadał te paskudne słowa zaproszenia.

To taki z ciebie wujaszek – pomyślałam. I żałowałam, że nie jestem już małą dziewczynką, bo zsikałabym się na materac i te siki spłynęłyby na niego. Na to sobie zasłużył. Podły zboczeniec.

Rozdział 60. Mrok

Teraz

Staram się widzieć w niej człowieka, chociaż coraz mniej go przypomina. Od prawie tygodnia leży w skrzyni, ręce ma zaklejone taśmą, robi pod siebie. Jak tylko odklejam taśmę z jej ust, to od razu wylewa się z nich ten cały bełkot. Ona naprawdę myśli, że mogę ją wypuścić? Że chcę ją tylko nastraszyć? Oj, głupia, głupia dziewczynka.

Prosi, żeby nie robić jej krzywdy, że ona nic nikomu nie powie.

Nie mogę jej wierzyć. Okłamuje mnie.

Tak dawno to już nie było robione, że można zapomnieć, jak to robić. W uniesieniu łatwiej jest zabić. W gniewie...

Dopóki jej tutaj nie było, wydawało mi się, że znów będzie tak jak wtedy, jak przed laty. Że obudzą się ten sam żal i nienawiść. Ta sama zazdrość i niechęć. Ale z jakiegoś powodu się nie budzą, tym razem po prostu się nie budzą i dlatego ta mała jeszcze żyje. Owca

Chociaż przecież można by było wyjść, nie słyszeć, nie zaglądać do skrzyni. Trup zostałaby w szafie, jak mawiają. Tylko w tym wypadku to byłaby skrzynia.

Może wcale nie chcę jej zabić. Może czas pozbawił mnie zdolności cieszenia się nawet z najmocniejszych rzeczy.

Nadal czekam na ten moment, oglądam dawne zdjęcia, przypominam sobie siebie sprzed lat. W sile wieku, zanim to wszystko się zaczęło i również po tym, jak już się zaczęło.

Wyglądam przez okno. Boję się, że po mnie przyjdą. Że ktoś odkryje prawdę i trzeba będzie zapłacić. A już jest zapłacone. Za wszystko. Po sto, po tysiąc, po milion razy.

Rozdział 61. Asia

Wtedy

(z pamiętnika Asi)

Urodziny to powinien być taki niesamowity dzień, prawda, pamiętniku? Czternaste urodziny.

Brat zrobił mi laurkę z napisem: „Dla Tochanej Siostry w dnju urodzin. Adaś”. Ta laurka sprawiła mi największą radość. Literki były kulfoniaste, błąd na błędzie, ale rysunki-bazgrołki zatrzymam na zawsze. Schowałam laurkę do pamiętnika. Kiedy Adaś dorośnie, będziemy się z tego jego dziecięcego pisma śmiać jak wariaci. Często zastanawiam się, jak to będzie, kiedy już obydwójce dorośniemy.

Ja może będę znaną piosenkarką w cygańskim zespole, a Adaś dyrektorem domu towarowego i jak trzeba będzie kupić segment albo fotel, to on wszystko mi załatwi. Bo na pewno będziemy blisko. Rodzeństwo – przyjaciele. Matka też znormalnieje, zostawi tego Kazika i będzie nas zapraszać na niedzielne obiady. Ja czasem przyjdę, a czasem nie, żeby odczuła, że trudno mi jej wybaczyć, jak się zachowywała, kiedy byłam dzieckiem. Ale oczywiście się pogodzimy. Tylko żeby odprawiła już tego Kazika, tak jak odprawiła pozostałych. Z wielkim hukiem.

Nie wiem dlaczego, ale w ramach prezentu matka zabrała mnie do fotografa. Żebyśmy mieli coś do rodzinnego albumu. Ona zachowuje się tak niestabilnie – jednego dnia rodzina w ogóle nie ma dla niej znaczenia, a drugiego mówi, że gdyby nie my, to ona by tego wszystkiego nie wytrzymała.

Z Kazikiem jest pokłócona. Zabrał jej sweter i pierścioneł, które jej kupił, i zniknął. Podobno zabrał też oszczędności matki, które kitrała w starym płaszczu, w kieszeni. Adaś nie wiedział o tej kryjówce, ale ja tak. W pierwszej chwili, jak pieniądze zniknęły, pomyślałam, że to mnie oskarży, cygańską złodziejkę. Ale tym razem nie. Oczywiście miała czerwone i widać było, że odejście Kazika mocno ją obeszło.

Kazała nam się ładnie ubrać, pożyczyła mi swoje kolczyki i powiedziała, że idziemy do fotografa.

– Nigdy już nie będziesz miała czternastu lat ani ja trzydziestu czterech, ani Adaś sześciu. Upamiętnijmy to na fotografii.

Zgodziłam się, chociaż nie miałam zbytnej ochoty. Nie miałam też zbyt wielu zdjęć. Tylko takie legitymacyjne, zrobione, jak miałam siedem lat i pierwszy raz poszłam do szkoły, i późniejsze, też legitymacyjne – jak miałam dwanaście lat. Czarno-białe i wcale aż tak ładnie na nich nie wyszłam. Trochę klasowych zdjęć ze szkoły, też w czerni i bieli. Obiecali, że zdjęcie w ósmej klasie będzie wreszcie kolorowe.

Zakład fotograficzny był niedaleko, tuż przy głównej ulicy. Czasem zatrzymywałam się i wpatrywałam w te kolorowe obrazki na wystawie. Zdjęcia komunijne, ślubne i takie jajowate zdjęcia nagrobne. Zawsze zastanawiałam się, jaki smutny los spotkał tych pięknie wyglądających na fotografiach ludzi, którzy jednak umarli. Pani z blond kręconymi włosami. Młoda dziewczyna. Delikatny uśmiech. I pstryk – a później śmierć.

Śmierć to taki pstryk migawki, który na zawsze utrwala cię w jednej pozie. Wygodnej lub nie.

Pstryk – i koniec.

To był dość zimny czternasty października. Dzień moich urodzin. W szkole na pierwszej lekcji rozdałam cukierki toffi. Moje ulubione. Chciałam wieczorem odwiedzić Celinę i zanieść jej kilka. Celina uwielbiała słodocze.

U fotografa były zaciągnięte żaluzje i matka zdenerwowała się, że przyszliśmy po próznicy.

– Może pojedziemy do innego fotografa? – zaproponowałam pojednawczo, bo choć aż tak mi na tym nie zależało, to widziałam, jak bardzo zależy jej.

– Nie, ten jest dobry i jest najbliżej, nie chce mi się wlec tramwajem.

I kiedy już miałyśmy odejść, pan fotograf pojawił się jakby znikąd.

– Wyszedłem tylko po preparaty, zapomniałem ich z domu, a bez utrwalacza i wywoływacza nic się nie zrobi – powiedział i zaczął podnosić ciemne żaluzje.

Cały był ubrany na szaro: szare sztruksowe spodnie i kurtka. Włosy – gładko zaczesane, ulizane, z przedziałkiem na środku – opadały mu na twarz, a on odgarniał je ręką.

– Zapraszam – powiedział i wpuścił nas do zakładu.

– Pan robi zdjęcia w szkole podstawowej, prawda? – zapytała moja mama, poprawiając swoje tlenione i pokręcone włosy.

– Tak, robię również to – odpowiedział.

Pomyślałam, że zbyt rozmowny to on nie jest.

Zakład okazał się bardzo mały w środku, ściany pomalowane były na pomarańczowo i pachniało w nim chemikaliami. Na ścianie wisiała kotara, która – jak się domyśliłam – stanowiła tło do zdjęć. Przed kotarą stały taboret i stary, szary fotel na nogach, które przypominały lwie łapy. Na stojaku dumnie prezentował się aparat fotograficzny, a obok stała profesjonalna lampa.

– Córka ma dzisiaj urodziny, chcemy zrobić jej portret w ramach prezentu. I może jeszcze, jeśli wystarczy nam pieniędzy, zrobimy sobie także portret rodzinny. Zależy mi, żeby zdjęcia były w kolorze.

– Dobrze, niech się córka przygotuje, cennik jest na ścianie, ale na pewno się dogadamy – powiedział fotograf i zniknął w pomieszczeniu na końcu korytarza. – Niech się przygotuje, włosy poprawi! – krzyknął z tego pomieszczenia.

Podeszłam więc do lustra i poprawiłam włosy, tak jak kazał. Schowałam niesforne kosmyki, które zaczęły opadać mi na twarz. Pośliniłam usta, żeby się błyszczały.

– Niech usiądzie – powiedział, a ja usiadłam na stołku, choć wolałabym na tym pięknym, starym fotelu. – Prostujemy się...

Podszedł do mnie. Dotknął mnie dłonią pod brodą. Było strasznie zimno i jego ręka też była lodowata. Spojrzał na mnie, jakby upewniał się, że jestem warta tego, by zrobić mi zdjęcie.

– Uśmiechnij się, Aśka, nie bądź taka sztywna. Żebyś ładnie wyszła – powiedziała matka.

– Wyjdzie jak trzeba – uspokoił ją fotograf.

A potem było kilka razy pstryk, pstryk. Matka też dołączyła, i brat. I chwilę później wychodziłyśmy już z salonu fotograficznego. Mama zapłaciła i umówiła się, że za dwa dni przyjdę odebrać zdjęcia. Powiedziała też, że jak nie będzie zadowolona, to pieniądze będzie musiał zwrócić.

– Będziecie wszyscy bardzo zadowoleni – oznajmił fotograf i zniknął na swoim zapleczu, dziękując nam za odwiedzinę.

I rzeczywiście – dwa dni później, po szkole, odebrałam zdjęcia. Matka przygotowała ramki i obydwie zawisły na ścianie.

– Wyglądasz na tym zdjęciu tak, że dech zapiera, córeczko – powiedziała.

Nieczęsto słyszałam od niej komplementy i dlatego postanowiłam to zajście u fotografa zapisać w pamiętniku. Warto wspomnieć jeszcze o tym,

co fotograf postanowił zrobić.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, to chciałbym umieścić twoje zdjęcie w witrynie mojego zakładu fotograficznego – bardziej oznajmił, niż zapytał.

Kiwnęłam głową na znak, że się zgadzam. Pomyślałam, że może ten fotograf jest jak Kazik, że jest paskudny, ale on wydawał się taki raczej obojętny i zainteresowany przede wszystkim swoimi zdjęciami.

– Do widzenia panu – powiedziałam.

I taka to była przygoda. Wisiałam na ścianie, a za chwilę będę wisieć na wystawie u pana fotografa. Dziewczynom zbieleje oko. Celina się ucieszy, i Andrzej też.

Nawet jesień się ucieszy. Witaj, jesieni!

Rozdział 62. Julia

Teraz

Wróciłam do domu ze szpitala. Od poniedziałku idę do szkoły. Marleny nie ma już siedem dni.

Siedem dni bez żadnych wieści. Nie radzę sobie. Wiem, że gdybym ją tamtego wieczora odprowadziła, gdyby nie bolał mnie brzuch, to moja przyjaciółka byłaby teraz ze mną.

Jak tylko wróciłam do domu, moja wychowawczyni przyszła w odwiedziny. Matka jej nagadała, że biorę dopalacze. Matka mnie okropnie zdradziła. Zawiodła. Chociaż twierdzi, że to ja zawiodłam ją i że Marlena pewnie też brała, i że to doprowadziło do zaginięcia.

Trochę mi jej żal, wydaje mi się, że schudła i postarzała się przez te kilka dni. Nie ma apetytu, nawet przestała być rozmowna. I te jej zaczerwienione oczy. Pewnie cały czas płacze i się martwi. O mnie, o Marlenę.

Opowiedziałam pani Annie o tym, co czuję. To kobieta, której można zaufać. Powiedziała, że nigdy nic nie brałam, że raz w życiu napiłam się wina i że musimy znaleźć Marlenę. Ona na to, że jej zaginięcie nie jest moją winą i że mi wierzy.

– Nigdy się nie pozbieram, jeśli Marlenie coś się stało. To niesprawiedliwe, ona jest młoda. Takie rzeczy nie powinny przytrafiać się dzieciom!

Mój wybuch płaczu sprawił, że pani Anna też się rozpląkała. Widziałam, że bardzo stara się opanować, ale lawina łez wzięła górę. Obie byłyśmy przerażone, rozżalone, kompletnie załamane. Mnie jeszcze cały czas bolały brzuch i głowa. Czułam się, jakby wprost proporcjonalnie do strachu, który mnie paraliżował, na moim żołądku zaciskała się obręcz.

Kiedy nauczycielka sobie poszła, zrozumiałam, że muszę obudzić się z tego potwornego snu. Chwyciłam telefon i zaczęłam wysyłać do Marleny SMS-y: „Oddaj mi ją, oddaj mi ją, oddaj mi ją!!!”.

Żadna z wiadomości nie została odebrana. Poszły w cholerną nicość. Marlena zawsze nosiła ze sobą ładowarkę. Niech naładuje ten cholerny

telefon. Niech wreszcie się odnajdzie.

Znalazłam numer do szkolnej pani pedagog.

Zadzwoiłam.

Powiedziałam, że koniecznie chcę się z nią spotkać i że to sprawa życia i śmierci. Bardzo płakałam i obiecała, że wyjątkowo przyjmie mnie w szkole w sobotę. Zakazała mi włączyć się samopas, kazała przysiąc, że do szkoły przywiezie mnie ktoś dorosły. Matka, ojciec.

Tego dnia nie wiedziałam jeszcze, jak wiele niewiadomych wyjaśni się na skutek naszego spotkania i do czego nas to spotkanie doprowadzi.

Rozdział 63. Andrzej

Wtedy

To piękny październik. Nawet jak pada, to zdarza mi się chodzić do szkoły na piechotę. Dzięki Celinie nic nie może mnie dotknąć. Serce odbiera mi rozum. Pewnie już całkiem odebrało. Ludzie wydają się miłsi, praca przyjemniejsza, droga do domu krótsza, a droga do Celiny jedyna i właściwa. Dzwonimy do siebie codziennie, widzimy się bez przerwy.

Matka mówi, że takiego mnie jeszcze nie widziała, że przez cały czas trwania poprzedniego związku byłem przygaszony. Oczywiście nie zgadzam się z jej opinią. Mam wrażenie, że wcześniej starała się dużo bardziej ingerować w moje życie, a teraz już nie może tego robić. Przestało mnie interesować, co chce powiedzieć, teraz ważne jest dla mnie zdanie Celiny. A Celina jest łagodna i taka trochę niedościgniona. Mam wrażenie, że nie nadążam za nią. Że jest efemeryczna, że choćbym chciał, to i tak nie uda mi się jej okiełznać, zatrzymać. To poczucie zdecydowanie wzmacnia Maria Rosa. Od czasu, kiedy domyśliła się, że coś mnie z Celiną łączy, jest lodowata i wrogo do mnie nastawiona. Każde jej słowo odczytuję jako ostrzeżenie.

Na przykład kilka dni temu siedziałem sobie u Celiny. Czytałem książkę, a ona działała w kuchni, piekła dla nas sernik (jest genialną kucharką). Weszła Maria Rosa.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł, żeby Celina piekła. Zdarzyło się już, że dostała ataku w trakcie gotowania i o mały włos się nie poparzyła. Nikt z nas nie chce, żeby jeszcze bardziej cierpiała, prawda?

– Oczywiście – zgodziłem się z nią i odłożyłem książkę.

– Co między wami jest, Andrzej, jeśli wolno zapytać? – zagadnęła dość agresywnie i ciężko usiadła na fotelu. Można by powiedzieć, że zwała się na fotel.

– Przyjaźnimy się... – odpowiedziałem, bo nie miałem najmniejszej ochoty przeprowadzać z nią tej rozmowy.

– Dla ciebie to chwila, zabawa, a dla niej... Ona bierze to wszystko na poważnie. Ona jest bardzo inteligentna i wrażliwa, nie chcę, żebyś zrobił

jej krzywdę.

– Pani Mario, traktuję znajomość z Celiną niezwykle poważnie. – Tamtego dnia byłem gotów, choć niechętnie, po prostu wyznać jej, że kocham jej córkę i chcę się z nią ożenić. Maria Rosa nie pozwoliła mi jednak dokończyć.

– W takim razie, Andrzeju, nie chcę, żeby ona zrobiła krzywdę tobie.

– Nie rozumiem.

– Celina może złamać ci serce. Co, jeśli jej się pogorszy? Będziesz przy niej trwał? A jeśli...

– Proszę tak nie mówić...

– Ja zawsze przy niej będę, zawsze, a ty? Jak dużo udźwigniesz? – Wpatrywała się we mnie tymi swoimi czarnymi, świdrującymi oczami.

– Ja tylko chcę, żeby Celina była szczęśliwa...

– To chcemy tego samego, tylko że dla niej największe szczęście to spokój i zdrowie... Więc szczęście rozumiemy inaczej – powiedziała, nerwowo gestykułując.

– Bardzo panią szanuję, ale mam wrażenie, że zamyka ją pani w klatce...

– odważyłem się nazwać to, o czym od dłuższego czasu myślałem.

– Ta klatka jest dla jej bezpieczeństwa! – Uniosła się, lecz zaraz ściszyła głos.

– Celina jest młoda, potrzebuje wolności.

– Nie będziesz mi mówił, czego potrzebuje moja córka! Kim jesteś, żeby mi coś takiego mówić?! Pojawiłeś się na chwilę i za chwilę znikniesz! Nic nie trwa wiecznie, nawet ta wasza... fascynacja!

– Ja Celinę...

– Nie obchodzi mnie to. Dajesz jej nadzieję, ale to nie ty ją oglądasz w trakcie i zaraz po ataku. To nie ty ją podcierasz...

Celina stanęła w drzwiach i przerwała wywody Marii:

– Dość! – powiedziała głośno i zaczęła się trząść.

Minutę później pierwszy raz zobaczyłem, jak wygląda atak padaczki.

– Napatrz się! Bo to twoja przyszłość, jeśli z nią zostaniesz! – wysyczała mi do ucha Maria Rosa. Trzymając głowę Celinę na kolanach, pomyślałem, że ta kobieta to potwór.

Rozdział 64. Maria Rosa

Teraz

Wyszłam z domu niechętnie. Zrobiło się szaro i zimno. I to wszystko tak nagle. Zawsze bałam się odchodzącego lata – że to moje ostatnie. Choć coraz częściej modliłam się o to, żeby było ostatnie. Mój czas powinien już nadejść. Zostałam zupełnie sama. Ta dziewczyna też już nie przychodziła. To dziwne, ale polubiłam ją i nawet mi jej brakowało. Taki dzieciak. Dobry dzieciak. Na Jana już patrzeć nie mogłam. A przecież w jakimś sensie byliśmy przyjaciółmi. Zналиśmy się od lat, mieszkaliśmy tuż obok siebie. Nie powinnam była krzyczeć, że w przeszłości nie był wcale takim mężem, za jakiego chciał uchodzić. Nikt nie jest tak perfekcyjny, na jakiego chce wyglądać. No, może w młodości, zanim zaczynamy zakopywać się w sekretach i zaprzeszczościach.

Jak Jan mógł posądzić mnie o podtrucie Julki? Znałam się na ziołach.

I sprawa tej zaginionej dziewczynki. Wyzywająca z niej była dziewczucha, to fakt. Zupełnie inna niż Julka.

Autobus przyjechał w miarę szybko. Od razu usiadłam. Nie ma co zwlekać, trzeba się wbijać, póki miejsca są. Tak jest ze wszystkim. Nie tylko z siedzeniem w autobusie.

Na cmentarz jechało się dwadzieścia minut. Samochodem osiem. Kwiaty zawsze kupowałam u tej samej pani, tuż przy wejściu, po lewej stronie. Dawała mi nożyce do przycięcia łodyg i użyczała zapalek. Znałyśmy się od wielu lat. Ona też się postarzała i coraz bardziej kaszlała; ten jej kaszel niczego dobrego nie wróżył.

Szłam dziesięć minut cmentarną aleją. Skręciłam w prawo – tam, pod tujami, znajdował się grób mojej córki i męża. Zapaliłam znicz, ustawiłam kwiaty. Na cmentarzu bywałam już coraz rzadziej.

Niedługo to będzie też moje miejsce. Znów będziemy razem, we trójkę, jak wiele lat temu – w innym, pięknym życiu.

Usiadłam na ławeczce, trochę powyginanej. Nikt nie postawi już tutaj nowej. Jak umrę, nikt nie będzie nas odwiedzał.

– Cześć, Celinko – powiedziałam cichutko. W zasadzie to tylko ruszyłam ustami. Zamknęłam oczy i zaśpiewałam mojej córeczce kołysankę, którą śpiewałam jej w dzieciństwie. Kołysanka jest po włosku. Tłumaczenie byłoby mniej więcej takie: „Śpij, serce przy sercu, śpij, ramię w ramię, moja miłości, śpij, maleńka... Rano na łące zbierzemy kwiaty. W wianku jesteś od róży piękniejsza, śpij”.

Poczułam kołatanie serca i wiedziałam, że pomimo przyjmowania leków, znów miałam migotanie przedsionków.

Kończ ze mną życie moje, mój wrogu... – sparafrazowałam Bursę.

Na cmentarzu nigdy nie znajdowałam ukojenia. Nawet po tylu latach czułam, że wszystko przepadło.

Nigdy nie dałam na to zgody. Nigdy nie zaakceptowałam takiego podłego losu. Nie wiedziałam, jak ludzie godzą się ze śmiercią najukochańszych istot, jak mogą po tym żyć? Ja po śmierci Celiny nigdy już nie żyłam. Udawałam, że żyję. Całe moje piękno i dobro umarło razem z nią.

Kiedy poczułam, że nie mam już siły dłużej siedzieć przy córce, wstałam. W pierwszej chwili chciałam po prostu wyjść z cmentarza, ale nie zdecydowałam się na to. Zamiast tego poszłam przed siebie, w stronę szarej kaplicy. Tam, gdzie leżał on.

I znów przypominałam go sobie niespiesznie. Tego dnia, kiedy zmarła Celina, pierwszego listopada tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku, wybiegłam przed dom i krzyczałam. Waliłam w drzwi Jana.

– Dzwonź po Andrzeja!

I on po Andrzeja zadzwonił. I Andrzej pojawił się, nieprzytomny. Płakał.

On i jego matka pomogli mi ubrać Celinę. Bardziej jego matka, bo on bał się jej dotknąć.

Dla Andrzeja wtedy też coś się skończyło.

Stałam przy grobie. Matka postawiła mu pomnik. Zrobiła nawet nagrobną fotografię. A przecież o tym człowieku powinno się zapomnieć.

Nagle poczułam dotyk ręki na ramieniu. Nie usłyszałam, że ktoś się zbliżył. Serce podeszło mi do gardła. Nerwowo odwróciłam głowę i zobaczyłam staruszkę.

Patrzyłyśmy na siebie.

– Maria? – zapytała ona

Podkreśliłam głośność mojego aparatu.

– Krystyna. – Rozpoznałam panią Kołtun.

– On tego nie zrobił. To był taki dobry chłopak. On i Celinka...

Przerwałam jej ruchem ręki.

– Każda matka broni swojego dziecka. Rozumiem, że nie możesz pogodzić się z tym, kim jest... był... twój syn.

– Mario, obok was znów zaginęła dziewczynka, prawda?

– Tak. – Pomyślałam o tej młodej.

– Codziennie modłę się do Boga o sprawiedliwość dla mojego Andrzeja. I ona właśnie nadchodzi.

Położyła na grobie kilka goździków i powoli, bez pożegnania, zaczęła się oddalać. Wolnym, smutnym krokiem. Takim samym jak mój. Jej też los odebrał wszystko.

Rozdział 65. Asia

Wtedy

(z pamiętnika Asi)

Znalazłam świetną skrytkę na pamiętnik. Trzymam go w komórce, gdy nie mam go w plecaku. W naszej komórce jest tyle rupieci, że nikt nigdy na mój zeszyt nie trafi.

Jest coraz ciekawszy. Trochę też jest w nim smutku. Szczególnie, gdy piszę o relacji z matką. Raz na wozie, raz pod wozem, jak mówi Andrzej. Kiedy matka jest miła, to czuję, że mogłybyśmy być przyjaciółkami. Ale jak tylko na horyzoncie pojawia się jakiś facet, matce całkiem odwala. Od razu robi się w stosunku do mnie wroga. Zaczynają się te jej wieczne imprezki i nie ma spokoju.

Teraz jest wyciszona. Powiedziała, że Kazimierz odwiedził ją w pracy. Czekał pod fabryką i chciał rozmawiać i wyjaśniać. Spławiła go. Boję się, że jak jeszcze ze dwa razy przyjdzie pod bramę fabryki, to znów pozwoli mu wrócić. A ja nie chcę go w swoim życiu.

– Wiesz, co ten idiota powiedział? – zapytała mnie dziś.

– Co powiedział?

– Że to ty jesteś przeszkodą, że zawadzasz i gdyby był tylko Adaś, to znalazłabym sobie kogoś.

– Też tak uważasz? – zapytałam ostrożnie.

Odmachała głową, że nie, ale sama wiem, że też trochę tak uważa. W każdym razie nie raz mi o tym mówiła.

Dziś, kiedy nuciłam w domu starą turecką pieśń, której uczyłam się na chórze, matka poprosiła, żebym śpiewała głośniej. Jak zaśpiewałam głośniej, to za chwilę przyszła sąsiadka z domu obok, też posłuchać. Matka patrzyła na mnie z dumą. Moja trzeźwa, dumna ze mnie matka.

To musi być sen. Tylko że ja już nauczyłam się jednego: sny się kończą, a człowiek się budzi. Ja nie chcę obudzić się z krzykiem.

Wolałabym śnić ten sen w nieskończoność.

Rozdział 66. Julia

Teraz

– Zawożenie do szkoły w sobotę jest bez sensu, powinnaś odpoczywać – powiedziała niezadowolona matka.

Co się z nią dzieje? Myślałam, że się znamy – że nie ma w niej takiego lodu.

Jest dopiero jesień, a w sercu mojej matki zapanowała zima.

– Mamo, zawsze mówiłaś, żeby szybko się godzić, żeby nie nosić urazy, a teraz co? Od kiedy wyszłam ze szpitala, jesteś na mnie obrażona... – powiedziałam, nie patrząc na nią i powoli się ubierając.

– Jestem zdenerwowana – zbyła mnie.

– Aha... Wszyscy jesteśmy zdenerwowani, szkoda tylko, że ty zachowujesz się jak dziecko. – Kiedy to powiedziałam, matka spojrzała na mnie, objęła mnie i wypłakała mi w ucho, że tak się o mnie boi, że nie wie, co ma robić, że nie wie, czy może mi ufać, a tu jeszcze Marlena i jej zaginięcie. Przytuliłam ją, jej śmieszny koczek, złapałam ją w pasie i wtuliłam się w nią.

– A widzisz, zachowujesz się jak dziecko. – Przyłgnęłam do niej jeszcze mocniej.

– Chodź już do tej pani pedagog, skoro tak chcesz i skoro ona chce przyjmować cię w szkole w wolną sobotę, chodź. – W samochodzie, w którym zawsze rozmawialiśmy, panowała cisza.

– Poczekam na parkingu, posłucham sobie radia, a ty posiedź z tą pedagog, jak długo potrzebujesz – oznajmiła.

– Kocham cię – powiedziałam, wysiadając. Jak wtedy, gdy byłam mała i odwoziła mnie do szkoły.

Pomachała mi.

Zapukałam do drzwi pokoju nauczycielskiego i otworzyłam je. Pani Iwona rozmawiała przez telefon i gestem poprosiła, żebym poczekała. Usiadłam na ławce przed pokojem. Po chwili pojawiła się w drzwiach. Przywitała mnie serdecznie.

– Dobrze, że już wyszłaś ze szpitala. Tyle niefortunnych zdarzeń.

Poszłam za nią do jej gabinetu.

– Czy przyniosła pani kroniki?

– Tak, naszykowałam je, ale czy ty naprawdę chcesz rozmawiać o tej starej sprawie?

– Tak. Pamięta pani, jak przesłuchiwała mnie policja? I co wtedy pani powiedziała? Że Andrzej Kołtun tego nie zrobił.

– Julia, powiedziałam to w emocjach, nie ja wydaję tu wyroki. Prawo chyba nie mogłoby się tak mylić. Ale masz rację, wtedy też to powtarzałam, i będę to powtarzać zawsze. Znałam wielu ludzi, lepszych i gorszych, ale nigdy nie trafiłam na takich naprawdę od podszewki złych. Bardziej pogubionych, w nałogu. W Andrzeju nie było nic podejrzanego, żadnej utajonej złości. Ale co ja tu będę gadać, jestem tylko szkolnym pedagogiem o krok od emerytury.

– Proszę pani, to, o czym rozmawiamy, nie może nikomu zaszkodzić, to stara sprawa. Nawet nie chodzi już o mój projekt dziennikarski na język polski. Z jakiegoś powodu ta historia jest dla mnie ważna. Może dlatego, że mieszkam obok domu Andrzeja Kołtuna. Może dlatego, że poznałam ludzi, których on znał. Opiekowałam się przez chwilę panią Marią Rosą – tak, tą sopranistką. Też mieszka nieopodal. Czytałam o zamordowanej dziewczynce, a raczej o zamordowanych dziewczynkach, Zuzannie i o Asi.

– Pamiętam obydwie... To straszne! – Pedagog przyglądała mi się uważnie. A ja chciałam być sensowna w tej całej absurdalnej sytuacji.

– Proszę pokazać mi kroniki.

– Pamiętam, jak mówiłaś, że chcesz zostać policjantką. To chyba dobry wybór. – Wyciągnęła ręce i podała mi dwie grube, stare książki.

– To kroniki z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego i piątego roku, pozostałych jeszcze nie udało mi się znaleźć. Asia Pejka w osiemdziesiątym piątym była w ósmej klasie.

Pani pedagog wstała zza biurka i postawiła swoje krzesło po mojej stronie. Otworzyła książkę, przekartkowała i znalazła.

– Asia jest tutaj, to ona. – Wskazała palcem na czarnowłosą dziewczynkę.

– Kolorowe zdjęcie. Są tu wszyscy z jej klasy.

– A Andrzej też tu jest?

– On nie miał wychowawstwa, to był pierwszy rok jego pracy. Pewnie nie znajdziemy tutaj jego fotografii, niestety – a może stety, bo wszyscy chcą o nim zapomnieć.

– Kto robił te zdjęcia?

– Nie mam pojęcia. Zawsze chyba ten sam pan. Co to ma za znaczenie?

Zaczęłam spokojnie kartkować kronikę. Na większości fotografii, w dolnym prawym rogu, widoczny był stempelek. P. Szmer. Zrobiłam telefonem zdjęcie fotografii klasowej: „VIII a, 1985”.

– Pan Paweł. Tak ma na imię. Zaufany człowiek, od lat tu fotografował. Miał – nadal ma – mały zakład przy ulicy Zgierskiej.

– Rozumiem.

– Policja wszystkich wtedy sprawdziła. Prześwietlali każdego. To było niecodzienne wydarzenie, morderstwo na szkolnym boisku. Na ludzi padł ogromny strach. Bali się, podejrzewali i każdą wątpliwość zgłaszali milicji.

– To zupełnie tak jak teraz, kiedy zaginęła Marlena.

– Tak. Tylko że Marlenka na pewno się znajdzie. – Chciała mnie uspokoić.

– Minął już ponad tydzień.

– Znajdą ją, zobaczysz – powiedziała głosem, w którym słychać było zwątpienie.

– Jaka była Asia?

– Dlaczego tak się nią interesujesz, oprócz tego, że robisz projekt? Rozumiem, że dom obok twojego mieszkał jej morderca, ale...?

– Zamknęli i skazali niewłaściwą osobę. A morderca jest cały czas wśród nas. Zabrał moją przyjaciółkę – oznajmiłam trochę histerycznie.

– Julia. Musisz się uspokoić. Naprawdę. A jeśli chodzi o Asię, to była bardzo zdolna. Wyrastała ponad klasę. Była humanistką i pisała wiersze. Do tego jeszcze miała kawał głosu. Wyrosłaby na niesamowitą osobę. Taką przepowiadałam jej przyszłość. Miała kłopoty w domu, matka ciężko pracowała, ale też lubiła się zabawić. Młodo Asię urodziła. Mówiliśmy na nią w szkole Aisza, bo była taka egzotyczna. Andrzej opowiadał mi o jej kłopotach, koniecznie chciał, żeby wzięła udział w olimpiadzie i bez egzaminów mogła zdawać do wybranego liceum. Bardzo się nią interesował. Niektórzy mogliby nawet pomyśleć, że za bardzo. Traktował ją jak dorosłą osobę. Ale ona była dojrzała. Andrzej miał dziewczynę, był w związku. Teraz pewnie wszyscy myślą, że był pedofilem, ale sama już nie wiem, jaki był...

– A matka Aiszy? Nadal tu mieszka?

– Po tym wszystkim wyprowadziła się.

– Bardzo dziękuję za pomoc. Dziękuję za zaufanie – powiedziałam i ruszyłam w stronę drzwi.

– Mama na ciebie czeka? - upewniła się pani psycholog.

– Tak, czeka, też się denerwuje. Do widzenia.

Wyszłam z gabinetu i zbiegłam po schodach.

Piotr Szmer.

Koniecznienie muszę jak najszybciej podać ojcu to nazwisko. Szkoda tylko, że niewiele z tego, co mówię, bierze na poważnie.

Rozdział 67. Asia

Wtedy

(z pamiętnika Asi)

Całą sobotę przesiedziałam u Celiny. Niby miałam pośpiewać pod okiem Marii Rosy, ale ta była wyraźnie nie w humorze. W zasadzie mam wrażenie, że za każdym razem, kiedy ktoś odwiedza Celinę, Maria Rosa od razu traci humor.

Andrzej myśli, że chce mieć córkę tylko dla siebie i nie jest to dla niej miłe, że my się pałętamy po domu: gówniara i konkurent. Konkurent to takie śmieszne słowo, nie sądzisz, pamiętniczku? I pomyśleć, że jeszcze do niedawna marzyłam, żeby ten cudowny facet był moim konkurentem.

Otrząsnęłam się. Jak się jest młodym, to człowiek potrafi każdego dnia zakochać się w kimś nowym. To nie jest prawdziwe zakochanie. Co innego Andrzej i Celina. Tak do siebie pasują.

Tylko Celina wydaje mi się bardzo przygnębiona. Po euforii naszych letnich spotkań jesień przyniosła jej swego rodzaju smutek.

– A co, jeśli nie zdążę ze wszystkim, z czym chcę zdążyć? Zrobisz to wszystko za mnie, Aisza?

– Ale co mam zrobić za ciebie?

– No wszystko, przeżyjesz życie tak, jak ja bym je przeżyła? Na całego!

– Postaram się, ale mam nadzieję, że nie będę musiała. – Uśmiechnęłam się do niej, a ona do mnie, ale znów jakoś tak smutno.

– Może nie powinnam z tobą o takich rzeczach rozmawiać, bo jesteś młoda...

– Ty też jesteś młoda! – przerwałam jej, może trochę za gwałtownie.

– Ostatnio mam jeszcze mocniejsze niż zwykle przecucie, że umrę...

– Celina, wszyscy umrzemy.

– Wiem. Ale że umrę bardzo młodo. Nie mam z kim o tym pogadać. Niby mogę z matką, ale ona i tak jest już taka zboląta i nieszczęśliwa. Jak na nią patrzę, to widzę takie chodzące nieszczęście. A przecież pamiętam ją zupełnie inną. Piękną, charyzmatyczną, rozśpiewaną. Wszyscy się w niej kochali, Aisza. Wszyscy. Ja to się nawet zastanawiam, czy ona nie miała

kochanków. Taka znana, taka rozchwytywana. Mogła robić, co chciała. Nikt jej nie kontrolował. Zresztą, obojętne. Kochała ojca, to na pewno. Ale w niej jest taka nieuchwytność. Wiesz – nigdy jej nie poskromisz, nie ugłaskasz. Mogła wcielać się w role, śpiewając cudowne libretta, i przeżywać wszystkie emocje świata.

– Trudno ją sobie taką wyobrazić. Teraz jest surowa. Taka, no, dziwna.

– Ty to mądra jesteś, Aisza. Taka mała, a taka mądra. – Poczułam się cudownie i ucieszyłam się, że Celina tak myśli. Traktowałam ją jak starszą siostrę. I trochę jak wyrocznię. Andrzej i Celina to byli moi romantyczni bohaterowie. A ja byłam giermkim, ale mi się to podobało. – Znasz ten wiersz? – zapytała i podsunęła mi pod nos otwartą książkę. Wiersze wybrane Haliny Poświatowskiej, wydanie z 1975 roku.

– Halina Poświatowska? Nie znam. – I zaczęłam czytać:

Kiedy umrę kochanie
gdy się ze słońcem rozstanę
i będę długim przedmiotem raczej smutnym
czy mnie wtedy przygarniesz
ramionami ogarniesz
i naprawisz co popsuł los okrutny.

– Pożyczysz? – zapytałam, a Celina przytaknęła.

– Nawet podaruję. Nie mogę już jej czytać, za bardzo mnie boli.

Niecałe dwa tygodnie później ten tomik okazał się ostatnią rzeczą, jaka mi po Celinie została.

Po tym, jak podarowała mi książkę, widziałyśmy się już tylko kilka razy. Nigdy nie zapomnę tego ostatniego spotkania i tego wszystkiego, co stało się potem.

Wszystko się rozsypało. Cały nasz świat.

Rozdział 68. Julia

Teraz

Czekałam na ojca do późna. Matka już zasnęła. Słyszałam, jak pochrapuje w swoim pokoju. Zajrzałam i zobaczyłam jej kształt pod kołdrą i kota, na kołdrze.

Wpatrywałam się w las za oknem. Nasłuchiwałam odgłosów u sąsiadów. Wszędzie panowała cisza.

Ojciec wrócił koło drugiej w nocy, zmęczony, zdenerwowany i zdziwiony, że jeszcze nie śpię. Niechętnie przystał na rozmowę, a to z kolei zdziwiło mnie, bo zawsze był taki chętny, żeby spędzać czas ze swoją córeczką.

– Wiem, że nie chcesz ze mną rozmawiać o sprawie Marleny, ale chociaż mnie posłuchaj.

– Ty znowu o tym, Julia. Dostyc. Ja nic innego nie robię, tylko pracuję nad tą sprawą. Minął już tydzień.

– Możesz tego nie wykorzystywać, pozwól mi tylko powiedzieć! – oznajmiłam, znów trochę zbyt histerycznie i za głośno.

– Tylko nie krzycz, bo obudzisz mamę, a ona już też ledwo żyje przez to wszystko.

– To mnie posłuchaj. Daj mi pięć minut i nie zakładaj z góry, że wszystko, co powiem, to gównno!

– No teraz to już przesadziłaś!

– Przepraszam. – Złapałam go za rękę, bo już wstawał od stołu. – Byłam w szkole i rozmawiałam z panią pedagog. Oglądałam stare kroniki i coś zwróciło moją uwagę. Szkolny fotograf. Na zdjęciach jest jego pieczętka. - Oczy mi błyszczały i zaschło mi w ustach z podniecenia.

– I co z tego, Julia. O jakim ty fotografie mówisz?

– O tym, który fotografował dzieci w szkole w czasie, kiedy zamordowano na naszym osiedlu te dziewczynki...

– A co ma piernik do wiatraka? Naćpałaś się? – Kiedy krzyknął i uderzył pięścią w stół, odskoczyłam.

– Nienawidzę Cię! I to ma być ojciec, który słucha swojej córki, tak?!
Gówno!

– Jesteś wstrętną gówniarą! – Tym zdaniem ojciec wbił mi nóż w serce, bo nigdy wcześniej tak do mnie nie mówił.

– A ty... ty jesteś... Złym policjantem! Nawet nie znalazłeś Marleny! Nie chce być taka jak ty!

Odwróciłam się, pobiegłam do swojego pokoju i zatrzasnęłam drzwi. Rozpłakałam się.

Nie zostałam wysłuchana. Ucieknę z domu i sama przeprowadzę to śledztwo. Sama znajdę Marlenę. Muszę ją znaleźć. Jesteśmy przyjaciółkami.

Nim zasnęłam, napisałam SMS do mojego chrzestnego: Marcin, Andrzej Kołtun nie zabił tych dziewczynek. Morderca jest na wolności. Zabrał Marlenę. Sprawdź fotografa, który pracuje dorywczo w mojej szkole. Piotr Szmer, czy jakoś tak. Wszyscy dorośli już mnie zawiedli. Nikt mnie nie słucha.

Jest trzecia w nocy, Julka. Rano sprawdzę tego Szmera, okej?

Pomyślałam, że wuj Marcin to jedyna na świecie sensowna dorosła osoba. I zapłakana zasnęłam.

Rozdział 69. Andrzej

Wtedy

Zakradliśmy się do kościoła. Wyszliśmy z domu pod pretekstem pójścia na spacer. Tylko na spacerze mogliśmy pobycć sami. Przesiadując u Celiny, co dziesięć, piętnaście minut musieliśmy stawiać czoła Marii Rosie. Wchodziła bez pukania, jak do pokoju małego dziecka.

Wytchnienie znajdowaliśmy jeszcze w moim domu. Tylko że ceną za noc spędzoną u mnie były wielka obraza i milczenie Marii Rosy. Celina nie lubiła się kłócić, ale matka nie pozostawiała jej wyboru – inaczej musiałaby się jej poddać i nie wyściubiać nosa z domu, zapomnieć o mnie i normalności, oddać się w ręce przesadnie opiekuńcze i coraz bardziej dziwaczałe.

Może nie powinienem tak o niej myśleć, ale traciłem dla Marii Rosy całą sympatię. Kimkolwiek była przed wypadkiem męża i córki, teraz zmieniała się w osobę lodowatą, sztywną, niechętną ludziom i życiu. Jakby nienawidziła wszystkiego, co żyło, tylko dlatego, że jej życie potoczyło się nie tak, jak chciała.

Ja wiem, że spotkała ją tragedia, że straciła męża, karierę... Ale czy życie mojej matki było usłane różami? Otóż nie. Zmarnowała je, usługując choremu z zazdrości i nienawiści mężczyźnie. I jedyną nagrodą były sińce pod oczami.

Zakradliśmy się do kościoła, żeby ustalić w sekrecie datę ślubu. Postanowiliśmy po prostu zrobić to, czego obydwójce chcieliśmy. Ksiądz ciepło nas przyjął. Powiedzieliśmy mu, że mogą być kłopoty z matką Celiny, ale że jesteśmy ochrzczeni, po komunii i bierzmowaniu – mamy wszystkie potrzebne sakramenty. Że to nie jest decyzja pochopna, choć nie znamy się aż tak długo.

– Znacie się raptem kilka miesięcy... Dopytuję, bo może są inne powody, dla których chcecie przyspieszyć ślub? – Spojrzał na nas z pewną podejrzliwością, szczególnie na nieskazitelną figurę Celiny.

– Nie ma żadnych powodów przyspieszenia ślubu prócz tego, że bardzo się kochamy! – powiedziała zdecydowanym głosem Celina.

– Nie ma na co czekać, życie nie czeka, chcemy być razem – dodałem.
– Rozumiem. Z całą sympatią, na Boże Narodzenie już was nie wcisnę, ale, na luty... Ostatnia niedziela lutego, może być? – Proboszcz wertował swój zeszyt.

– Dla mnie nawet listopad byłby dobry. – Celina się uśmiechnęła.

– Mamy dziś dwudziestego października, moja panno.

– Ja bym chciała nawet dzisiaj, gdyby tak się dało.

– Pamiętam cię jeszcze jako małą dziewczynkę i wiem, przez co przeszłaś. Cieszę się, że Bóg pozwolił ci odnaleźć szczęście. Co on postanowi, niech się stanie. Amen. Wpisuję pierwszą niedzielę stycznia osiemdziesiątego szóstego roku. Godzina osiemnasta. To najwcześniejszy termin, jakim dysponuję. Zachwyćcie siebie i wszystkich wkoło swoją miłością i niech czas was nie zniszczy.

– Amen – powiedzieliśmy razem.

Całą drogę do domu niosłem Celinę na plecach. Nasza tajemnica dawała mi nadzieję na wspólne życie.

Zamieszkamy u mojej matki, dom jest ogromny. Nareszcie zapełnią go szczęśliwi ludzie.

Tak właśnie myślałem pod koniec października tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku.

I muszę przyznać, że to był piękny czas. Ostatnie chwile przed tym, jak wszyscy spadliśmy w przepaść.

Rozdział 70. Asia

Wtedy

(z pamiętnika Asi)

Znam ich cudowny sekret: Andrzej i Celina biorą ślub.

Nikt jeszcze nie wie, prócz matki Andrzeja i mnie – marnej czternastoletniej uczennicy szkoły podstawowej.

Od razu po ślubie Andrzej chce zabrać Celinę w góry na kilka dni, i nawet weźmie wolne w szkole. Celina kocha góry. Zaszyją się w małym schronisku i będą się sobą cieszyć, a później wrócą i zamieszkają razem w domu Andrzeja.

Nie mogę się już doczekać, nareszcie będę mogła zupełnie swobodnie ich odwiedzać, a nie pod okiem tej czarownicy, Marii Rosy. Wiem, że to głupie i że może nie powinnam tak mówić, ale wyczuwam w niej mrok. Ona nienawidzi mnie i nienawidzi Andrzeja, a przecież przyjaźnimy się z jej córką. Andrzej to dżentelmen i wymarzony zięć. Tak niesamowicie przystojny i mądry! Każda matka cieszyłaby się z takiego zięcia. Ale nie Maria Rosa – zgorzkniała i wiecznie niezadowolona czterdziestoparolatka.

Może jest w tym wieku, w którym kobiety przestają miesiączkować. Matka mówiła mi o tym przy okazji swojej lekcji uświadamiania. Że to jest tak, że masz uderzenia gorąca i cały czas zły nastrój. Maria Rosa mi się w to wpisuje. Tylko że jest coś jeszcze. Ja jej po prostu nie ufam.

Jest pełna smutku i tak jak inni zarażają radością, tak ona zaraża tym swoim smutkiem. Zawsze boję się, że wyjdę z jej domu zakażona jakimś nieszczęściem. Boję się też o Andrzeja i Celinę, choć Celina jest chyba uodporniona na zło swojej matki. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Trudno uwierzyć w to, co mówią ludzie – że była taka cudowna, taka znana i tak poważana w świecie; że występowała nawet w operze w Ameryce!

Może jak zrozumie, że oni się bardzo kochają i nawet biorą ślub, to zaakceptuje szczęście w swoim życiu i przestanie tak się o Celinę bać. Moja matka na przykład wcale się o mnie nie boi. Oczywiście nie miałam nigdy wypadku i jestem zdrowa, ale myślę, że nawet gdybym miała, jej byłoby to

obojętne. Może to dlatego, że moja matka kocha mnie mniej, a matka Celine kocha ją bardziej. Nie wiem już, w takim razie, co jest gorsze, pamiętniczku?

Rozdział 71. Julia

Teraz

Poszłam do tego fotografa. Zabrałam sto złotych ze skarbonki (tak, wiem, posiadanie skarbonki w wieku prawie czternastu lat jest dziecinne). W szkole miałam okienko i zamiast na świetlicę, pobiegłam do tego zakładu foto. Mój chrzestny odpisał mi, że skoro sprawa Asi Pejki jest od lat zamknięta, a jej zabójca został skazany, to nie będą teraz dręczyć Piotra Szmera. Postanowiłam więc sprawdzić go sama.

Zakład wyglądał jak sto lat temu, przynajmniej w moich oczach. Może tylko sprzęt był nowocześniejszy, ale ja się na takich sprzętach nie znam.

– W czym mogę pomóc? – Zza zasłonki dobiegł mnie głos, a chwilę później do pomieszczenia wszedł starszy facet, ubrany w miarę młodzieżowo. Nosił przedziałek, a siwe i dość długie włosy co chwilę odgarniał za uszy. Był wysoki i szczupły. Prosty jak struna. Nie wzbudził mojej sympatii.

– Chciałabym zrobić zdjęcie. Do legitymacji.

– Robimy takie zdjęcia, proszę się przygotować. Pięć zdjęć to trzydzieści złotych.

– Jestem przygotowana – odpowiedziałam.

Zaczęłam rozglądać się po ścianach, na których wisiało wiele fotografii, w większości starych. W samym rogu, przy oknie, wisiała ona. Joanna Pejka. Taka pewnie w moim wieku. Lekko uśmiechnięta, pełne usta. Loki opadające delikatnie na twarz i wielkie czarne oczy. Rozpoznałam ją. Sto razy ładniej wyglądała tu niż na szkolnej fotografii.

– Robi pan zdjęcia u nas w szkole, dlatego przyszedłam – zagadałam i usiadłam na taborecie do zdjęć.

– Tak, od lat. Widać sprawdzam się w roli fotografa – odpowiedział.

– Uwielbiam stare zdjęcia. Na pewno pan nie pamięta tych wszystkich osób, które pan fotografował, co? Musiałby pan mieć genialną pamięć. – Zmusiłam się do uśmiechu i pomyślałam, że tak na pewno zrobiłaby Marlina.

– A zdziwiłabyś się, młoda damo, jak dużo pamiętam. Nie jestem jeszcze taki stary.

– No to kto jest na tym zdjęciu? – zapytałam, wskazując na jakąś przypadkową blondynkę.

– To moja ciotka w młodości. Już nie żyje, niestety.

– A na tym? – Wskazałam na fotografię Aiszy.

– Hm, to smutna historia. To dziewczynka z okolicznej szkoły, zginęła tragicznie. Wiele lat temu.

– Znał ją pan?

– Nie bardzo, chociaż zrobiłem jej to zdjęcie. Przyszła wtedy z matką i bratem. – Obserwowałam go bardzo uważnie, ale nie zdradził się jakimś specjalnym zainteresowaniem. Od rozmowy o zdjęciu przedstawiającym Aiszę przeszedł swobodnie do fotografowania mnie. – Uśmiechamy się i broda lekko do przodu.

Starłam się stworzyć na twarzy coś na kształt uśmiechu.

Kiedy było już po wszystkim. Podeszłam do niego z telefonem i pokazałam mu zdjęcie Marleny.

– Nadaje się na modelkę, prawda? To moja przyjaciółka.

Spojrzał bez zainteresowania.

– Z pewnością. Bardzo fotogeniczna. Przyrowadź ją kiedyś na sesję.

– Jeśli się znajdzie. Została porwana osiem dni temu.

– To straszne. Mam nadzieję, że się znajdzie.

– Kiedy będę mogła odebrać zdjęcia?

– Dziś po siedemnastej albo w tygodniu między dziesiątą a siedemnastą trzydzieści – powiedział bez żadnych emocji.

– Dobrze. Zapłacę przy odbiorze?

– Wolałbym z góry. – Uśmiechnął się dość nieprzyjemnie.

Wyjęłam z kieszeni pieniądze i odliczyłam trzydzieści złotych. Po zapłaceniu wyszłam, zamknęłam za sobą drzwi i pognałam do szkoły.

Jeśli to on ją zabrał, to musi ją gdzieś trzymać. Szybko sprawdziłam w Internecie jego imię i nazwisko. Firma była zarejestrowana na adres domowy. Ulica Brzoskwiniowa.

Byłam u Szmera, zrobiłam sobie u niego zdjęcie. Jedno na ścianie to Joanna Pejka, ta zamordowana. Mieszka na Brzoskwiniowej, chyba. Może tam jest Marlena – wysłałam wiadomość do wuja Marcina. Wchodząc do szkoły, wyłączyłam dźwięk w telefonie.

Kiedy wróciłam do domu, wuj już na mnie czekał. Widziałam, że ta niezapowiedziana wizyta nie wróży nic dobrego. Powiedział mamie, że chce porozmawiać tylko ze mną. Mama uwielbiała Marcina i nie widziała żadnego problemu w tym, że przyszedł mnie uspokoić i naprostować.

Usiedliśmy w moim pokoju, ja na łóżku, a Marcin na krześle przy moim biurku.

– Wiem, co teraz powiesz. Powiesz, że się o mnie martwisz... Ale niepotrzebnie, martw się o Marlenę. Mój ojciec jej nie szuka, mnie pewnie też by nie szukał...

– Julka, przestań. Twój ojciec odchodzi od zmysłów i staje na głowie. A jeśli chodzi o to, że się o ciebie martwię, to prawda. Masz trzynaście lat...

– Prawie czternaście – przerwałam mu.

– Tak, masz prawie czternaście lat i prowadzisz własne śledztwo. Nie wiem, czy wiesz, ale śledztwa są czasem niebezpieczne i my mamy do tego, jako policjanci, zaplecze, umiejętności i narzędzia.

– I co z tego, skoro nic z tym nie robicie?

– Mówisz jak matka Marleny...

– Zawsze mi powtarzałeś, że jak jestem o czymś przekonana, to mam o to walczyć. Sam mówiłeś, że twój ojciec przesłuchiwał Andrzeja Kołtuna i że choć mieli swoje metody, to nie zmusili go do przyznania się. A wiesz dlaczego? Bo on tego zwyczajnie nie zrobił. Czy tak nie mogło być? I morderca jest nadal na wolności!

– Mogło tak być, Julia. Za długo jestem już w policji, żeby cokolwiek wykluczać. Prześwietlamy jednak najbliższych Marleny, jej matkę, ojca, babcię, u której spędziła wakacje. Waszych sąsiadów. Pamiętam, jak pan Adrian, czy jak mu tam, tańczył z zaginioną. Sprawdziliśmy monitoringi i miejsce ostatniego logowania jej telefonu.

– No więc kto wysłał ten uśmiezek, ona sama? Po co miałyby coś takiego robić?

– Na pewno nie zrobiła tego sama, sygnał był z osiedla.

– Może z Brzoskwiniowej?

– Na tego fotografa nic nie mamy, nigdy nie był notowany.

– A sąsiedzi? Byliście w każdym domu?

– Nie możemy wejść do każdego domu, Julia. Potrzebujemy nakazu, żeby wejść, chyba że ktoś sam zechce nas zaprosić. Chyba to już wiesz.

– Ktoś nas obserwował, mówiłam wam o tym, ale zbyliście ten fakt. Ktoś mnie podtruli, a mogły to zrobić tylko dwie osoby: sąsiad Jan albo Maria Rosa, tylko u nich bywałam. No chyba że podtruli mnie w szkolnej stołówce!

– To ty twierdzisz, że zostałam podtruta, pozostali uważają, że sama coś wzięłam.

– A ty komu wierzysz?

– Julia, jesteś nastolatką, a nastolatki kłamią.

– Aha... rozumiem, rozumiem, dlaczego nie bierzecie tego, co mówię, na poważnie. Będziecie tego żałować.

– Musisz się uspokoić, zaginęła twoja najlepsza przyjaciółka i całkowicie ci odbija, Julia, całkowicie.

– Przykro mi, że tak myślisz, ale przyzwyczaiłam się. Jesteś dorosły, a dorośli tak właśnie rozumują. Jak na was patrzę, to sama nie chcę nigdy dorosnąć! Wolałabym, żeby ten morderca zabrał mnie, a nie Marlenę!

– Przestań! – Wuj wstał i zaczął się do mnie zbliżać, ale w geście sprzeciwu powstrzymałam go wyciągnięciem ręki.

– Myślę, że powinieneś już iść. Wypij kawę z mamą. Ja gadam głupoty.

Cicho wyszedł z pokoju i wiedziałam, że poczuł się dotknięty. Jeszcze dwa tygodnie temu wydawało mi się, że mam superrodziców, którzy doskonale mnie rozumieją. Wystarczyła jedna straszna sytuacja, żeby się przekonać, jak bardzo się myliłam.

Robią ze mnie wariatkę i narkomankę.

Rozdział 72. Andrzej

Wtedy

Cały wieczór gadaliśmy przez telefon. Celina wahała się odnośnie do ślubu. Powiedziałem, że przyjdę do niej i ją przekonam, że mam dosyć udawania i po prostu chcę z nią być.

– Ale może mamy mało czasu – powiedziała Celina.

– I co z tego? Wykorzystajmy ten czas, który mamy. Pamiętasz, co nam się przydarzyło?

– Miłość, pamiętam. Ale ja jestem do dupy. Cały czas boli mnie głowa i nie słyszę na jedno ucho, i mam te ataki, i często czuję się jak debil...

– Ja nawet z całym mózgiem często czuję się jak debil. – Roześmiałem się.

– Ty jesteś piękny i zdrowy i mógłbyś mieć każdą.

– Żadnej, prócz ciebie, nie chcę.

– I moja matka nie da nam żyć.

– To ją zabijemy... – zażartowałem.

– Czasami tak jej nienawidzę, że chciałabym ją zabić, ale jestem zbyt cywilizowana i kulturalna.

– Nie zawsze taka jesteś. – Uśmiechnąłem się do słuchawki.

– To dlatego, że chcę trochę побыć kobietą, a czasu mam coraz mniej. Dotychczas byłam tylko dziewczynką. Nie chcę umrzeć dziewczynką...

– Mam dość gadania o śmierci, idę do ciebie. Zejdź tylko cicho i otwórz mi drzwi, dobrze? Matka śpi?

– Mam nadzieję.

– To do zobaczenia...

Zarzuciłem sweter, wciągnąłem dzinsy i tenisówki i byłem gotowy. Co z tego, że jutro szkoła. Co z tego, że jutro cokolwiek. Liczyła się radość z teraz.

Kiedy byłem już przed domem Celiny, nacisnąłem klamkę, odskoczyła. Ten odskok był głośny jak wybuch. Wstrzymałem oddech i jak najciszej ruszyłem przez przedpokój ku schodom, ku Celinie. Ciemność i cykanie

zegara. Nasłuchiwałem. Wspiąłem się po schodach. Drzwi do pokoju Celine były uchylone. Maria Rosa spała piętro wyżej.

Kiedy wchodziłem do pokoju, drzwi zaskrzypiały. Nie minęła chwila, a usłyszeliśmy głos z góry. Donośny.

– Wszystko dobrze?

– Tak! Byłam w toalecie! Wszystko dobrze, idź spać, mamó! – Cichutko zamknęła drzwi i przekręciła klucz.

– Stara wiedźma – wyszeptałem, przytulając Celinę.

Jej delikatność zawsze mnie onieśmiała.

– Zdejmij ten sweter, lubię, kiedy nie masz nic na sobie – powiedziała i nie było w tym wstydu.

– Ja lubię, kiedy masz na sobie... mnie. – Zdjąłem sweter i rzuciłem go na podłogę.

– Łóżko skrzypi – szepnęła Celina i pociągnęła mnie na dywan.

Rozdział 73. Maria Rosa

Wtedy

Oni chyba uważali mnie za niedosłyszającą wariatkę, która straciła poczucie rzeczywistości. Czy naprawdę nie wiedzieli, jaka jestem czujna, że wszystko zawsze słyszę – bo muszę wszystko słyszeć. Chodziło przecież o bezpieczeństwo mojej chorej córki.

Nic gorszego niż ten chłopak nie mogło nam się przydarzyć. Skalał nasz dom, zniszczył mój spokój.

Ale najgorsze było jeszcze co innego. Moja uśpiona kobiecość budziła się, kiedy na niego patrzyłam. I myślałam sobie, że gdyby nie ta cała tragedia, to może zainteresowałby się mną? W rozkwicie mojej sławy. Nie wiem tylko, czy w tamtym czasie ja zainteresowałabym się nim.

Ale mogłabym. Lubiłam na niego ukradkiem patrzeć. Słuchał z taką atencją i poruszał się z gracją, jak tancerz. Taki wysoki, w zasadzie wyobrażałam sobie mięśnie pod jego skórą –takie wyraźne, takie proporcjonalne.

Słyszałam, jak nad ranem, przed piątą, Andrzej wyszedł z pokoju Celiny. Słyszałam jego kroki na schodach i odgłos zamykanych drzwi. Wszystko to mi się nie podobało. I wiedziałam, że muszę znaleźć sposób, by to zakończyć. Definitywnie.

Może sprzedam dom i wyjedziemy. On nie zostawi matki, nie będzie za Celiną jeździł.

Chociaż... skąd mogę wiedzieć, co on zrobi?

Założyłam szlafrok i zesłam do kuchni zaparzyć herbatę.

– Wstałaś już? – Celina wynurzyła głowę z łazienki. – Dobrze spałaś? – zapytała mnie bezczelnie.

– Źle. W zasadzie zupełnie nie spałam, ty chyba też nie – odpowiedziałam zaczepnie.

Celina zamknęła drzwi do łazienki.

Każdego dnia traciłam ją bardziej. Za chwilę zostanę sama z moim poświęceniem i nieszczęściem, a to połamane piskłę wyfrunie mi z gniazda na jednym skrzydle.

Rozdział 74. Julia

Teraz

Kiedy matka odwoziła mnie ze szkoły, poprosiłam, żeby zatrzymała się przy domu Marii Rosy.

Postanowiłam do niej wejść. Nie widziałam jej od wielu dni. Chciałam upewnić się, że ma nową opiekunkę i że dobrze się czuje.

– Przyjadę po ciebie za pół godziny – powiedziała mama, kiedy wysiadałam z auta.

Zadzwoiłam do drzwi. Nie wiedziałam, czy sąsiadka mnie wpuści. To w końcu sama Maria Rosa, humorzasta i dziwna. Usłyszałam hałas. Oczywiście, że jest w domu. Postanowiłam, że poczekam cierpliwie. Zadzwoiłam jeszcze raz. Coś zaszurało i Maria Rosa przekręciła klucz w zamku.

– A kogo to niesie? – zapytała, uchylając drzwi na łańcuchu.

– Dzień dobry. Wyszłam ze szpitala i pomyślałam, że wpadnę – powiedziałam, siląc się na entuzjazm.

– Co ty taka radosna? Koleżanka Ci czasem nie zaginęła? – zapytała prosto z mostu Maria Rosa.

– Zaginęła. Wcale nie jestem radosna.

– No to czemu się tak uśmiechasz. Bądź sobą, dziewczyno. – Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu otworzyła drzwi i zaprosiła mnie do środka skinieniem głowy. – Herbaty? Tylko żeby potem nie było, że cię truję! – burknęła.

– Wody – odpowiedziałam, bo taka opcja wydawała mi się bezpieczniejsza. W wodzie wyczuję, jakby co, dziwny smak. – W szpitalu powiedzieli, że brałam dopalacze, a ja nigdy nic nie brałam... – usprawiedliwiałam się.

– A co to są dopalacze? Za moich czasów o takich rzeczach się nie słyszało!

Usiadłyśmy przy pięknym okrągłym stole stojącym na gustownych lwich nogach.

– Mam tylko chwilę. Od czasu zaginięcia Marleny matka wszędzie mnie odwozi. Boi się, że też zniknę.

– Ludzie ot tak nie znikają, zabrali ją.

– Kto ją zabrał?

– Tego nie wiem, może na organy, może do domu publicznego? Nie słyszałaś, co się dzieje? – Przyjrzałam się Marii Rosie. Wyglądała gorzej niż zwykle. Miała na sobie szlafrok, jej białe włosy były napuszone i potargane. Dostrzegłam jeszcze więcej zmarszczek i zabandażowaną rękę. – Stara niezdara ze mnie, skaleczyłam się – wyjaśniła niechętnie, widząc, że patrzę na bandaż.

– Podobno ostatnie logowanie telefonu Marleny było na osiedlu. Nikt jej stąd nie zabrał.

– Widzę, że jesteś świetnie poinformowana. Dziewczyna wyzywająca była, to i w oczy się komuś rzuciła. No, oby się znalazła.

– Nie chciałam o to pytać, pani Mario, ale jeśli mam być sobą, to zapytam. – Spojrzała na mnie z zainteresowaniem. – Bo ja myślę...

– Nie zaczyna się zdania od „bo”... – przerwała mi.

– Przepraszam. Myślę, że Andrzej Kołtun nie zamordował tych dziewczynek, że morderca jest nadal na wolności...

Spiorunowała mnie wzrokiem.

– Dlaczego tak myślisz?

– Tak podpowiada mi intuicja. Co więcej, myślę, że osoba, która zabiła dziewczynki, zabrała Marlenę.

– Ciekawa hipoteza. To byłby dopiero chichot losu, gdyby zabili niewinnego człowieka, prawda? Zresztą, pokaż mi niewinnego człowieka? No, może dzieci są niewinne, ale tylko do czasu, Julia, tylko do czasu, a później ta niewinność się kończy.

– Pani wie, jaki on był, Andrzej Kołtun. On spotykał się z pani córką...

– Tak, nie uszanował naszej tragedii. Jej choroby i mojej troski o córkę. On nie tylko spotykał się z moją córką, on chciał się z nią ożenić! Z tym ledwo żywym stworzeniem. Jaki był Andrzej? Otóż był samolubny. Mógł mieć każdą. Wszystkie za nim sikały. Wszystkie. – Maria Rosa spieniła się i gdyby mogła toczyć z ust różową pianę, to pewnie tak by zrobiła. – Andrzej Kołtun był jak coś, co uwiera, a później okazuje się, że wyrasta z tego perła. Perły przynoszą pecha. Był typowym samcem. Strzeż się takich. Zbałamucił mi córkę. Myślę, że przez niego umarła. Za dużo emocji.

– A nie umarła z powodu padaczki?

– Ja tam swoje wiem. Jakby jej nie zafundował tej wielkiej miłości, to mogłaby jeszcze spokojnie pożyć, a on zamiast zainteresować się kimś zdrowym i silnym, zainteresował się właśnie nią.

– Nie bała się go pani? Nie wydawał się pani jakiś dziwny? Koniec końców był mordercą.

– Wydawał mi się dziwny. Kobiety traciły dla niego głowę, a koniec końców, jak to ładnie powiedziałaś, to on stracił przez nie głowę.

– Oni go powiesili...

– Co?

– Nie ścięli go, ale powiesili.

– Ścięli czy powiesili, skończył na cmentarzu.

Wtedy zadzwonił dzwonek. Przyszła po mnie matka i musiałam się pożegnać.

Maria Rosa wydawała mi się bardzo ożywiona i podniecona. Cała czerwona na twarzy. Jeszcze jej takiej nie widziałam. Zastanawiałam się, czy ona też straciła dla Andrzeja głowę. Była wtedy dużo młodsza. Kto wie. Jedno jest pewne. Nie znosiła go. A od miłości jest tylko jeden krok do nienawiści.

Pożegnałam się i, nie dopiwszy wody, poszłam za matką.

Rozdział 75. Asia

Wtedy

(z pamiętnika Asi)

Świat stanął na głowie. Stało się coś niewyobrażalnego. Przynajmniej ja nie umiałabym sobie tego wyobrazić. Miało być tak dobrze. Kazik miał zniknąć z naszego życia i miał już nie dręczyć ani mnie, ani matki – ale tak się nie stanie. Podśluchałam, jak matka mówiła ciotce Goście, że jest w ciąży. Moja matka jest w ciąży z tym koszmarnym człowiekiem! I teraz Kazik pewnie spakuje te wszystkie rzeczy, które jej zabrał, i pieniądze, które jej ukradł, i wróci pod nasz dach.

Ciotka cicho rozmawiała z matką, żeby może Kazikowi o tym wcale nie mówić, tylko iść po inne rozwiązanie. Że ona z nią pójdzie i że ma już dwoje dzieci, a męża jak nie miała, tak nie ma, i że z trójką dzieci to na pewno już nikogo nie znajdzie. I że ciotka też była na zabiegu, i że to w końcu nic takiego.

Konieczniam chciałam z kimś o tym pogadać. Ale nie z Andrzejem, bo on jest facetem, a z facetami o takich rzeczach się nie gada. Poszłam więc po szkole do Celiny. Maria Rosa stała w drzwiach jak Cerber, ale na szczęście Celina usłyszała mój głos i zeszła po mnie. Przytuliła mnie i szepnęła mi do ucha, że matka całkiem już zwariowała, że chodzi za nią krok w krok, tłumacząc to swoją troską.

– A ja już tą jej troską rzygam, Aisza – powiedziała, zamykając drzwi od swojego pokoju i sadowiąc się wygodnie na wersalce.

– Ty rzygasz nadmiarem troski, ja jej brakiem. Życie. – Uśmiechnęłam się.

– Nie mogę się doczekać przeprowadzki. Chcę już mieszkać z Andrzejem.

– Kto by nie chciał. – Roześmiałam się głośno i puściłam do niej oko.

– Prawda? Andrzej jest wyjątkowy.

– No, na pewno jest o wiele fajniejszy od Kazimierza, faceta, z którym moja matka jest w ciąży.– Co ty mówisz? Nie wiem, czy gratulować, czy płakać.

– Płakać. On teraz do nas wróci, chyba że matka zrobi zabieg.

– Każda teraz tak robi. Ona chyba nie chce już więcej dzieci? Ma w końcu dwoje.

– A ty byś zrobiła? – zapytałam.

– Ja... nie. Gdybym była w ciąży z Andrzejem, to nie chodziłabym po ziemi, ale lewitowałabym nad nią z radości.

– Ja też...

– Gdybyś była w ciąży z Andrzejem, Aisza, to ja bym rozpaczała, bo on jest mój, i dlatego, że ty masz czternaście lat.

– Wygłupiam się, co innego mi pozostało? Mogę płakać albo się śmiać.

– Wiem, ja też się wygłupiam, ale twojej matce na pewno nie jest do śmiechu.

– A miało być tak wspaniale. Zero Kazika i tylko my. A tymczasem los sobie ze mnie zadrwił. Nie tylko będzie Kazik, ale będzie też jego wierne odbicie, bachor z niego zrodzony.

– Może będzie podobny do ciebie.

– Ja jestem podobna do ojca.

Wracałam do domu rozweselona, z przekonaniem, że to nie mój problem. W domu zastałam matkę z zaczerwienionymi od płaczu oczami. Nie wiedziałam, jaką podjęła decyzję, ale byłam pewna, że klamka zapadła.

Rozdział 76. Julia

Teraz

Kiedy czyściłam kocią kuwetę, zobaczyłam w ogródku sąsiada (tak, czasami wyrzucam piasek za płot, a nie do toalety. Szczególnie jak mam umyć całą kuwetę, a mi się nie chce). Podcinał gałęzie i pomyślałam, że może będzie coś wycinał. Tego moja matka mu nie daruje i będzie megaafera.

– Wiemy coś o twojej przyjaciółce? – zapytał. Nie wyglądał zbyt dobrze, był w dresie, rozczochrany.

– Nic nie wiemy, jedynie to, że czas upływa, a to chyba nie jest najlepsze...

– Żeby tylko się znalazła, taka młoda i zniknęła w naszej okolicy. Moja żona powiedziała, że boi się tu mieszkać.

– Oby jej przeszedł strach, bo na pewno na jednej porwanej się nie skończy. Ale chyba ten ktoś gustuje w dziewczynkach, ona nie jest już w targecie, nic jej nie ujmuje, ale wiekowo, no wiesz... wie pan – poprawiłam się.

– Mnie też przesłuchiowano. Przeraziłem się, bo nie miałem dotychczas do czynienia z policją.

– Rutynowe działanie... Zawsze przesłuchują najbliższe otoczenie. – Starłam się brzmieć profesjonalnie i dorośle.

– No tak...

– Czy Marlena do ciebie kiedykolwiek pisała? – zapytałam.

– No co ty, wysłała mi tylko zaproszenie na Fejsbuku.

– Aha.– Kiedy już prawie wchodziłam do domu, zatrzymałam się. – Nie zabrałaś jej, co?

– No co ty! – W jego głosie słyhać było przerażenie. Po chwili dodał: – Ale podpytywał mnie o nią sąsiad. Nie znam go. Taki starszy. Siwy.

– Pewnie Jan. Martwi się.

– Wszyscy się martwimy.

– Pamiętasz, jak powiedziałam wam, że mieszkacie w domu po mordercy? Myliłam się. Andrzej Kołtun nikogo nie zamordował. Morderca

jest nadal na wolności. I to może być każdy.

– Nie mów tego głośno przy mojej żonie, okej?

Skinęłam głową i weszłam do domu. Nasze drzwi ogrodowe niedługo wypadną. Ojciec powinien je wymienić, ale oczywiście na nic nie ma czasu. Dorośli są zawsze zabiegani i nie zauważają niebezpieczeństw, które są na wyciągnięcie ręki. Komisarz policji i proszę, prawie nie ma drzwi tarasowych.

Kiedy weszłam na górę, zobaczyłam, że jest u nas mama Marleny. Siedziała w kuchni, udając, że pije herbatę, z telefonem tuż obok. Wokół niej tańczyła moja matka, widać było, że czuje się niezręcznie, że nie wie, co mówić. W końcu to nie jej córkę zabrali. To nie jej córkę... Zobaczyłam, że w jakimś dziwnym sensie moja matka czuje się winna, że ona nie została dotknięta bezpośrednio tą tragedią.

– Nie mogę oddychać. Brakuje mi tchu. Cały czas. I do tego ten strach. I wyczekiwanie, bo przecież ona wróci. Tylko gdzie teraz jest? Potrzebuje mnie, woła, płacze. A ja siedzę bezradnie i nic nie mogę zrobić... – Już w momencie, w którym powiedziałam „dzień dobry”, czułam, że przekraczam wszelkie granice. Skinęła mi głową i zatrzymała na mnie wzrok.

– Julia, przypomnij sobie, przypomnij sobie, może coś nam wszystkim umknęło.

– Cały czas szukam w głowie tego, co mi umknęło – powiedziałam.

– Julia, idź lepiej na górę, chcemy porozmawiać – zarządziła matka.

Zgodziłam się. Powiedziałam, że posprzątam w ogrodzie, bo i tak nie mam za wiele do zrobienia. Matce było to obojętne. Cicho narzuciłam cienką kurtkę i wyszłam z domu, nikomu nic nie mówiąc. Nie będę się tłumaczyć. Skoro mnie nie chcą, skoro uznają, że czternastolatka to gówniara, przy której nie można rozmawiać, to niech sobie siedzą i płaczą. W ciągu kilku minut stanęłam pod domem Jana. Nie widziałam się z nim jeszcze od czasu wyjścia ze szpitala, a właściwie od dnia porwania Marleny.

Zakołatałam do drzwi, ale nie odpowiadał. Zaczęłam obchodzić dom dookoła. To znaczy nie da się obejść dookoła narożnego domu w szeregowej zabudowie. Chodziłam wzdłuż płotu. Dom Jana jest trochę jak forteca. Obrośnięty, zakratowany i niedostępny. Rozumiem, dlaczego taki jest. Jan szanuje swoją prywatność.

Przed drzwiami stało kilka worków z liśćmi, widać było, że ich dużo zgrabił. Tak przed zimą. Spojrzałam w drugą stronę, zupełnie przypadkowo, na dom Marii Rosy. Na parterze paliło się światło, ale przez chwilę wydało mi się też, że światło pali się w piwnicy. Cicho zbliżyłam się do domu. W sumie zapadał już zmrok, o tej jesiennej porze zmrok nastaje zbyt szybko. Podeszłam do domu, ale zamiast wejść po schodkach i zapukać, zaczęłam wpatrywać się w okienka piwnicy. Trzyma tam zapasy, żarówki, cholera wie co. Po coś polazła i szuka, i stąd to miganie. Szyby były zasłonięte tekturą albo dyktą i dlatego prawie nic nie widziałam.

I kiedy tak szpiegowałam, niewiele widząc, usłyszałam za sobą głos.

– Julka, co ty tak jak złodziej się zakradasz? – Odwróciłam się i zobaczyłam Jana. – Wejdź na herbatę, jest zimno – powiedział to i uśmiechnął się do mnie, ukazując swoje idealnie białe sztuczne zęby.

Przyjęłam zaproszenie, chociaż wiedziałam, że zmarnotrawiłam już sporo czasu i że zaraz muszę biec do domu. Matka dostanie szału, jeżeli dowie się, że wyszłam bez pozwolenia i bez nadzoru. Pomyślałam, że zaraz wrócę. I poszłam za Janem.

Rozdział 77. Asia

Wtedy

(z pamiętnika Asi)

Kazik nie wrócił i dziecka nie będzie. W domu nikt na ten temat nie rozmawia. Matka pobyła chora przez kilka dni i już wróciła do pracy.

Zbliża się Wszystkich Świętych i trzeba posprzątać groby. Niewiele mamy tych grobów, na szczęście. Matka chce odwiedzić swoich dziadków.

Fajnie jest mieć niewiele miejsc do odwiedzenia na cmentarzu.

Andrzej powiedział, że on do swojego ojca na cmentarz się nie wybiera. Że jeżeli matka chce pucować mogiłkę, to może, ale on nie będzie.

Rozumiem go. Wiem, że miał z ojcem bardzo ciężko.

Maciek napisał do mnie list. To pierwszy list miłosny, jaki otrzymałam. Niby nic wielkiego: że jak mnie widzi, to od razu poprawia mu się humor i że ma nadzieję, że koniec szkoły to nie będzie koniec naszej znajomości, bo on ma względem mnie plany. Miło jest przeczytać coś takiego.

Widać, że Maciek z pisaniem nie radzi sobie aż tak dobrze, ale przecież mój chłopak nie musi być literatem czy polonistą. Może być po prostu bardzo przystojny, miły i zakochany we mnie, prawda?

Lubię to, jak na mnie patrzy. Z oddaniem i zachwytem. Gdyby codziennie człowiek przeglądał się w takich oczach jak w lustrze, to mógłby pomyśleć, że jest nie wiadomo jaki fajny. Dzięki Maćkowi, Andrzejowi i Celinie czuję się fajna, wartościowa, mądra i zdolna.

I pomyśleć, że gdyby nie oni, mogłabym się nigdy tak nie poczuć. Jakie to ważne, kogo w życiu spotykamy. Bo ja wiem, że z Andrzejem i Celiną to jest przyjaźń na całe życie.

Im więcej dobrych rzeczy się dzieje, tym mniej chce mi się pisać w moim pamiętniku, moim powierniku. I trzeba przyznać, że niewiele kartek zostało mi już do końca. Płodna ze mnie pamiętnikarka.

Oby tak dalej. Niech ta bajka trwa.

Zaraz biorę Dukę na spacer. Duka w tej całej opowieści też się liczy. Bardzo ją kocham. To mój pies.

Rozdział 78. Maria Rosa

Wtedy

Jak mogła mi powiedzieć, że ze mną nie pojedzie? Że nie pojedzie ze mną na cmentarz, do ojca? Pokłóciłyśmy się. Zawsze jeździmy razem.

Powiedziała, że pojedzie z Andrzejem. Zapytałam, czy to już jej rodzina. Odpowiedziała, że jeszcze nie, ale że niedługo już tak.

Oszalałam. Poniosło mnie. Zaczęłam krzyczeć. Że o wszystkim dowiaduję się ostatnia i że mamy tylko siebie.

– To ty masz tylko mnie! – Miałam cały świat i cały świat poświęciłam dla ciebie – wysyczałam.

– Dziękuję, ale już się dla mnie nie poświęcaj, to poświęcanie się bardzo ci szkodzi. Popatrz, co się z tobą stało. Gdzie jest ta radosna istota, która potrafiła oczarować świat? Nie poznaję cię, mamo!

– Ta część mnie odeszła w dniu wypadku, czy akurat tobie tak trudno jest to zrozumieć? Czy i tobie los nie odebrał wszystkiego?

– Nie, ja nadal żyję. Jestem chora, ale żyję. Jestem młoda.

– Nie grasz już, nie tańczysz, czy to nie był sens twojego życia? Jak możesz tak mówić?

– Może dla ciebie to był sens życia. Jak życie się zmienia, to my też musimy się zmieniać. Jak nie masz nogi, to nie możesz być tancerką, ale możesz być kimś zupełnie innym, kimś pięknym, dobrym. Dopóki żyjesz, możesz dostosować się do warunków, które oferuje ci życie.

– Ja tak nie potrafię.

– Widzę, że nie potrafisz. Potrafisz tylko rozpaczać nad tym, co utracone, i gdybyś jeszcze tak rozpaczała nad ojcem, to byłabym w stanie to zrozumieć. Ale ty rozpaczasz, bo ja już nie zatańczę... Ja już nie chcę tańczyć, ja chcę...

– Wiem, czego ty chcesz, wiem, kogo chcesz. Nie jestem ślepa. Ale on się znudzi, prędzej czy później znudzi się! Nie może być inaczej. Spotka jakąś inną, zdrową dziewczynę, a ty zostaniesz, zgorzkniała i ze złamanym sercem. Znam takich jak on!

Celina spojrzała na mnie z nienawiścią – wyraźnie wyczytałam w jej oczach nienawiść. A przecież mówiłam jej tylko prawdę, chciałam ją chronić.

– Ja go kocham i bierzemy ślub! – wykrzyczała to i wybiegła na korytarz. Dobiegł mnie trzask zamykanych drzwi wejściowych.

– Po moim trupie! – wrzasnęłam za nią. Nie wiem, czy to słyszała.

Chciała kochać i żyć. A przecież to było niemożliwe i tylko ja o tym wiedziałam. Tylko ja wiedziałam, jaka była chora. Przecież jej stan będzie się pogarszał, pogłębi się oczopląs, ataki padaczki będą jeszcze częstsze, jej mózg przestanie działać i Celina zmieni się w warzywo, i to ja będę wtedy przy niej, ja, nie on. Nie ten jej kochanek.

Splunęłam, kiedy wypowiedziałam na głos to słowo. Bo to się miało nigdy nie wydarzyć.

Po raz pierwszy postanowiłam, że nie wyjdę, żeby szukać Celiny. Że chociaż z niepokoju pęka mi serce, to zostanę w domu. Nastawiłam adapter. Kiedyś muzyka była całym moim światem, tak jak teraz jest nim Celina. Maria Callas. La mamma morta.

Rozdział 79. Julia

Teraz

Tego nikt się nie spodziewał.

Od zaginięcia Marleny minęło dziewięć bardzo długich dni. Były momenty, w których paraliżował mnie strach. Co, jeśli ona nie wróci, jeśli jej nie odnajdą? A co, jeśli ją odnajdą martwą, zmasakrowaną? Nie mogłam o tym myśleć i nie mogłam patrzeć na nasze zdjęcia. Jak widziałam ją uśmiechniętą, siedzącą na mojej komodzie, to od razu chciało mi się płakać.

A może uciekła i nie chce wrócić? Z taką wersją wydarzeń też trzeba się pogodzić. Taka wersja byłaby najbardziej pozytywna, bo oznaczałaby, że Marlena żyje. Z dala od nas, ale jest cała i zdrowa.

Jeśli dzieje jej się krzywda, jeśli ktoś... Rzeczywiście miałam wybujałą wyobraźnię, ale tutaj naprawdę nie chciałam jej uruchamiać.

Dochodziła osiemnasta. Matka siedziała przed telewizorem, z nogami na stole, demonstrując tym prawdopodobnie smutek i rezygnację. Ja odrabiałam w kuchni lekcje; z jakiegoś powodu w naszym domu kuchnia zawsze była centrum wszystkiego. Miałam tam nawet swoją szafkę na szkolne książki, żebym nie musiała co chwilę latać po schodach na piętro. Z pomieszczenia rozpościerał się dobry widok na salon.

W pierwszej chwili dźwięk telefonu za bardzo nas nie zainteresował. Mama miała dużo koleżanek i pewnie na telefonie wisiła nawet częściej niż ja. Od czasu zaginięcia Marleny mało osób do mnie dzwoniło, bo nie byłam tak towarzyska jak matka. Wystarczał mi jeden prawdziwy przyjaciel.

Dzwonił ojciec. Matka nerwowo poszukała pilota od telewizora i natychmiast wyłączyła urządzenie. Obserwowałam ją znad książki. Spojrzałam też na kota, który zupełnie nie zainteresował się tym telefonem, bo im był starszy, tym mniej cokolwiek, prócz odpoczynku, się interesował.

– Znaleźli ją... Marlenę! – krzyknęła matka i zaczęła gestykulować bez ładu i składu.

Już się zerwała na równe nogi, już biegła do kuchni. Ja też podskoczyłam i prawie się ze sobą zderzyłyśmy.

– Żyje? Mamo, żyje?! – Zaczęłam krzyczeć i zasłoniłam ręką usta.

Matka pokiwała głową. Dała mi znak, że żyje, przynajmniej ja tak to odebrałam.

– Jezus Maria, żyje! – powiedziała matka i rozplakała się, bo napięcie ostatnich dni nareszcie znalazło swoje ujście.

Odruchowo odpaliłam Fejsa w telefonie i wpisałam, że Marlena żyje, że jest, że już jest okej.

– Trudno uwierzyć w to, co powiedział tata. Znalazł ją nasz nowy sąsiad. Byli z żoną na spacerze, poszli na zachód, przez tory, i tam, koło niedokończonego domu, jest taka podupadła fabryczka, niewiele z niej zostało. I oni tam urban exploration robili, nasi sąsiedzi.

– Mamo, mów z sensem!

– Znaleźli ją w czymś na kształt garażu, w tym garażu był kanał, taki do naprawiania samochodu, a tam skrzynia: duża, drewniana, taka na węgiel, jaką miała kiedyś babcia. Usłyszeli jęczenie. Myśleli, że utknęło tam zwierzę, więc Adrian zszedł do tego kanału, mieli latarki i czołówki. Skrzynia była zamknięta na zasuwkę, bez kłódki. Ten bandyta po prostu ją tam trzymał, rozumiesz? Nie wiemy, czy przez wszystkie dni... Jest w szpitalu. Wycieńczona, wychudzona, brudna, pobita, z odparzeniami i licznymi ranami, ale jest.

– Jedźmy do niej!

– I tak nas nie wpuszczą. Ale tak, jedźmy do szpitala, posiedzimy z Anką, ona już wie. Policja już ją zabrała do córki. – Tak jak stałyśmy, bez przebierania, bez zastanowienia wyszłyśmy, a raczej wybiegłyśmy z domu i wsiadłyśmy do samochodu matki. – Może powinnyśmy wziąć taksówkę? Nie wiem, czy jestem w stanie prowadzić – zapytała.

– Po prostu jedź, jedź! – nakazałam jej i ruszyłyśmy spod domu.

To była długa i nerwowa jazda. Marlenę zawieźli do szpitala MSW na ulicy Północnej. Na dole było dużo policji i na pewno by nas nie wpuścili, gdyby nie ojciec i wujek Marcin.

– Jest na zabiegu, trzeba ją pozszywać, ale to naprawdę dzielna dziewczyna. Jej mama siedzi pod salą zabiegową, jest z nią psychologka.

– Złapaliście go? – zapytałam.

Marcin popatrzył na matkę i na mnie. Wyglądał na zmęczonego.

– Nie wiem, jak to powiedzieć...

– Po prostu to powiedz – zaczęłam cisnąć.

– Nadal nie wiemy, kto to jest...

– Jak to?

– Porozmawiamy później. Muszę wracać do śledztwa. Sprawdzamy te ruiny, w których znaleziono Marlenę. Szukamy czegoś, co nas naprowadzi na trop sprawcy. Marian was zaprowadzi do mamy Marlenki, okej? Tutaj, w rogu, stoi automat. Weźcie dla niej kawę. Jest ledwo przytomna.

Wzięłyśmy kawę dla mamy Marleny i gorącą czekoladę dla mnie. Trzęsły mi się ręce i połowę wylałam, wchodząc po schodach.

Wszędzie roило się od policjantów.

Pomyślałam, że skoro go nie znaleźli, to muszą teraz bardzo pilnować Marleny. I przeszedł mnie dreszcz.

Przed wejściem na oddział stał policjant, który przez krótkofalówkę upewnił się, że może nas wpuścić. Wylegitymował też matkę.

– Sybilla Zawada? Żona komisarza Zawady, tak? Proszę. – Oddał jej dokumenty i weszłyśmy na oddział.

Pod drzwiami w głębi korytarza siedziała Anka Gaska. Słyszałam tylko przyspieszone kroki mojej matki i bicie własnego serca. Po raz pierwszy wejście po schodach wydało mi się wyczynem.

– Dobry Boże, Sybillo, znalazłam córkę. – Mama przytuliła ją i stały tak przez chwilę, nic nie mówiąc. – Siedziała ze mną psycholożka, ale teraz akurat jej nie ma. Chcę już wejść do Marlenki. Ona tak wygląda... taka chuda, blada, cała poobijana. Moja córeczka... – Zaczęła płakać, ale tym razem to były łzy szczęścia. Już nie musiała się bać, że nigdy nie zobaczy swojej córki. – Kiedy ją przytuliłam... to była najszczęśliwsza chwila mojego życia. Stał się cud. Chyba ty mi ten cud wymodliłaś.

– Modliłam się codziennie – zapewniła ją matka i wiedziałam, że to prawda. Po raz pierwszy jej religijność na coś się przydała. Nie na darmo święty Antoni, patron zagubionych, leżał na jej nocnym stoliku od dnia zaginięcia Marleny. Nie to, żebym w takie rzeczy wierzyła. My z tatą religią się nie interesujemy. – Jeśli masz siłę, to powiedz nam wszystko, co wiesz, o znalezieniu Marlenki i o tym, jaki jest jej stan.

– Trzymał ją w skrzyni, drewnianej, wyłożonej od środka dywanem. Wiem, brzmi strasznie. Dziewięć dni w skrzyni. Ma otarcia i rany cięte, ale niegłębokie. Bił ją po głowie. Robili tomograf, nic na nim nie widać. Jest taka chuda, że mogłabym ją pewnie podnieść. Za dużo nie jadła, ale musiała coś pić, bo bez picia... Złamał jej nos. Będą nastawiać. Chcą, żeby

się uspokoiła i żeby lekarze pozwolili policji z nią porozmawiać. Kiedy ten wasz sąsiad z żoną ją znaleźli, była przerażona, nie miała siły nawet krzyczeć. Uratowało ją to, że jęczała. Usta miała zaklejone taką srebrną taśmą izolacyjną. Wiem jedno: wszystko będzie z nią okej, to silna dziewczyna. Teraz widzę, jaka jest silna. Nie doceniałam jej. Nie doceniałam tego wszystkiego, co miałyśmy każdego dnia, bo wydawało mi się, że po prostu tak musi być. A wcale nie musi. Mogłam już nigdy jej nie zobaczyć. Traciłam wiarę. Często nocami nie spałam, ale i tak z letargu wyrывał mnie krzyk. Na granicy snu i jawy widziałam Marlenę. Nie wiem, jak ja się tym sąsiadom odwdzięczę. Nie wiem, jak odwdzięczę się temu człowiekowi, który zwrócił mi córkę całą i zdrową. Żywą.

– Czy Marlena wie, kto ją porwał? Marcin mówił, że nie do końca jest to jasne? – zapytałam.

– Nie wie. Nie widziała jego twarzy. Prawie się do niej nie odzywał. Ona jest przerażona, wiele rzeczy musi sobie jeszcze przypomnieć. Przeżyła traumę.

– A jak ją porwał, coś wiadomo?

– Julka, policja wszystko to ustali. Najważniejsze, że Marlenka jest już z nami. Że ten koszmar się skończył – uspokoiła mnie matka.

Wiem, chciałam wiedzieć wszystko od razu. Ale oprócz tego najbardziej na świecie chciałam zobaczyć Marlenę. Moją przyjaciółkę.

Na korytarzu pojawiła się policyjna psychologka, którą miałam już okazję kilka razy widzieć.

– Mama będzie mogła zaraz do córki wejść. Tylko na chwilę. I tylko mama. Żeby nie było za dużo emocji. Ona teraz musi się uspokoić. Im prędzej się uspokoi, tym szybciej policja będzie mogła z nią porozmawiać.

– A czy ja bym nie mogła? Jestem jej jedyną przyjaciółką. Julia Zawada.

– Zerwałam się z krzesła i stanęłam wyprostowana jak struna przed panią psycholog.

– Tylko rodzina, przykro mi. Może jutro, może za kilka dni. To wszystko dla jej dobra.

– Rozumiem.

Patrzyłam, jak mama Marleny odstawia kubek z kawą na krzesło i jak, nie patrząc już na nas, szybkim krokiem kieruje się do drzwi, za którymi była jej odnaleziona córka.

Pomyślałam, że powinnyśmy na nią zaczekać. Że może dowiemy się jeszcze czegoś. Jednak w tej chwili nic już nie było naprawdę ważne.

Marlena wróciła. Ktokolwiek ją zabrał, nie zdołał zrealizować swojego planu.

Psycholożka weszła do sali i po kilku minutach wyszła do nas.

– Pani Ania zostanie jeszcze u córki. Dziewczynka zasnęła. Wracajcie do domu. Będziemy tu nad nią czuwać, dzień i noc.

– Pilnujcie jej... proszę – wyszeptałam i ruszyłam za matką w stronę wyjścia z oddziału.

Przy drzwiach nadal stał policjant i zrozumiałam, że oni będą dbać o bezpieczeństwo Marleny, bo... ktokolwiek ją porwał, nadal był na wolności.

Rozdział 80. Julia

Teraz

Kiedy włączyliśmy z mamą telewizor, w wieczornych wiadomościach pokazywali dzisiejsze wydarzenia i naszych lokalnych bohaterów, pana Adriana z żoną – ludzi którzy znaleźli zaginioną dziewczynkę. To cud, że akurat wybrali się na ten spacer, usłyszeli ciche kwilenie i zaczęli szukać zbłąkanego zwierzęcia.

Adrian peszył się w świetle reflektorów, pomyślałam, że to niepotrzebne, bo przecież na serio jest superhero. W wiadomościach widać też z daleka, jak niosą do karetki moją przyjaciółkę. Policja cieszy się z sukcesu i odnalezienia zaginionej dziewczynki.

Sprawca uprowadzenia jest poszukiwany i jeśli cokolwiek słyście, dzwoń pod sto dwanaście. Każda informacja może okazać się cenna. Żeby poczuć się bezpiecznie, musimy społecznie się zaangażować i złapać tego zwyrodnialca.

Pomyślałam, że koniecznie muszę z sąsiadem porozmawiać. Jakie to szczęście, że właśnie on się tu wprowadził, tak niedawno, a dokonał niemożliwego i znalazł moją przyjaciółkę.

– To przypadek, że akurat przechodziliśmy, nie jesteśmy żadnymi bohaterami – tłumaczył przed kamerą, ale na pasku i tak był napis, że bohater z Łodzi uratował poszukiwaną od dziewięciu dni dziewczynkę, że zdarzył się cud. Bo gdyby jej nie odnalazł, przestępca pewnie dokończyłby swoją misję.

Padają też pytania, co robiła policja i czemu policyjne psy nie odnalazły Marleny. To dobre półtora kilometra od miejsca, w którym zniknęła.

– Teraz wszyscy będziemy mogli zacząć normalnie żyć – powiedziała mama.

– Jeszcze nie teraz. Najpierw trzeba znaleźć tego porywacza. To może być każdy. Każdy jest podejrzany. Może to nawet nasz sąsiad. Najpierw Marlenę zabrał, a później bohatersko odnalazł – Zaczęłam głośno się zastanawiać.

– Nie sądzę, to taki spokojny chłopak. Normalny człowiek. Policja go prześwietlała po zniknięciu Marlenki.

– Pewnie masz rację, ale ziarenko strachu i niepewności zostało zasiane. Ktoś to zrobił i jest na wolności.

– Lepiej zamknę dobrze drzwi, opuszczę żaluzje i włączę alarm na dole – powiedziała matka.

– Okej, a mogę dziś spać z tobą? W takich sytuacjach lepiej trzymać się razem.

Mama skinęła głową.

Tej nocy położyłyśmy się razem, jak jeszcze kilka lat temu, kiedy byłam mniejsza i mama zawsze czytała mi do snu. To były fajne czasy. Pamiętam, że mocno tuliłam moją kocią poduszkę.

Rozdział 81. Andrzej

Wtedy

Celina pokłóciła się z matką. To było nieuniknione. Pokłóciła się i przyszła do mnie. Siedziały z moją mamą w kuchni i rozmawiały. W zasadzie pierwszy raz rozmawiały tak szczerze.

Niepokoilo mnie to, co mówiła: że wie, że jest chora, i że ja zasługuję na kogoś lepszego, i że Maria Rosa ma pewnie rację.

– Jeśli chcesz zrezygnować ze ślubu tylko dlatego, że matka zrobiła ci pranie mózgu, to ja się na to nie zgadzam – oznajmiłem zdecydowanie.

Nawet jeśli ona miała wątpliwości, to ja żadnych.

– Jesteś pewien? – Spojrzała na mnie zaczerwienionymi od płaczu oczami swojej matki.

– Niczego nigdy nie byłem bardziej pewien.

– No to dobrze, bo matka cały czas wytrąca mnie z równowagi i sieje zwątpienie. Czasami zdaje mi się, że ona wpędza mnie każdego dnia do grobu tą swoją niewiarą we mnie, ciągłym narzekaniem i widzeniem wszystkiego w najczarniejszych barwach. Chcę odsapnąć, odżyć, a ona mnie wtedy butem, jak niedobitego robaka...

– Maria robi to pewnie z troski, tylko że jej troska osiągnęła chorobliwy poziom – stwierdziła moja matka, która od dawna nie wyrażała swojej opinii, zupełnie tak, jakby lata życia z ojcem nauczyły ją milczenia i strachu przed własnym zdaniem.

– Czy zawsze była taka nadopiekuńcza? – zapytałem.

– Nie, kiedyś myślała tylko o sobie, my byliśmy przy okazji. Oczywiście kochała nas, ale nie miała dla nas czasu. Zajmowała się sobą i swoją karierą. Bo pewnie pamiętacie, że zrobiła takową. Śmierć ojca i moje kalectwo sprawiły, że poświęciła operę dla opieki nade mną. Nie wyśmiewam tego i nie drwię, i nie umniejszam, bo wiem, że decyzja o rezygnacji ze śpiewania była najcięższą decyzją w jej życiu. Moja matka to prawdziwa artystka, była jedną z najbardziej charyzmatycznych osób, jakie spotkałam. Tylko że była też wrażliwa, bez ogromnej wrażliwości nie umiałaby tak śpiewać. I piękna. Nadal jest piękna... To okropne, że musisz

poświęcić to, co kochasz najbardziej na świecie, żeby opiekować się swoim kalekim dzieckiem. – Patrzyłem na Celinę i widziałem, jak jej nastrój pogarsza się jeszcze bardziej.

– Leżałam w szpitalu miesiącami, nie było wiadomo, czy kiedykolwiek stanę na nogi, czy będę widzieć, słyszeć, mówić, a ona codziennie u mnie siedziała. Przeżywała żałobę po tacie i w tym samym czasie zamartwiała się, czy jej jedyna córka będzie żyła i jakie to będzie życie. Zawsze, kiedy się kłócimy, czuję się podle. Bo bardzo ją Kocham i doceniam jej poświęcenie, tylko że jak człowiek się dla kogoś poświęci, jeśli poświęci wystarczająco dużo, to czasami zaczyna tę osobę, dla której się poświęcił, nienawidzić. Ja wiem, że matka mnie nie nienawidzi, matka mnie kocha i ma tylko mnie. Nie mogę uwierzyć, że ktoś, kto miał u stóp cały świat i potrzebował tylko podziwu i pokłasku, teraz zamknął się w domu i potrzebuje tylko mnie, żebym była obok. Matka nigdy nie mieszkała sama. Świadomość, że mogę się od niej wyprowadzić, napawa ją przerażeniem.

– Celinko, jeśli zamieszkacie u nas, na Leśnej, to będziesz tylko kilka domów od swojej mamy. Będziecie mogły się odwiedzać, robić razem, co tylko będziecie chciały – wtrąciła uspokajająco moja matka.

– Wiem, ona na pewno też to wie, ale boi się samotności, czterech pustych ścian. Przynajmniej tak mi się wydaje. Ona w zasadzie była pewna, że zawsze już będziemy razem, że ja nigdy nikogo nie spotkam.

– Życie nie jest takie, jak je sobie wyobrażamy, jest, jakie jest, i to wszystko. Trzeba jednak oddać Marii Rosie sprawiedliwość. Znam ją od wielu lat. Pamiętam ją z czasów świetności. Widziałam ją na scenie. Mówisz, że najbardziej kochała sztukę. Ja myślę, że najbardziej jednak kochała... ciebie. Tak podpowiada mi serce matki. Jeśli rodzic nie jest zaburzony, bo nie o takich mówię teraz, to najbardziej na świecie kocha swoje dzieci. Moje życie wyglądało zupełnie inaczej niż twojej matki. Ja w porównaniu do niej byłam nikim, dodatkowo mój mąż codziennie utwierdzał mnie w tym przekonaniu, ale gdyby nie Andrzej, nie poradziłabym sobie. Myślę, że zakończyłabym to piekło wiele lat temu. Syn trzymał mnie przy życiu, poczucie odpowiedzialności za niego, strach o niego. I teraz, kiedy patrzę na Andrzeja i widzę go tak odmienionego, szczęśliwego, to chcę, żebyś już dziś u nas zamieszkała i żeby było wam razem naprawdę dobrze.

– Bardzo pani za te słowa dziękuję. – Celina podeszła do mojej mamy i przytuliła ją.

Poczułem się wtedy szczęśliwy. Wszystko wyglądało tak dobrze. Byłem pewien, że Maria Rosa w końcu odpuści i zaakceptuje nową sytuację i to, że bierzemy ślub.

Rozdział 82. Asia

Wtedy

(z pamiętnika Asi)

Dziś w ramach czynu społecznego byliśmy klasą na cmentarzu. Odwiedzaliśmy groby, o których inni zapomnieli. Jest taki jeden – zapamiętałam go – na Dołach. Mała, zaniedbana mogiłka porośnięta ciemnozielonym bluszczem. Zajmuje ją jegomość Juliusz Przygoda. Wiem o nim tyle, że zmarł tragicznie w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku i że prosi o Zdrowaś Maryjo. Odmówiłam modlitwę nawet kilka razy. Mnie to nie zaszkodzi, a jemu może pomóc. Nie wiem, ile miał lat, kiedy umarł.

Zawsze fascynowały mnie stare, zapomniane mogiły. Może strach o tym pisać, ale najbardziej groby dzieci. Zawsze ze strachem wyobrażałam sobie, jakie te dzieci musiały być małe. Tylko trochę większe niż ja.

Dzieci nie powinny umierać. Nigdy.

Dzieci nie powinny umierać, bo śmierć dziecka sieje spustoszenie i powoduje wieczną ciemność nie tylko w sercu rodzica, ale i w całym wszechświecie. To zdanie spodobałoby się Andrzejowi.

Jak to się wszystko pozmieniało, pamiętniczku. Gdyby nie Andrzej, nie zaczęłabym cię nawet pisać i nie zostawiłabym po sobie tych kartek. Za wiele lat może przeczytam to mojej córce. Oczywiście jeśli będę miała córkę.

Na pracach społecznych byli z nami wychowawczynie, Andrzej i pan Juszcza, który w naszej szkole pełnił funkcję palacza w kotłowni i złotej rączki. Nikt z nas tego na własne oczy nie widział, ale podobno ten Juszcza ma drewnianą stopę. Wpadł pod tramwaj jeszcze jako dziecko. Tak nim dziwnie zarzuca, jak chodzi, ale już chyba całkiem dobrze nauczył się poruszać z protezą stopy.

Na cmentarzu pan Juszcza cały czas trzymał się Andrzeja i przez to ja nie mogłam spędzić z nim czasu. Zresztą, w szkole i tak mamy reguły, że jesteśmy bon ton.

Monika i Kaśka tylko udawały, że sprzątają. Po co mają się schylać i brudzić sobie ręce, skoro inni to za nie zrobią? Te to potrafią się ustawić. W którymś momencie zaczęły się śmiać, wskazując na coś palcem. Spojrzałam w tamtą stronę. Juszczak, schowany za drzewem, robił siku. W pierwszej chwili myślałam, że wskazują właśnie na niego, ale nie – wskazywały na duży, czarno-złoty pomnik.

– Tam chowają Cyganów! – krzyknęła nie za głośno i nie za cicho Monika. Tak, żebym ja to usłyszała, ale inni już nie.

Akurat tak się złożyło, że usłyszał to również Andrzej.

– Słucham?

– Nic, mówimy tylko, że tam chowają Cyganów. – Monika zaczerwieniła się.

– To prawda – przytaknął. – Cyganie mają inną kulturę i ich nagrobki są dużo bogatsze. Ceremonie pogrzebowe prawdopodobnie też są radośniejsze, a życie kolorowe, rozśpiewane i barwne.

Monika zrobiła drwiącą minę, a ja przewróciłam oczami i uśmiechnęłam się, pokazując, że one nie chciały mnie atakować, a nawet jeśli chciały, to mnie to wcale nie obchodzi. Nie wstydzę się mojej cygańskiej krwi. Wstydzę się czasem jedynie tego, że ojciec z nami nie mieszka.

To, co mnie wyróżnia, czyni mnie wolnym, jeśli to akceptuję.

Gdybym nie była Cyganką, nie potrafiłabym tak śpiewać i tańczyć i nie zwracałabym tak bardzo na siebie uwagi. Andrzej i Celina pokazali mi, że nie ma nic złego w tym, że się wyróżniam. Nie muszę i nie chcę być jak wszyscy.

Podeszliśmy grupą do cygańskiego grobowca i okazało się, że jest ich więcej, a na jednym z nich widnieje znajome nazwisko: Roman Baron Delimata.

– To pewnie twój dziadek – powiedziała Kaśka, ale nie wyczuwałam w jej głosie złościwości.

Zapamiętałam te imiona. Roman Baron. Ładne imiona. I rodowe nazwisko mojego ojca: Delimata. Być może to naprawdę mój dziadek? Może kiedyś się tego dowiem.

W każdym razie, jak wróciłam do domu, to powiedziałam o tym matce. Zbyła to.

– Skoro żywy ojciec się tobą nie interesuje, to co będziemy gadać o zmarłym dziadku – zakończyła temat.

Wyobraziłam sobie, że Roman Baron Delimata to jest mój dziadek, i postanowiłam, że zmawiając pacierz za zmarłych, włączę go w te modlitwy. Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie... nawet jeśli nie jest moim dziadkiem.

Rozdział 83. Julia

Teraz

Mam totalny zakaz samotnego wychodzenia gdziekolwiek i wpuszczania do domu obcych. Jak tak dalej pójdzie, to zamiast coraz większej wolności, będę jej miała coraz mniej. Oczywiście chodzi o nierozwiązaną sprawę porwania Marlenki. Policja apeluje o ostrożność.

Dziś udało mi się porozmawiać z sąsiadem. Sława bohatera go przytłaczała i naprawdę się rumienił, gdy się go o całą sprawę pytało. Kto by pomyślał, że ten nasz Adrian jest taki wstydlivy. Jak tańczył z Marleną na imprezie, to się taki nie wydawał. Zresztą, uczę się, że ludzie na ogół są inni, niż nam się wydaje. Według Japończyków człowiek ma trzy różne twarze: pierwszą pokazuje całemu światu, drugą tylko najbliższym, a trzeciej nie pokazuje nikomu... chociaż to właśnie ona odzwierciedla, kim jest naprawdę.

Dopałam sąsiada, kiedy zamiatał balkon (niedawno kładł na nim płytki, jest naprawdę bardzo zdolnym budowniczym).

– Jak to wyglądało? Proszę mi wszystko opowiedzieć!

– Ja to mam ciekawską sąsiadkę. Ale nie jesteś z mediów, co? – Uśmiechnął się.

– Nie, nie jestem też z policji. Zwykła kobieca ciekawość.

– Chyba dziewczęca. My robimy urban explorations z żoną i często chodzimy ze znajomymi po starych fabrykach, zapuszczamy się do kanałów, w takie miejsca, gdzie w zasadzie wchodzić nie wolno, a na pewno robi się to na własną odpowiedzialność, bo można wpaść do dziury albo nadziać się na drut. Zauważyłem tę fabryczkę już na początku, jak się tu wprowadziliśmy, ale przez remont nie było czasu, by tam iść. I nagle wczoraj namówiłem żonę, i poszliśmy, choć nam się wydawało, że może już za późno i może przełożymy to na inny raz. Na szczęście nie przełożyliśmy. Chodziliśmy ostrożnie i wtedy usłyszałem te, jakby kocie, piski. Ranne zwierzę, pomyślałem. Jak znaleźliśmy tę skrzynię, to nie mogłem uwierzyć, że tam jest dziewczynka, i to jeszcze Marlena. Ja się przestraszyłem w pierwszej chwili. Że ten, kto ją zamknął, może wrócić,

a my nie mieliśmy przecież żadnej broni. Ściągnąłem z Marleny taśmy i założyłem na nią swoją kurtkę. Żona dzwoniła już w tym czasie na policję. Policja powiedziała mi później, że zanieczyściłem ślady biologiczne, ale co miałem robić? Patrząc, jak Marlena leży w skrzyni?

– Oczywiście, skąd sąsiad mógł wiedzieć, w końcu sąsiad jest informatykiem, a nie technikiem kryminalistyki, prawda? W każdym razie, i ja nie ślodge, tylko mówię, jak jest, to, co sąsiad zrobił, tego się nie da nazwać słowami. Uratował pan Marlenie życie. I mnie też, i jej matce. Wszystkim, którzy umierali z nerwów z powodu jej zaginięcia.

– Niczego takiego nie zrobiłem, po prostu w odpowiednim czasie znalazłem się w odpowiednim miejscu.

– Bardzo dziękuję – powiedziałam i wróciłam do domu, bo matka zaczęła mnie wołać.

Miałyśmy jechać do Marleny. Po raz pierwszy od dziesięciu dni miałam zobaczyć moją odnalezioną przyjaciółkę.

Rozdział 84. Julia

Teraz

Wyglądała strasznie. Posiniaczona, z zabandażowaną głową.

– Tylko nie wpytuj o nic – poinstruowała mnie mama Marleny.

W pokoju był też ojciec mojej przyjaciółki.

– Cześć... – przywitałam się, siadając na brzegu łóżka.

– Cześć – odpowiedziała Marlena.

– Jak się czujesz? Wiem, że to głupie pytanie, ale wszyscy tak się martwiliśmy...

– Też się martwiłam. Myślałam, że mnie zabije, że już nigdy was nie zobaczę, was ani nikogo innego, że już ze mną koniec.

– Nie pozwolili mi o nic pytać, ale ja chcę, żebyś wszystko mi opowiedziała, okej? Wszystko – szepnęłam, bo jednak wrodzona ciekawość zwyciężyła.

– Jasne. Wszystko. Tylko oprócz strachu niewiele pamiętam. To jest najgorsze.

– No ale wiesz, jak to się stało, że wylądowałaś w fabryce za torami, co?

– Niewiele pamiętam z ostatnich dni ani z dnia porwania. Pamiętam, że widziałam się z tobą, że wyszłam sama, bo bolał cię brzuch. Widziałam twoich sąsiadów i tutaj jest koniec, pamięć się urywa, Julka.

– Zrobił ci coś? Zgwałcił cię? – zapytałam drżącym głosem.

– Nie! Przestań! Tylko bił i straszył. Było ciemno, mam wrażenie, że cały czas było ciemno... i mam czarną dziurę. Może tak lepiej, bo wolę sobie nie przypomnieć. Wolę nie pamiętać tego wydarzenia.

– Ale musimy go znaleźć, więc musisz sobie przypomnieć cokolwiek!

– Nie wiem już, co było majaczeniem, a co było autentyczne, kurde. Masakra.

Pielęgniarka weszła i dała mi do zrozumienia, że na mnie już czas. Jak to: na mnie już czas? Chcę przy niej posiedzieć.

– Są jeszcze inni odwiedzający – powiedziała.

I kiedy wstałam z łóżka Marleny, ona nagle gwałtownie złapała mnie za rękę i przyciągnęła do siebie.

- Julia, uważaj... Mówił o tobie.
- Co? – Wszystkie włosy na ciele stanęły mi dęba.
- Nie jestem pewna, to mogło mi się śnić, ale uważaj... Dobrze?

Pielęgniarka wyprowadziła mnie z pokoju. Nie wiedziałam, co zrobić z tą informacją, czy Marlena powiedziała policji, czy dopiero dziś sobie przypomniała, że ten ktoś myśli o mnie? Oparłam się o ścianę i zaczęłam głęboko oddychać.

– Wszystko w porządku, kochanie? – Matka od razu zjawiała się przy mnie. – Jesteś w szoku i ja się nie dziwię, ale zobaczysz, Marlena jest silniejsza niż my wszyscy, poradzi sobie, a my będziemy jej pomagać. Szczególnie ty, jej przyjaciółka.

Postanowiłam, że muszę najpierw przetrwać tę wiadomość, nim się nią z kimkolwiek podzielę. A co, jeśli to były tylko majaki? Jeśli o tym powiem, to już cały czas będę czuła na plecach oddech pilnującej mnie osoby. A jeśli nie powiem... no właśnie. Jeśli nie powiem, to ten ktoś może mnie dopaść.

I to będzie koniec.

Rozdział 85. Mrok

Teraz

Zabrali ją. I zaraz przyjdą po mnie. Bo muszą już wiedzieć. Nieostrożność to pierwszy stopień do piekła.

Ostrożności zabrakło. Ona żyje. Przeznaczenie się nie wypełniło, co może oznaczać, że dla mnie nie nadejdzie już wiosna. Że muszę uciec w nicość. Chyba że nie przyjdą. Ale ona wie. Ta dziewczyna wie.

Wie, kim jestem. Pytanie brzmi, kiedy przyjdą. Myślę o tym i rygluję drzwi.

Muszę zniknąć. To znak od czasu. Idą po mnie. A ja nie idę po nikogo. Za późno. Czas pozbawił mnie siły. Już nawet nie potrafię zabić. Jestem do niczego.

Rozdział 86. Andrzej

Wtedy

Wyobrażaliście sobie najgorszy dzień swojego życia? Życia, które właśnie zaczęło być dobre, takie, jak trzeba? Spełnione? Najgorszy dzień mojego życia przyszedł niespodziewanie. Z zaskoczenia. I, co najgorsze, pociągnął za sobą rzeczy, których nie byłbym w stanie sobie wyobrazić.

Nie pamiętam już, jak spałem tamtej nocy i o czym myślałem, nie pamiętam wiele, tylko poranny telefon od Jana Ogródnika.

Umówiliśmy się z Celiną na dziesiątą, mieliśmy jechać na cmentarz do jej ojca. Był pierwszy listopada tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku. Dochodziła może ósma, matka nie odbierała, więc sięgnąłem po słuchawkę.

– Andrzej, Celina nie żyje.

– Słucham?!

– Przyjdź tu. – Jan się rozłączył, ale i tak nie byłbym w stanie o nic zapytać.

Opadłem na schody i w tej pozycji zobaczyła mnie matka.

– Celina nie żyje – powiedziałem i rozpłakałem się jak dziecko.

– Jezu, co ty mówisz?!

– Idę tam – wyszedłem tak, jak stałem, i przeszedłem te dwieście metrów.

Drzwi były uchylone. Zobaczyłem ruch i rozpoznałem Jana.

– Wiem, to straszne. Wczoraj się pokłóciły, a dziś rano Maria Rosa znalazła ją przy łóżku.

– Daj mi wejść.

Otarłem się o sąsiada i zacząłem wchodzić po schodach. Skrzypiały, jakby miały się pode mną zawalić. Zawalcie się pode mną – myślałem.

Pchnąłem drzwi do pokoju Celiny.

W pierwszej chwili nic nie widziałem, jakbym stracił wzrok.

Kiedy odzyskałem jasność widzenia, dostrzegłem moją Celinę na podłodze. Przykrytą kocem w kratkę. Ten koc zawsze leżał na jej wersalce.

Zamiast myśleć z sensem, skupiłem się tylko na kocu. Że co teraz? Kto się nim przykryje?

Maria Rosa siedziała na rozłożonym łóżku córki i patrzyła przed siebie.

– Umarła, Celina umarła. Był lekarz. Stwierdził zgon.

– Czy ona... czy ona coś sobie zrobiła? Czy to była naturalna śmierć?

– Bez udziału osób trzecich.

Usiadłem na fotelu, a raczej osunąłem się na niego.

– Trzeba ją ubrać. Zaraz przyjedzie zakład pogrzebowy. – W drzwiach stanął Jan. Powiedział, że on by ubrał, ale lepiej, jak robi to moja matka. Albo może nie ubierać, poczekać na zakład. – Zrobię herbaty – zaoferował.

– Jak to się stało? Jak... Dlaczego? – mówiłem trochę do Marii Rosy, a trochę do Celiny.

– Nie wiem, nie usłyszałam. Zawsze nasłuchiwałam, a tym razem nie usłyszałam, jak spadła z łóżka. Musiała dostać ataku. Jak weszłam, była jeszcze ciepła.

Spojrzałem na Celinę. Wyglądała, jakby spała.

– Może... – Chciałem wyciągnąć rękę i dotknąć Celiny, ale nie potrafiłem. Bałem się.

Po chwili weszła moja matka. Maria Rosa otworzyła szafę i wyjęła ciemną sukienkę.

– Ta będzie dobra, tę jej włożcie – oznajmiła, po czym wyszła z pokoju.

– Nie mogę jej dotknąć – powiedziałem, bo nie mogłem jej dotknąć.

– My z Janem sobie poradzimy.

Patrzyłem w okno, kiedy ją ubierali. Tylko na sekundę spojrzałem na moją Celinę. Na jej ciało... w samej bieliźnie. Takie doskonałe jeszcze przed chwilą, takie piękne. Długie palce, cudowne włosy.

Ciało, którego nigdy już nie dotknę i które już nigdy nie odpowie na mój dotyk.

Podobno ciało się nie liczy, ale bez niego nas nie ma. Bo jak mam jej dotknąć, nawet jeśli czuję jej obecność tuż obok? Jak?

Kiedy już ją ubrali i położyli na łóżku, przyjechał karawan. Najpierw zapachniało wódką, później papierosami, a na końcu weszło dwóch mężczyzn o czerwonych nosach i czerwonych rękach, w czarnych garniturach. Mieli ze sobą nosze i prześcieradło. Maria Rosa pochyliła się nad łóżkiem i pocałowała Celinę w czoło.

Kiedy wyszła z pokoju, ja też pochyliłem się nad Celiną.

Dotknąłem jej prawej dłoni zewnętrzną częścią mojej dłoni. Musnąłem jej skórę, jej długie, brązowe, doskonałe palce. Było strasznie, ale nie aż tak strasznie.

– Dlaczego, Celino, dlaczego tak mi się wymknęłaś, dlaczego uciekłaś z mojego świata? Dlaczego tak... ostatecznie. – Odwróciłem się do drzwi i jeszcze tylko raz spojrzałem na tę cudowną istotę, której już nie było. – Kocham cię – wyszeptałem, ale niemal zupełnie bezgłośnie.

Słowa nic już nie znaczyły. Celina umarła.

Widziałem kątem oka, jak karawaniarze podnieśli Celinę i położyli jej ciało na noszach. Zszedłem do kuchni, gdzie przy stole stała Maria Rosa. Objąłem ją, zamknąłem ją w swoich ramionach, i powiedziałem, że najgorsze już się stało i że nic gorszego stać się już nie może.

Nic nie odpowiedziała.

Nosze z Celiną pojawiły się w przedpokoju. Pod prześcieradłem rysował się jej kształt. I nagle, być może na skutek zbyt gwałtownego ruchu pracowników zakładu pogrzebowego, dłoń Celiny wysunęła się spod prześcieradła.

Na przegubie lśniła bransoletka, z którą Celina się nie rozstawała. Gwiazdy zakłete w wiecznej nocy.

Już nigdy nie poczuję ciepła tych palców – uderzyła mnie ta myśl.

Panowie wyszli, trzasnęły drzwi. Zostaliśmy w domu niby we czwórkę, ale każde osobno. Wtedy nie widziałem jeszcze tego, co dostrzegła moja matka. Maria Rosa całkowicie posiwiła.

Rozdział 87. Asia

Wtedy

(z pamiętnika Asi)

O śmierci Celiny dowiedziałam się wieczorem we Wszystkich Świętych.

Zadzwoił do mnie siwy sąsiad Marii Rosy, pan Jan. Ten sam, który rozdzielał mnie z dziewczynami z klasy w trakcie pamiętnej bójki. Andrzej go poprosił.

Powiedziałam matce, co się stało, zabrałam Dukę i ruszyłam przed siebie. Nie wiedziałam nawet, czy powinnam do nich iść. Miał być ślub, a będzie pogrzeb.

Czułam, jak pęka mi serce. Na samą myśl o Andrzeju robiło mi się słabo. Jak on to zniesie? Mieliśmy tyle planów z Celiną w roli głównej. Jak zniesie tę stratę Maria Rosa?

Teraz nie ma już nikogo. W tym, co się wydarzyło, nie widziałam żadnej sprawiedliwości ani sensu.

Już nie zaśpiewam Ave Maria na ich ślubie.

Najpierw minęłam dom Marii Rosy. Nie paliły się światła. Następnie dotarłam pod dom Andrzeja. Zadzwoiłam i czekałam. Mama Andrzeja otworzyła drzwi i pozwoliła mi wejść.

Andrzej i Maria Rosa siedzieli przy stole w pokoju. Andrzej palił papierosa; nieczęsto widywałam go palącego.

– Aisza... – powiedział, wstał i przytulił mnie na powitanie.

– Jak to się stało? – zapytałam i rozpłakałam się.

Nikt inny nie płakał. Było tak jakoś strasznie cicho i dziwnie.

– Celina była bardzo chora. Zawsze wam mówiłam, że jest bardzo chora. To musiało się stać – powiedziała zimnym głosem Maria Rosa.

– Nie wiedziałam, że była chora aż tak... – wyszeptałam, a mama Andrzeja podała mi chusteczkę do nosa, niebieską, chyba należącą do mojego przyjaciela.

– Co komu pisane...

– Ona miała dopiero osiemnaście lat, była taka cudowna, śliczna i mądra – mówiłam.

– Taka właśnie była – przytaknęła Maria Rosa. – Ale już jej nie ma i nie będzie.

Kiedy to powiedziała, dostrzegłam w niej jakąś zmianę. Ta zmiana była porażająca. W pierwszej chwili nie wiedziałam, o co chodzi.

A potem to zobaczyłam. Maria Rosa posiwiała. Całkowicie. Była biała, i tylko ciemne oczy świadczyły o tym, że jeszcze istnieje. Były puste.

Rozdział 88. Andrzej

Wtedy

Pogrzebu Celiny w zasadzie nie pamiętam.

Byłem tam, ramię w ramię z Marią Rosą. Ksiądz czytał pełen nadziei fragment z Księgi Hioba:

Któż zdoła utrwalić me słowa,
potrafi je w księdze umieścić?

Żelaznym rylcem, diamentem,
na skale je wyryć na wieki?

Lecz ja wiem: Wybawca mój żyje,
na ziemi wystąpi jako ostatni.

Potem me szczątki skórą odzieje,
i ciałem swym Boga zobaczę.

To właśnie ja Go zobaczę,

Moje oczy ujrzą, nie kto inny*;

Przed ceremonią stałem chwilę w kaplicy, opierając się o trumnę mojej narzeczonej. To, że umarła, wydawało mi się nierealne. Realne za to wydawało mi się to, że odczuwałem jej obecność. Jakby cały czas stała obok mnie. Gdziekolwiek nie spojrzałem, widziałem właśnie ją.

I w pierwszej chwili pomyślałem, że już zawsze tak będzie. Że ja po prostu nie pozwolę jej odejść. Szukałem jej śladów w swoim pokoju, w otwartym tomiku poezji, na poręczy przed jej domem. W moim dogaszonym papierosie. Chciałem te ślady zbierać i trzymać w szkatułce, żeby o niej pamiętać. Po pogrzebie codziennie wychodziłem na spacer naszymi śladami. To tutaj zatrzymaliśmy się latem, pod tym drzewem, to na tej łące opowiedziałem Celinie o ojcu, a ona wszystko zrozumiała. Przy stawach pocałowałem Celinę pierwszy raz. Kiedy przechodziliśmy właśnie obok tego domu, potknęła się i prawie upadła. To było jej ulubione drzewo, ogromny dąb. Moja Celina była obecna wszędzie, w całej przestrzeni dookoła mnie – ale nie fizycznie, a jej fizyczności brakowało mi najbardziej.

Szukałem jej we śnie, ale wcale mi się nie śniła. Pierwszy sen przyszedł mniej więcej po dwóch tygodniach.

„Mówią, że umarłam, ale u mnie wszystko dobrze, co u ciebie?” – z taką emfazą na „co u ciebie?”. Tak mi się przyśniła. Sen był przyjemny, a Celina była w nim pełna życia i niestraszna.

Prawie codziennie widywałem Marię Rosę. Działo się z nią coś niedobrego. Od rana do wieczora słuchała muzyki, miałem wrażenie, że nic nie je, zrobiła się przeraźliwie chuda. O ile wcześniej, kiedy żyła Celina, nie miałem wrażenia, że jestem w jej domu mile widzianym gościem – raczej wstrętnym, namolnym intruzem – o tyle teraz cały czas mnie zapraszała. Zapominała, że pracuję, że sam z trudem sobie radzę, i wymagała mojej obecności. Nie chciałem jej tego odmawiać. Była twarda, ale coś z jej wnętrza krzyczało. I bałem się, że może się rozpaść.

Obiecywałem więc, że zawsze może na mnie, moją matkę i Aiszę liczyć.

Maria Rosa mówiła, że nikogo oprócz mnie nie potrzebuje, że jeśli mogę do niej przychodzić, to będzie wdzięczna za moją obecność, obydwójce czuliśmy bowiem do Celiny coś wyjątkowego.

Wcześniej wydawała się tego nie zauważać.

Nigdy też nie myślałem, że dotknie mnie taka pustka. Matka wypowiadała słowa, których nie byłem w stanie przyjąć. Że mam dwadzieścia sześć lat, że w tym wieku serca mają wyjątkową zdolność do regeneracji. Była taka praktyczna, że nie mogłem jej słuchać.

Nie znaliśmy się z Celiną długo, ale tych kilka miesięcy przeżyliśmy intensywnie i... świadomość końca naszych wspólnych planów bolała mnie bezustannie.

Kiedy bolała mnie mniej, to robiłem sobie wyrzuty, że nie cierpię tak mocno, jak powinienem, a kiedy cierpiałem mocno, czekałem na moment, kiedy ból minie. Wcześniej, za sprawą ojca, cierpiałem fizycznie, teraz bolała mnie śmierć dziewczyny, którą kochałem i z którą nikt nie mógł się równać. Nigdy już nie poznam takiej kobiety, żadna nie będzie taka mądra, błyskotliwa i taka piękna. Nie ma już na świecie drugiej takiej istoty.

Ale nie płakałem. Nie potrafiłem płakać.

To była sobota, późny wieczór. Wcześniej widziałem się z Aiszą. Poszliśmy na spacer z Duką. Aisza działała na mnie jak balsam i przypominała mi Celinę. Przecież tak dużo czasu spędzaliśmy we trójkę. Kiedy leżałem przed telewizorem, bardziej wpatrując się w ekran, niż oglądając, zadzwoniła Maria Rosa.

Miała przeraźliwie smutny głos. Poprosiła, żebym przyszedł, i przepraszała, że dzwoni tak późno. Szybko ubrałem się w byle co i nawet – nie mówiąc matce, że wychodzę – poszedłem do Marii Rosy. Czułem, że jest między nami jakieś napięcie. Wcześniej miałem wrażenie, że mnie nienawidzi, ale po śmierci Celiny zrobiła się życzliwa i zachowywała się tak, jakbym był jedyną osobą na świecie, która jest w stanie ją zrozumieć.

Otworzyła mi drzwi w czarnym, jedwabnym szlafroku. Usiadła przy fortepianie, na którym stał kieliszek wina. Zaczęła cicho grać i śpiewać. Nigdy wcześniej tego przy mnie nie robiła.

– I Don't Know How To Love Him – to z rock opery Jesus Christ Superstar, piosenka wydana piętnaście lat temu. Celina ją uwielbiała, nie wiedziałeś?

– Jest piękna, szczególnie w twoim wykonaniu. To zaszczyt, że zechciałaś... zaśpiewać dla mnie i zagrać – powiedziałem i usiadłem na kanapie w salonie Marii Rosy.

– A dla kogo mam grać? Staram się muzyką zagłuszyć ból. I to działa, tylko musi być wystarczająco głośno. A jeśli jest jeszcze wino... wiesz, jak jest.

Maria Rosa nigdy wcześniej nie zachowywała się tak normalnie, w tej chwili nie była zatroskaną panicznie matką, ale kobietą.

Tylko że ja w ostatnim czasie nie widziałem w niej kobiety i nie mogłem się do tego przyzwyczaić.

Nie wiedziałem, czego innego może ode mnie chcieć, prócz duchowego wsparcia.

– Posiedź ze mną trochę, dobrze? Kiedy cię widzę, to trochę tak, jakby i ona tu była.

– Śniła ci się? – zapytałem.

– Nie... – odpowiedziała.

– Mnie tak. – Wydawało mi się, że w jej oczach zobaczyłem ledwie dostrzegalny błysk zazdrości.

– Jak ci się śniła?

– Powiedziała: „Mówią, że umarłam, ale u mnie wszystko dobrze, co u ciebie?”. Cała Celina, zawsze zainteresowana tym, co miałeś do powiedzenia...

– Moje życie... Szukam dla niego jakiegoś sensu, Andrzej, ale nie znajduję. Nie mam już po co żyć. – Maria Rosa wstała od fortepianu, wzięła kieliszek wina i uklękła przede mną.

– Przytul mnie, bo zwariuję – powiedziała, a ja ją przytuliłem. – Zostań dziś ze mną, dobrze? – poprosiła, patrząc mi w oczy.

– Mogę spać na kanapie – zaoferowałem.

– Nie, nie na kanapie...

– Upiłeś się. Położę cię spać.

– Nie chcę spać.

Czułem, jak jej ręce błędzą po moich ramionach. Odsunąłem się. Wstałem. Podniosłem Marię Rosę z dywanu i położyłem ją na kanapie. Kiedy przykrywałem ją kocem, a później wychodziłem, słyszałem w uszach tylko jedno słowo, które bezustannie powtarzała: „zostań”.

Wracałem do domu, dziękując, że wyszedłem, i za rześki, wczesnozimowy wiatr, który smagał mnie po twarzy. Czułem, jakby to była Celina. Jakby pytała, co, do cholery, robię, i co sobie wyobrażam.

* Hi 19, 23–27.

Rozdział 89. Maria Rosa

Teraz

Bardzo się denerwowałam. Przygniatała mnie samotność, do której wydawało mi się, że już przywykłam. Więcej myślałam o przeszłości niż o tu i teraz, ale to musiało wynikać z wieku. Starsze osoby chętnie wracają do przeszłości. Tylko że ja nie wracałam tam chętnie.

Gdybym mogła o niczym nie pamiętać. Gdybym zamiast głuchoty otrzymała do dźwigania demencję.

Czasami myślałam, że miałam w życiu wyjątkowego pecha, że wszystko w nim potoczyło się nie tak, że tylko początki były dobre. Miałam wielkie perspektywy i otwarte wszystkie drzwi. Co zrobiłam nie tak?

Wiedziałam, co zrobiłam nie tak – za bardzo się poświęciłam. Gdybym nie wyszła za męża, nie urodziła córki, nie mogłabym mojej rodziny utracić. Czasem lepiej nie mieć rodziny – ale skąd miałam wiedzieć, jak parszywy los mnie czeka?

Dziś widziałam Jana. Jan też już się chyba kończył. Zrobił się jeszcze szczuplejszy niż zwykle. Był ode mnie starszy pewnie ze dwadzieścia lat.

Janowi nic ani nikt już nie mogło zaszkodzić.

Przyszedł z propozycją, że zrobi mi zakupy. Zgodziłam się. Ufałam mu, choć znając jego przeszłość aż za dobrze, może nie powinnam. On też mi ufał. Miałam nawet klucze do jego domu. Tylko ja. Jan nie miał nikogo innego.

Ludzie się nie zmieniają, ale jak od lat tak na niego patrzyłam, to jednak widziałam, że stał się kimś innym. Ot tak. A może to czas go przeobraził w tego spokojnego, spolegliwego staruszka z białymi włosami, który wzbudzał takie zaufanie w okolicy i do którego lgnęły dzieci. Nawet ta nasza Julka. Zaraz, zaraz, czemu nazwałam ją „naszą Julką”? Bo się do niej przyzwyczaiłam. Dzięki obecności Julii znów poczułam powiew radości i młodości w moim domu. Przez lata przecież, zanim ona zaczęła przychodzić, nikt bliski sercu mnie nie odwiedzał. Nie chciałam tego.

Ja nie lubiłam ludzi, już nie lubiłam. Tylko że ta Julka była jak promień, który oświetla ciemność. Diabelnie inteligentna, dociekliwa i bezpośrednia.

Być może czeka ją dobry los. No właśnie, ją czeka dobry los... Same słoneczne dni.

Jan usiadł przy stole i pozwolił zaparzyć sobie herbatę. Opowiedział mi, że dziewczyna się znalazła. Widziałam całą akcję w telewizji, czy on myśli, że ja już nic a nic o świecie nie wiem?

– Dobrze, że ją znaleźli, tak jakoś strasznie było myśleć, że ktoś ją porwał z naszej ulicy i że może stała jej się krzywda. Martwiłem się o naszą Julkę. I jeszcze myślałem o jednym, Mario. – Wypił spory łyk herbaty, nie wyjmując z kubka łyżeczki, co wcale mi się nie spodobało. Ale co ja mogłam zrobić? Manier nikogo na stare lata uczyć nie będę.

– O czym to tak myślałeś?

– O przeszłości. Że wtedy ktoś te dziewczynki, i teraz... Po trzydziestu latach znów taka historia. Ja nigdy nie wierzyłem w przypadki.

– A ja wierzę tylko w przypadek i w nic więcej. Spójrz na moje życie.

– Ale ja nie mówię teraz o twoim życiu, ale o tych dziewczynkach. Czy to nie dziwne, że na przestrzeni lat na jednym osiedlu zginęło kilkoro dzieci?

– Jak sam powiedziałeś: na przestrzeni wielu lat... Rzeczy się dzieją, ot tak, po prostu. Odnaleźli ją, prawda? Więc po sprawie.

– No niekoniecznie po sprawie, bo nie mają sprawcy. Sprawca nadal gdzieś tu jest. Zwyczajnie mi się to nie podoba. I myślę o tym Andrzeju, że on się nie przyznawał...

Spojrzałam na Jana. Pomyślałam o Andrzeju. Zabolało.

– Mnie ten Andrzej zniszczył. Moją córkę też. Ona by nie umarła, gdyby nie on, przynajmniej nie tak szybko. Nie będę tego człowieka żałować.

– Pamiętam, że po pogrzebie Celiny zbliżyliście się do siebie z Andrzejem.

– Ja też wiele rzeczy pamiętam i o nich cały czas nie przypominam. Niech duchy przeszłości odejdą w zapomnienie. – Spojrzałam na Jana twardo.

– Amen – odpowiedział, trochę zbyt pokornie jak na siebie. Dopił herbatę i sobie poszedł.

Nerwowość wróciła. Może powinnam opowiedzieć komuś o Janie? Może powinnam opowiedzieć o tym, co zrobił?

Rozdział 90. Julia

Teraz

Miałam teraz więcej czasu na przygotowywanie mojego dziennikarskiego projektu niż kiedykolwiek wcześniej. Któreś z rodziców zawsze odwoziło mnie do szkoły i odbierało. Marlena nadal była w szpitalu, a ja jakoś nie miałam nastroju na spotkania z innymi koleżankami. Pozostały nauka, pieszczenie kota, który nie za bardzo to lubił, próby pogodzenia się z ojcem i długie rozmowy z matką, która zawsze starała się wszystko i wszystkich ugłaskać.

Powiedziała, że nawet rozumie moją koncepcję, że aresztowano i skazano niewinnego człowieka, i że był taki film Życie za życie z Kevinem Spaceym (zanim został oskarżony o molestowanie seksualne), który wyraźnie wskazywał, jak niewłaściwą karą jest kara śmierci. Bo co, jeśli ludzie się pomylą? Wtedy nie ma już odwrotu. Podobna sytuacja miała miejsce w przypadku Tomasza Komendy, który spędził w więzieniu wiele lat za gwałt i morderstwo nieletniej, których nie popełnił. Miał szczęście, że nie było już wtedy kary śmierci, bo zadośćuczynienie też pewnie przyszłoby po czasie.

Udało mi się nawet telefonicznie porozmawiać z tatą wuja Marcina. On pamiętał sprawę Andrzeja Kołtuna, częściowo się nią nawet zajmował. Podpytywałam, jak to z tą karą śmierci wtedy było, a on mi na to, żebym zobaczyła sobie, jeśli mi rodzice pozwolą (on naprawdę myśli, że w wieku czternastu lat potrzebuję jeszcze takiego pozwolenia?), Czerwonego pająka. To historia Karola Kota, Wampira z Krakowa, oskarżonego o zamordowanie dwóch osób i próbę zabicia dziesięciu kolejnych. Ten Kot miał dwadzieścia dwa lata, kiedy go powieszono. I choć to było wcześniej niż w osiemdziesiątym piątym roku – bo w sześćdziesiątym ósmym – to ojciec mojego chrzestnego sugerował, że cały scenariusz wykonania wyroku mógł być podobny. Powiedział mi, że to nie jest scenariusz, który chciałby opowiadać.

Poszukałam filmu i obejrzałam. Przejmujące i mroczne kino. Sama egzekucja przeprowadzona została niehumanitarnie. Wychodzi na to, że

nie uprzedzali więźnia o dniu wykonania wyroku. Wpadali grupą do celi, kneblowali osadzonego, wyprowadzali do podziemi, stawiali na zapadni, która była w podłodze. Wiązali ręce z tyłu. Wyjmowali knebel. Pytali, czy chce zapalić i czy ewentualnie ma inne ostatnie życzenie i – jeśli nie chciał fajki i nie miał ostatniego życzenia – to znów zakładali knebel, worek na głowę i błyskawicznie wciskali zapadnię. Zdejmowali wisielca, stwierdzali zgon i wkładali ciało do czekającej już w korytarzu prostej trumny, którą też natychmiast zabijali gwoździami.

Tak teraz wyobrażałam sobie koniec Andrzeja Kołtuna. Okropny koniec – nawet dla najgorszego mordercy.

Zamierzałam w moim projekcie jasno zasugerować, że kara śmierci jest nieludzka, niehumanitarna i okrutna i że jeśli gdziekolwiek na świecie jest jeszcze stosowana, to ktoś powinien ten proceder zakończyć. Na pewno rozgorzeje dyskusja, bo u mnie w klasie jak nic znajdą się i zwolennicy kary śmierci. Zastanawiałam się, co myślała o niej teraz Marlena, po tym całym zdarzeniu z porwaniem, ale na razie nie chciałam jej o to pytać.

Chciałam, żeby Marlena znów była sobą. Mama mówiła, że na pewno odzyska siły i wszystko wróci do normy. Ja nie byłam tego taka pewna. Gdyby to mnie ktoś trzymał przez wiele dni w ciasnej skrzyni, bił i straszył, i gdybym nie miała żadnej pewności, że uda mi się ujść z życiem, to chyba tak łatwo bym się nie pozbierała.

Kiedy tego popołudnia pracowałam nad moim projektem i przypomiinałam sobie film o Wampirze z Krakowa, nie wiedziałam jeszcze, że wieczór przyniesie przerażający i nierealny przełom w sprawie Marleny.

Rozdział 91. Asia

Wtedy

(z pamiętnika Asi)

W tydzień po pogrzebie Celiny Andrzej przestał przychodzić do szkoły.

– Polonista jest na zwolnieniu – powiedziała nasza wychowawczyni. – Zmarła jego narzeczona.

W tych trzech słowach konstytuowało się całe tu i teraz Andrzeja Kołtuna, pamiętniczku.

Nie był już naszym nauczycielem, ale kimś, komu przedwcześnie zmarła narzeczona. Był takim niedoszłym wdowcem. Tylko że wdowiec kojarzy się z kimś starym.

Nie mogę powiedzieć, że nie dotknęła mnie śmierć Celiny. Dotknęła mnie bardzo, ale jakoś tak los mnie oszczędził, bo choć czułam smutek, to nie był on paralizujący. Taki paralizujący ból czułam tylko raz – gdy w wieku dziewięciu lat pożegnałam moją ukochaną babcię. Napisałam wtedy wiersz i wrzuciłam jej do grobu. Coraz słabiej ją sobie przypominam, ale czczę każdą iskrę pamięci, która tli się we mnie, i zamierzam na zawsze zatrzymać obraz babci w sercu.

W jej portfelu było moje małe zdjęcie. I żadnego innego. Zrozumiałam wtedy, że dla babci byłam najważniejsza. A ona była najważniejsza dla mnie. I zrozumiałam jeszcze coś – że najbardziej cierpi się właśnie wtedy, kiedy umiera najważniejsza dla ciebie osoba.

Czy Celina była najważniejsza dla Andrzeja? Pewnie tak.

Przypomniałam sobie ten wiersz. Wiersz, który pokazał mi Andrzej kilka miesięcy wcześniej i z którego nic wtedy nie rozumiałam, ale i tak nauczyłam się go na pamięć.

Zgubiłem się w nocy bez światła

twoich powiek, a kiedy ta noc mnie ogarnęła

Ponownie się narodziłem: Byłem panem własnej ciemności

Zbliżyć się do drugiego człowieka – to ryzykowne. Możemy zatonać w jego mrocznych zakamarkach, bo nie każdy nosi w sobie tylko światło. Takie zgubienie się może być przyjemne, bo wiąże się z miłością, a miłość

zaślepia. Światłość kojarzy mi się z przejściem na drugą stronę, ze świetlistym tunelem. Po wyjściu z tunelu rodzisz się ponownie i być może wtedy jesteś w stanie zapanować nad własnym mrokiem. Będę musiała spisać to na osobnej kartce i podzielić się tym z Andrzejem. Jeśli jeszcze będzie miał ochotę czytać te moje bzdury. W obliczu jego tragedii być może przestanę być ważna. Tylko że tak nie powinno być. Jesteśmy przyjaciółmi.

PS Już wieczór, ale rozmawiałam dziś z Andrzejem. Zadzwoił i powiedział, że wszystko jest takie nierealne i że Maria Rosa cały czas go potrzebuje, i że on chce dawać jej wsparcie, ale nie ma na to siły, bo ona po prostu zrobiła się bardzo dziwna. Andrzej powiedział mi, zupełnie jakby rozmawiał z dorosłą osobą, że czuje, jakby ona pochłaniała całą jego energię, i że jest w niej gniew, i że nie wie, jak długo jeszcze wytrzyma jej ciągłe telefony i prośby, jej natarczywość. Ona chce, żeby on cały czas był przy niej.

PS2 Andrzej brzmiał inaczej niż zwykle – to oczywiste po tym, co się wydarzyło – ale wyczuwałam, że coś było mocno nie tak. A to, że Maria Rosa to manipulatorka, cóż – sama to wiem. Wcześniej Andrzeja nie znosiła, a teraz, jak nie ma Celiny, to jej się odmieniło. Ludzie są dziwni.

Rozdział 92. Julia

Teraz

Matka wbiegła do mojego pokoju rozdygotana. Ostatnio tak zdenerwowaną widziałam ją po zaginięciu Marleny. Co znowu się stało? – pomyślałam.

– Ojciec dzwonił, Julia. Było logowanie z telefonu Marleny. Ktoś go wreszcie włączył!

Odłożyłam książkę i usiadłam na łóżku.

– Skąd to logowanie? Gdzie jest telefon?

– No właśnie, nie uwierzysz! – Usiadła obok mnie i złapała mnie za rękę.

– Mamo, no powiedz?

– W domu obok...

– U nowych sąsiadów? – Traciłam cierpliwość.

– Nie, logowanie telefonu było... z domu pana Jana.

– To jest niemożliwe. On ma dziewięćdziesiąt lat. To najspokojniejszy człowiek... – wyszeptałam tylko i spojrzałam na matkę.

– Już tam jadą. Może nawet już tam są. Policja.

– Mamo, chodźmy też, usiadzimy u Marii Rosy, cokolwiek, byle tylko nie siedzieć w domu w takiej chwili!

– Ale Julia, a jeśli to on? Przecież tyle razy do niego chodziłaś...

– Zawsze był taki miły! Mamo, to nie może być on. To jakaś pomyłka! – Byłam zaszokowana i nie myślałam racjonalnie.

Ten stary człowiek, ten miły ogrodnik, który raczył mnie ziółkami i opowiadał o osiedlu? Niemożliwe!

A jednak to u niego zlokalizowali telefon Marleny.

– Jeśli chcesz, to pójdziemy do pani Marii Rosy. Nie wiem, czy nam otworzy, ale...

Wiedziałam, że matka jest ciekawska i że jak sąsiedzi kłócą się za ścianą, to przykłada do niej szklanke, żeby lepiej słyszeć. Robiliśmy tak razem i to był nasz sekret.

Zbiegłyśmy po schodach i prawie rozdeptałam kota. Zamiauczał groźnie, a ja po stokroć go przeprosiłam. Narzuciłyśmy na siebie kurtki

i zamknęłyśmy za sobą drzwi.

Pod domem pana Jana stał wóz policyjny. Ktoś może pomyśleć, że staruszkowi coś się stało. W oknie Marii Rosy paliło się światło.

Zadzwoiłam do drzwi, w myślach zaklinając ją, żeby otworzyła. Zgrzytnął zamek.

– Co was do mnie sprowadza o tej godzinie? – zapytała zmęczonym i trochę zachrypniętym głosem, jakby była przeziębiona.

– Stało się coś bardzo dziwnego. Możemy wejść, pani Mario? – zapytałam.

– No wejdźcie, znam was, to i was wpuszczę, bo obcego do domu to bym nigdy nie wpuściła. Strach. – Zwolniła łańcuch i weszłyśmy z mamą do środka. – Kot mi trochę choruje, a i ja też coraz gorzej się trzymam – powiedziała i zwiększyła głośność w aparacie słuchowym. – Co was do mnie sprowadza?

– Kiedy porwano Marlenę, miała przy sobie telefon. Raz został włączony, a później już cisza. Przed chwilą okazało się, że ktoś ponownie go uruchomił i telefon został zlokalizowany.

– Gdzie? No mów, dziewczyno!

– No właśnie... w domu obok, u sąsiada, pana Jana.

Marii Rosie zaczęły trząść się ręce. Usiadła ciężko, wręcz zwała się na krzesło. Przestraszyłam się, że krzesło się złamie, a ona wyląduje na podłodze.

– A więc to on? Kto by pomyślał! Może teraz dziewczyna sobie coś przypomni.

– Ale pan Jan jest taki miły! – powiedziałam bez namysłu.

Maria Rosa spojrzała na mnie. Poczułam twardość tego spojrzenia.

– Ty, dziecko, świata nie znasz. On miły? Może na starość się uspokoił, przynajmniej tak można by pomyśleć. Ale miły to on nigdy nie był. Mogłabyś zapytać o to Barbarę, jego świętej pamięci żonę. Tyle sińców, co on jej zrobił, tyle zdrowia, ile on jej zabrał! Okrutny z niego starzec... ale żeby za dzieci się brał?

– Ale nigdy pani nie mówiła o nim w ten sposób – próbowałam w swojej naiwności protestować.

– Ja nie wracam do przeszłości. Sąsiad z niego był dobry, nie dalej jak wczoraj zrobił mi zakupy. Ale człowiek to był do cna zły.

Moja matka słuchała opowieści Marii Rosy z szeroko otwartymi oczami. Ja też. Bo chociaż wiedziałam, że Maria Rosa musi mieć rację i że telefon

Marleny sam nie zawędrował do domu Jana Ogródnika, to czułam, że coś tu jednak nie pasuje. Że coś tu musi nie pasować.

Kiedy już bardzo późnym wieczorem do domu wrócił tata, usłyszałam tylko, jak z niedowierzaniem mówi, że telefon rzeczywiście tam był, pod wersalką w pokoju, i że nigdy jeszcze nie był zmuszony aresztować kogoś w tak podeszłym wieku. Podobno Jan Ogródnik prawie dostał zawału i musieli zawieźć go na pogotowie.

Dostał prawie zawału, bo został zdemaskowany? Czy też prawie umarł, bo... ktoś go wrabiał w porwanie?

Byłam pewna, że tej nocy nie zasnę, ale ku własnemu zdziwieniu odpłynęłam w momencie, w którym przyłożyłam głowę do poduszki.

Rozdział 93. Andrzej

Wtedy

Po śmierci Celiney stopniowo traciłem siły. Nie chciało mi się rano wstawać. Do tego strasznie się przeziębilem i matka z całym oddaniem opiekowała się mną od tygodnia. Nie mogłem znieść presji Marii Rosy. Jej ciągłych telefonów. Czułem się prześladowany.

– Andrzej, ta kobieta oszalała. Mam ci przekazać, że ona już nie będzie ci się naprzykrzać.

– Nic mi już od niej nie przekazuj, dobrze?

– Dorosła kobieta. Ja wszystko rozumiem, dotknęła ją tragedia, ale czy my nie staraliśmy się pomóc? Cały czas u niej przesiadywałeś, aż to już nawet niesmaczne było. – Matka zawiesiła głos.

– Dla mnie też. Nie będę już do niej chodził. Nie umiem jej pomóc. Muszę pomóc sobie. Ona zasysa mnie w czarną dziurę swojego cierpienia. W jej domu wszędzie czai się śmierć. Jak tam wchodzę, to tak przeraźliwie głośno gra muzyka.

– Porozmawiam z nią, ale trzeba dać jej czas. Musi się jakoś pozbierać.

– Ona mówi, że nie ma już po co żyć. Cały czas się o nią boję.

– A ja boję się o ciebie.

Matka podsunęła mi herbatę pod nos. Nie mogłem opowiedzieć jej o wszystkim, co działo się u Marii Rosy. O tym, co starała się zrobić. O tym, że bałem się u niej nocować, bo przychodziła do mnie niby tylko po pociechę. Zrozumiałem dość szybko, o jaki rodzaj pociechy jej chodzi. I czułem tylko odrazę.

Ja kochałem Celinę. Poczułem, jak znów ogarnia mnie gorączka. Gdybym mógł mieć tę gorączkę wystarczająco długo, to może – obudziwszy się za miesiąc – nie czułbym już tego cierpienia.

Tej pustki. Tego bólu.

Gdybym nie miał tej gorączki, to może wszystko potoczyłoby się inaczej – dla mnie, Aiszy i tej małej dziewczynki.

Rozdział 94. Asia

Wtedy. 30 listopada 1985

(z pamiętnika Asi)

Dziś miałam spotkać się z Maćkiem. Nawet powiedziałam o tym matce. Zareagowała spokojnie. O osiemnastej na szkolnym boisku, zaraz przy górcie. Mieliśmy pospacerować z Duką, ale zamiast tego musiałam zostać z bratem. Najpierw byłam na niego zła, a jeszcze bardziej na matkę, że akurat musiała wziąć tę dodatkową zmianę, jak ja jestem umówiona. Powiedziała, że robi to dla mnie, bo chce, żebym tego lata pojechała na kolonię, i że jest możliwość jechać od niej z pracy, ale chce dorobić, bo na taki wyjazd to każdy grosz się przyda. Zawsze marzyłam, żeby pojechać na kolonie. Dotychczas byłam na koloniach w Łącku, tylko raz, z TPD. Bardzo mi się podobało. Matka się stara i nie mogę się złościć, ale Maciek na pewno będzie rozczarowany. Matka, wychodząc, powiedziała ze śmiechem, że jak kocha, to poczeka. Zamiast wieczoru z Maćkiem mam więc wieczór z bratem.

Zresztą, nie jest tak źle, Kocham tego gówniarza. Pogramy w kartofla.

Głupi wpis, pamiętniczku, ale czasami i taki jest potrzebny. Wpis o zmarnowanym wieczorze Aiszy.

Rozdział 95. Julia

Teraz

Ojciec cały czas gada o tym, jak to w dzisiejszych czasach trzeba być ostrożnym, bo nawet miły sąsiad może okazać się niemiłym człowiekiem.

Robię swoje wtręty i mówię, że z ostrożnością nie można też przesadzać, bo i tak żyjemy już w zbyt ostrożnym świecie. Z ostrożności ludzie wycinają nawet w parkach drzewa, na których przez lata bawiły się dzieci i wtedy jakoś nie spadały, a teraz mają z drzew spadać i od razu łamać kręgosłupy.

Matka patrzy na mnie i widzę, że mnie wspiera, bo tak właśnie uważa, a ja tak uważam trochę dlatego, że wyssałam to z jej mlekiem. Karmiła mnie piersią przez dwadzieścia siedem miesięcy.

– Ważne, żeby mieć telefon i być w kontakcie – powiedział ojciec, jakby zapomniał, że Marlena, kiedy ją porwali, też miała telefon. Posiadanie telefonu nie gwarantuje bycia w kontakcie w sytuacji kryzysowej. Jakby mnie ktoś chciał odebrać telefon na ulicy, to pewnie zrobiłby to w dwie minuty.

– Kiedyś, jak mówi mama, ludzie nie byli tacy ostrożni. Dzieci chodziły samopas. Te dzieci to wy, i co, dożyliście nawet czterdziestki – powiedziałam, zając obiad. Sobotnie obiady to była świętość, chyba że ojciec akurat pracował.

– Niektórym się udało, innym nie. Patrz nawet na te dwie dziewczynki z naszego osiedla. Chodziły samopas, i jedna, i druga. Ostatnio nawet zaglądałem do tej sprawy, na fali aresztowania Jana Ogródnika. Ta Joanna wyszła z psem, została napadnięta dwieście metrów od domu, pod szkołą. Druga dziewczynka, Zuzia, chodziła sama do szkoły przez las. Nie wmawiaj mi więc, że dziecko puszczane samopas jest bezpieczne.

– Może nie przy obiedzie. – Mama się uśmiechnęła takim sztucznym, mocno rozciągającym usta uśmiechem.

– Tato, co mówi pan Jan? O tym telefonie?

– Na razie niewiele mówi, bo leży w szpitalu i lekarze chronią go, jakby był wcześniakiem.

– To chyba dobrze, takie jest ich zadanie, to starszy człowiek – powiedziała mama.

– To jest przestępca!

– A jeśli znalazł ten telefon? A jeśli ktoś mu go podrzucił? – zapytałam.

– O, detektyw Zawada się odezwała. Nasza mądralińska.

– Nie kłóćcie się – powiedziała mama i postawiła na stole swój wyjątkowo dobry sernik. Jedyne ciasto, które umiała zrobić.

– Gdyby Marlena sobie coś przypomniała... Taki stary, a jeszcze udało mu się ją zawlec do tej zrujnowanej fabryczki. Sam tego nie rozumiem. Wygląda to tak, jakby los się sprzyścił i bronił winnego. Niepamięć Marleny, telefon u pana Jana.

– Pan Jan ma dziewięćdziesiąt lat. Wiem, że jest w dobrej kondycji, ale ostatecznie to staruszek, który ledwo się schyla. Wdowiec od wielu, wielu lat. Jego żona zmarła jakoś na początku lat osiemdziesiątych – włączyła się do rozmowy mama.

– Podobno ją bił, i to bardzo – odezwałam się, nakładając na talerz sernik, co w każdym domu mogłoby wydać się szalone, ale u nas o wielu sprawach po prostu się rozmawiało.

– Skąd masz takie informacje? – Ojciec spojrzał na mnie podejrzliwie.

– A widzisz, mam je od Marii Rosy. Może warto byłoby z nią porozmawiać, tylko tak, żeby jej nie zdenerwować, bo nie jest w najlepszej kondycji. To też starsza, przewrażliwiona osoba.

– Wiedziałaś o tym? – Ojciec spojrzał surowo na matkę.

– Od kilku dni o tym wiem. Byłyśmy u Marii Rosy.

– Pozwalałaś jej do niego chodzić, wiedząc?

– Kiedy pozwalałam Julii do niego chodzić, jeszcze nie wiedziałam.

– Ja nie potrzebuję pozwolenia, żeby iść zająć się starszym sąsiadem! – wtrąciłam się.

– Raczej jeszcze potrzebujesz. Przypominam ci, że zaczniesz o sobie decydować, jak skończysz osiemnaście lat. Chyba że już skończyłaś, a ja znów o czymś nie wiem?

– Mam czternaście lat, ale faktycznie, o wielu rzeczach nie wiesz. Nie jesteś wystarczająco dociekliwy. – Wstałam, zabrałam resztkę sernika i poszłam do swojego pokoju.

Usłyszałam tylko, jak ojciec mówi do matki, że nie mogę się tak zachowywać, i co się ze mną w ogóle dzieje.

Co się ze mną dzieje? Straciłam do niego zaufanie. Nie słuchał mnie i tego, co mam do powiedzenia. Nie szanuje mojego zdania. Wcześniej wydawał mi się taki nieskazitelny, bohaterski, a teraz widzę w nim nieudacznika. To nawet nie on znalazł Marlenę. To sąsiad.

Rozdział 96. Julia.

Teraz

Marlenka jest już w domu. Przesiedziałam dziś u niej cały dzień. Oglądałyśmy kreskówki i leżałyśmy na kanapie. Mama Marleny podsuwała nam słodczyce i lody, i nawet pozwoliła pić coca-cole, którą Marlena uwielbia, a której moja matka w naszym domu nie toleruje (chyba że do wódki).

Marlena myśli, że to możliwe, że porwał ją pan Jan. Widywał nas. Gapił się. Machał do nas. I to u niego znalazł się jej telefon. Czy trzeba więcej? Czy pan Jan przyjmuje gości? Raczej tylko mnie. A ja chyba jej nie porwałam i nie podrzuciłam tego telefonu. Nie mogę się z nią nie zgodzić.

Widzę, jaką ona czuje ulgę na myśl, że znalazł się jej oprawca.

– Szkoda, że nie był młody i przystojny, wtedy mogłabym mieć syndrom sztokholmski – powiedziała mi i obiecałam sobie sprawdzić, co to znaczy, ale Marlena szybko mi wyjaśniła: chodzi o to, że czujesz wież z osobą, która cię krzywdzi. – I wiesz, co jeszcze? Ale to największy sekret i nie wolno ci wypalać, okej? – zapytała mnie i zobaczyłam, jak świecą jej się oczy.

– Ja się zakochałam. Zrozumiałam to, leżąc w szpitalu.

– W panu Janie? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Chyba jesteś głupia. W Adrianie. W człowieku, który tak bohatersko mnie uratował.

– On ma żonę – powiedziałam.

– Ma jedną, to może mieć i drugą. Spójrz na mojego ojca, na pewno zaraz się hajtnie. Ten Adrian to jest niezłe ciacho. Jest moim rycerzem.

– Ja nie twierdzę, że nie jest fajny i bohaterski, tylko jest żonaty i pewnie o piętnaście lat od ciebie starszy.

– To żadna różnica. Cztery lata na mnie zaczeka i voila. – Marlena zaczęła chichotać.

– Skoro tak uważasz.

– Ja też na niego zaczekam. No wiesz z czym. Z czystością. Matka już nie musi się martwić. To znaczy ona, oczywiście, nie wie, że kocham Adriana, ale sama go uwielbia za to, że mnie odnalazł.

Kiedy tak rozprawiała o miłości do mojego sąsiada, pomyślałam, że znów staje się sobą. Szaloną, otwartą i gadatliwą przyjaciółką. O traumie ostatnich dni przypominały tylko nieliczne sińce i mocno skrócone blond włosy. Spojrzenie przestało być nieobecne, było stalowe, ale pełne życia i nadziei.

– Chyba zacznę czytać wiersze, wiesz, dla niego – powiedziała, kiedy już wychodziłam, bo przyjechała po mnie matka.

– Poszukaj czegoś w necie. Kopalnia wierszy.

Uścisnęłyśmy się i zostawiłam moją przyjaciółkę.

Wszystko znów zaczęło się układać. Na szczęście.

Rozdział 97. Andrzej

Wtedy

O tym, że Aisza nie żyje, że została zamordowana na szkolnym boisku, dowiedziałem się od pedagoga, Iwony, pierwszego grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku.

– Wszystkich przesłuchują. To jest jakiś horror, Andrzej.

– To jest jakaś pomyłka. Aisza tu mieszka, wszystkich tu zna. Nikt by jej nie skrzywdził. To jest taka świetna dziewczyna...

– W szkole wszyscy płaczą. Takiego czegoś to ja nigdy nie przeżyłam. Żeby ktoś zabił dziecko.

– To jest jakaś pomyłka. Aisza żyje – powiedziałem. Naprawdę wierzyłem, że to jest pomyłka.

Ubrałem się i choć nadal czułem się chory, wsiadłem w samochód i pojechałem do szkoły. Na boisku nadal była policja, palacz, nauczyciele. Odwołano bowiem tego dnia lekcje i dzieciaki siedziały w sali gimnastycznej z wuefistami.

– Kim pan jest? – zapytał mnie stojący przy wejściu do szkoły policjant.

Wylegitymowałem się.

– Uczę języka polskiego. Co się wydarzyło? Jestem na zwolnieniu, dzwoniła do mnie koleżanka z pracy.

– Na terenie boiska znaleziono zwłoki uczennicy tej szkoły. Joanny Pejki.

– To jakaś pomyłka... – zdążyłem powiedzieć i straciłem świadomość.

Później dowiedziałem się, że od razu nie spodobałem się śledczemu, bo kto mdleje na wieść o czyjejś śmierci? No chyba że był z zamordowaną osobą bardzo związany albo sam coś jej zrobił.

Jezu, gdybym zabił Aiszę, to udawałbym, że jej śmierć jest dla mnie strasznym szokiem, ale przecież bym nie zemdlął. Zresztą, w tamtej chwili, w miesiąc po śmierci Celiny wiadomość tak porażająca pozbawiła mnie chęci do czegokolwiek.

Aisza. To nie tak miało wyglądać. To nie tak miało, kurwa, wyglądać, dziecko! Dziewczyno. Moja najzdolniejsza uczennico. Moja mała przyjaciółko.

Tego wieczoru matka zabrała mnie do szpitala psychiatrycznego. Kiedy wróciłem do domu, zacząłem podobno zachowywać się tak, jakby zarówno Celina, jak i Aisza żyły. Mówiłem o nich i planowałem to, co wydarzy się w najbliższej przyszłości.

Ten fakt też, już później, został zinterpretowany na moją niekorzyść.

Że wariat – a ja po prostu, po ludzku, całkowicie się załamałem.

Rozdział 98. Julia

Teraz

Wyczytałam, że Andrzej Kołtun leczył się psychiatrycznie. Że był w depresji. Od pani pedagog wiedziałam, że na miesiąc przed morderstwem zmarła jego ukochana – Celina Rosa.

Też pewnie skończyłabym w psychiatryku, gdyby mój ukochany umarł. Tyle że ja nie mam ukochanego. Ale może w wieku dwudziestu sześciu lat też będę miała.

Martwiłam się o Marię Rosę. Od aresztowania Jana dzwoniła do mnie często. Mówiła, że ma kołatanie serca i boi się udaru, choć brała jakieś dobre, drogie leki na rozrzedzenie krwi.

Powiedziałam, że chętnie bym z nią posiedziała i że zapytam matki, czy teraz, skoro znaleźli już osobę odpowiedzialną za porwanie Marleny, to będę mogła wyjść z domu, który w ostatnim czasie trochę, niestety, przypominał więzienie. Matka uważała jednak, że powinnam nadal trzymać się blisko domu (innymi słowy w nim siedzieć), dopóki wszystko się nie uspokoi i nie wyjaśni.

– Ona bardzo nalega, od wielu dni wydzwania, to do niej niepodobne. Na co dzień jest bardzo powściągliwa – stwierdziła w końcu sama matka. – Odprawdę cię i jak będziesz wychodzić, to po ciebie przyjdę.

– Czy to jest naprawdę konieczne? – Przewróciłam oczami.

– Wydarzyło się dużo złego i wolę zachować ostrożność.

– Whatever – powiedziałam i razem z matką wyszłam, by po kilku minutach znaleźć się pod domem Marii Rosy.

– Przyjdę po ciebie! – krzyknęła jeszcze do mnie, kiedy Maria Rosa otwierała mi drzwi.

– Pilnuje mnie jak Cerber. – Przewróciłam oczami.

Maria Rosa rzeczywiście nie wyglądała dobrze.

– Kłuje mnie od wczoraj. I z oddechem mam problem. Taki ciężar na klatce piersiowej mam. Może to zawał. Nie wiem.

– Może wezwiemy pogotowie, tak dla pewności? – Zaniepokoiłam się.

– Za dużo tego jak na moje nerwy. Może... Choć pogotowie to ostateczność. No źle się czuję, od wczoraj wymiotuję, silny ból mam w okolicy ramion i pleców. No i w głowie mi się kreci.

– Pani Mario, pani jest cała mokra. Taka spocona jak po długim marszu. Zadzwoń pod sto dwanaście. Powiemy, jakie są objawy.

– Tylko bez paniki, Julia, dobrze?

Maria Rosa usiadła na fotelu, a ja zadzwoniłam pod numer alarmowy. Powiedziałam, jakie są objawy, w jakim wieku jest pani Maria, i podałam adres.

– To może być stan przedzawałowy. Wysyłają karetkę – powtórzyłam słowa dyspozytorki.

Maria Rosa nie była zadowolona, że karetka jednak przyjedzie. Liczyła, że sprawę „uda się załatwić przez telefon”.

– Zioła bym wzięła na uspokojenie – powiedziała.

– To może ja zrobię? Gdzie są te zioła? – zapytałam i ruszyłam w stronę kuchni.

– Nie, Jula, zostaw. Tam jest bardzo dużo ziół, ty się nie znasz, niektóre są silnie toksyczne, tylko ja się na nich znam.

Wycofałam się spod drzwi do kuchni, nie chciałam przecież otruć Marii Rosy.

Pogotowie przyjechało po około trzydziestu minutach. Nie wiedziałam, czy to jest szybko, czy wolno, ale Maria Rosa narzekała, że do starego to się nie spieszą, że wolą przysłać karawan. Najgorzej było, kiedy zapytali, czy chce jechać do szpitala, bo to może być stan przedzawałowy i trzeba ją monitorować.

– Nie chcę nigdzie jechać.

– Na siłę pani nie zabierzemy, ale EKG nie wygląda dobrze.

– Pani Mario, błagam, niech pani jedzie – nalegałam.

– A kot, kto zajmie się kotem?

– Ja się zajmę...

– Nie pojedę – powiedziała stanowczo, jednak zaraz po tym zachwiała się i osunęła się na kanapę, była na granicy przytomności.

– No to zabieramy panią Rosę – powiedział starszy z ratowników.

– Rosę, Marię Rosę. To znana sopranistka.

– Co?

– Taka gwiazda opery, śpiewała nawet w Stanach Zjednoczonych – powiedziałam.

– No to zabieramy naszą gwiazdę.

Zaczęli cucić Marię Rosę. Otworzyła oczy, ale nic już nie mówiła.

– Zajmę się kotem – zapewniałam ją, przekrzykując ratowników. – Wiem, że klucze wiszą przy drzwiach – uspokajałam ją dalej.

Panowie położyli Marię na noszach i wtedy jeden z nich sięgnął po coś wiszącego na jej szyi.

– Panienska to weźmie. Dziwna biżuteria, ale o gustach się nie dyskutuje – powiedział i podał mi klucz, który Maria Rosa zawsze nosiła na szyi.

Wzięłam go i położyłam na stole. Kiedy ją zabrali, upewniłam się, że kot ma wodę, dosypałam mu karmy i zadzwoniłam po matkę, żeby po mnie przyszła. Matka strasznie się zdenerwowała i powiedziała, że to szczęście, że poszłam w odwiedziny do tej biednej kobiety. Myślałam dokładnie tak samo. Dostałaby w samotności zawału i nawet nie wiadomo, kiedy byśmy się o tym dowiedzieli.

Starzy ludzie to mają przerąbane.

– Teraz nawet nas nie poinformują, jaki jest jej stan, bo jest RODO, a my nie jesteśmy upoważnione – powiedziała mama.

– To się do niej jutro wybierzemy. Wiem, że mieli ją zabrać do szpitala na ulicy Kniaziewicza. Chociaż tyle.

– Mama Marleny jutro po lekcjach ma cię odwiedzić. Jak będziesz wracała ze szkoły, to wejdź koniecznie do domu pani Marii i nakarm tego jej kota. Zaczekaj tam na mnie, to po ciebie podjadę.

– Tak jest – zgodziłam się bez dyskusji. Od czasu, gdy popsuły się moje relacje z tatą, starałam się jeszcze bardziej zbliżyć do mamy.

Rozdział 99. Julia

Teraz

W szkole konsultowałam projekt dziennikarski z naszą polonistką. Wydaje się być pod wielkim wrażeniem mojej inwencji i tego, jak profesjonalnie zebrałam materiały. Marlena cały czas siedzi na telefonie i wydaje mi się, że pisze do naszego sąsiada, ale nic nie mówi, tylko się uśmiecha. Okropieństwo. To znaczy, ja jestem pewna, że ona mu dziękuje, a on mówi, że każdy by się tak zachował. Zresztą nieważne.

Nie wiemy dokładnie, co u Marii Rosy. Ojciec tylko dowiedział się, że leży na parterze, na kardiologii, i jest w dobrych rękach.

Po lekcjach mama Marleny zawiozła mnie do jej domu. Marlena miała ochotę wejść ze mną, ale powiedziałam, że znając Marię Rosę, nie byłaby zadowolona, że kogoś przyprowadzam, i że najwyżej odwiedzimy ją, kiedy już wyjdzie ze szpitala.

Ostrożnie, żeby nie wypuścić kota, otworzyłam drzwi.

Kot rzeczywiście siedział niebezpiecznie blisko i od razu zaczął się do mnie łąsić. Pogłaskałam go i skierowałam się do kuchni, żeby go nakarmić. Zamiauczał bardzo przyjaźnie. W obecności właścicielki tak się nie zachowywał, ale widać samotność dała mu w kość.

Kiedy już spełniłam swój obowiązek względem sierścieszka, weszłam do pokoju. Tak od niechcena. Na segmencie stał magnetofon. Zaciekawilo mnie, czego słucha Maria Rosa, i wcisnęłam play.

Jakaś obcojęzyczna piosenka zaczęła donośnie grać. Przyciszyłam i zapytałam telefon, co to za muzyka. Ricchie e Poveri, Voulez Vous Danser. Okej, niech sobie gra, kiedy ja chwilę odpocznę, zanim zadzwonię po matkę.

Chciałam trochę posprzątać, ale pomyślałam, że Maria Rosa nie byłaby zadowolona. W zasadzie to już sięgałam po telefon, żeby zadzwonić, kiedy mój wzrok padł na klucz.

Zupełnie jak w bajce o Sinobrodym, którą czytałam w dzieciństwie i która przerażała mnie do tego stopnia, że aż ją lubiałam.

To historia o starym mężczyźnie z siną brodą, o którym chodzą słuchy, że miał wiele żon. Kiedy bierze sobie kolejną, zasypuje ją bogactwem i luksusami. Kiedy jednak wyjeżdża, wręcza młodej żonie pęk kluczy do całego zamku i mówi, że może wchodzić do każdego pokoju prócz jednego, na samym końcu korytarza. Młoda żona bardzo się stara nie iść właśnie tam, a jednak ciekawość zwycięża. Znajduje pomordowane poprzednie żony, upuszcza klucz, który brudzi się krwią, i kiedy mąż wraca, odkrywa, że żona go nie posłuchała i weszła do zakazanego pokoju. Z objęć prawie pewnej śmierci ratuje ją przyjazd jej braci, którzy zabijają Sinobrodego po to, by mogła żyć później długo i szczęśliwie.

Nie wiem, dlaczego klucz przywołał wspomnienie tej baśni. Może dlatego, że wiązała się z nim jakaś tajemnica. Maria Rosa zawsze nosiła go na szyi. Zamykała nim pokój swojej zmarłej córki. Czy ja mogę wejść do tego pokoju pod jej nieobecność? Zastanawiałam się. Tyle że znałam już odpowiedź. Wiedziałam, że nie mogę, i równocześnie wiedziałam, że wejść. Miałam przecież czternaście lat i byłam bardzo ciekawska.

Wzięłam klucz ze stołu. Wczoraj był gorący, a dziś już tylko zimny.

Ruszyłam na górę po schodach, które niemiłosiernie skrzypiały.

Nacisnęłam klamkę w czterech znajdujących się tam pomieszczeniach. Trzy były otwarte.

Czwarte drzwi nie ustąpiły.

Ostrożnie włożyłam klucz do dziurki i przekręciłam go.

Drzwi się otworzyły. Za drzwiami panowała ciemność. Odruchowo sięgnęłam do miejsca, w którym powinien znajdować się włącznik światła. I pstryknęłam. Zobaczyłam po raz pierwszy pokój, w którym zatrzymał się czas.

Wersalka przykryta kocem w kratę, kolorowe poduszki, fotel uszak, biurko i lampa z wiszącymi frędzlami. Na ścianie obraz: dziewczyna na łące. Na drzwiach szafy niedbale przewieszono baletki.

To tutaj mieszkała, kochała Andrzeja Kołtuna, i tutaj też umarła Celina.

Zadrżałam. Bałam się czegokolwiek dotknąć, żeby Maria Rosa nie rozpoznała mojej obecności, bo mogłaby wtedy zachować się jak sam Sinobrody, a ja nie miałam braci, którzy mogliby mnie uratować.

W witrynie, za szybą, tam, gdzie Celina trzymała swoje książki, stało zdjęcie mężczyzny.

To jej ojciec – pomyślałam, ale kiedy odsunęłam szybę i wzięłam zdjęcie do ręki, przeczytałam, że to Andrzej.

Kto trzyma w pokoju zdjęcie mordercy? – pomyślałam.

A może po prostu Maria Rosa nie chciała w tym pokoju absolutnie nic zmieniać.

Są filmy o takich ludziach, najczęściej straszne, i zwykle jedna z filmowych bohaterek znajduje w szafie zaszuszonego trupa. Podeszłam i otworzyłam szafę. Trup nie wypadł. Poczułam za to zapach naftaliny i zobaczyłam wylatującego mola. W tej szafie były sukienki Celiny. Kolorowe, kwieciste.

Powinnam uszanować ten pokój i przestać w nim grzebać. Przez wzgląd na pamięć o Celinie, której nie znałam, i przez szacunek dla jej matki. Z jakiegoś powodu nie potrafiłam jednak wyjść i zamknąć za sobą drzwi.

Na biurku leżała książka. Wzięłam ją do ręki. Pablo Neruda, Wiersze wybrane. Rok wydania: 1980. Powąchałam książkę i zobaczyłam, że między kartkami tkwi papierowa zakładka. Otworzyłam tomik i na pierwszej stronie przeczytałam napisany ołówkiem tekst:

Zgubiłem się w nocy bez światła

twoich powiek, a kiedy ta noc mnie ogarnęła

Ponownie się narodziłem: Byłem panem własnej ciemności

Przeszedł mnie dreszcz. Może w domu zrobiło się zimno, a może z zupełnie innego powodu. Jeszcze raz spojrzałam na obraz na ścianie. Bił z niego idylliczny spokój, brakowało tylko anioła stróża nad dziewczynką, która na obrazie stała tyłem. Obraz miał piękną ramę. Byłam boso, stanęłam więc na łóżku i dotknęłam jej. Wydawało mi się, że dziwnie odstaje. Była zakurzona. Zdjęłam obraz ze ściany, żeby lepiej mu się przyjrzeć.

Z tyłu było cienkie, szare płótno. Już chciałam obraz odwiesić na miejsce, kiedy wyczułam pod materiałem zgrubienie. W górnej części zabezpieczającego płótna widoczne było rozcięcie. Takie na trzydzieści centymetrów. Wsunęłam w nie dłoń.

Pod palcami wyczułam zeszyt albo cienką książkę.

Pewnie sekretny tomik wierszy, pomyślałam, i znów chciałam zostawić ten zeszyt schowany, i odwiesić obraz.

Ale nie robiłam tego, a jak powszechnie wiadomo, nie liczy się to, co przed „ale”, znaczenie ma to, co jest po spójniku.

Delikatnie wyjęłam zeszyt.

Cienki, na oko sześćdziesiąt stron. Niebieska okładka. To znaczy kiedyś niebieska, bo teraz poszarzała ze starości.

Otworzyłam go i zaczęłam czytać:

Wrzesień 1985

Mówią na mnie Aisza. Tak naprawdę mam na imię Asia. Mówią na mnie Aisza, bo Bóg obdarzył mnie pięknymi długimi włosami. Podobno dzięki tym włosom wyglądam egzotycznie, i chyba jestem trochę egzotyczna jak na czternastolatkę z Łodzi. Podobno wyglądam młodziej. Młodziej niż na czternaście lat. Mama się cieszy, mówi, że mniej będzie ze mną kłopotu, bo po ojcu mam wyrywny charakter, a z takimi nigdy nic nie wiadomo. Domyślałam się, o co jej chodzi, widzę, jak patrzą nam mnie odwiedzający ją panowie. Robię wtedy wypad do drugiego pokoju i „już nie egzystuję”.

Na naszym osiedlu dużo się dzieje i dlatego zaczęłam pisać pamiętnik. Większość moich koleżanek nie pisze takich głupot dla nastolatek i pułapek na nastolatki – bo wiadomo, taki pamiętnik może wpaść w niepowołane ręce. Z moim, nawet gdyby wpadł w czyjeś łapy, nie byłoby problemu, bo zaczęłam go pisać niedawno i jeszcze nie ma w nim żadnych pikantnych szczegółów ani miłosnych historii. Tego nauczyciela dopiero poznałam.

Przyszedł do naszej szkoły we wrześniu. Na szczęście jeszcze rok będziemy razem – jestem w ósmej klasie.

W pierwszej chwili naprawdę nie wiedziałam, co trzymam w ręku. To był pamiętnik. Pamiętnik dziewczynki o imieniu Aisza... Dopiero po chwili dotarło do mnie, że choć to niemożliwe, nieprawdopodobne, najdziwniejsze i straszne, to na zamordowaną dziewczynkę mówili Aisza. Asia. Joanna. Joanna Pejka.

Jezus Maria. Wyciągnęłam rękę po telefon i wtedy zorientowałam się, że zostawiłam go na dole, koło magnetofonu.

Coś zaskrzypiało na schodach. Pomyślałam, że kot nie chodzi tak głośno.

I wtedy ją zobaczyłam. W drzwiach stała Maria Rosa.

Rozdział 100. Maria Rosa

Wtedy

Nie czułam już nic. Nic prócz upokorzenia i odrzucenia. Momentami myślałam, że Celina musiała umrzeć... Że tak było lepiej, że już się nie męczy, że ja już się nie męczę, że nie muszę całymi nocami nasłuchiwać i sprawdzać, czy żyje, w oczekiwaniu na to, że i tak stanie się najgorsze.

Andrzej przestał się odzywać, pod pretekstem choroby postanowił całkowicie o mnie zapomnieć i nie mieć dla mnie czasu. Patrzyłam w lustro i zamiast siebie, Marii Rosy, widziałam potwora. Moja twarz poorana była zmarszczkami, a włosy były białe. Córki, gdy są w brzuchu, odbierają kobiecie urodę – tak mówią. Być może umierając, robią dokładnie to samo.

Dzwoniłam i mówiłam, że już nie musi udawać, że się o mnie troszczy, że już dam mu spokój. Mówiłam to, płacząc, bo najbardziej na świecie potrzebowałam wtedy, żeby ktoś mnie przytulił.

Drżałam na całym ciele, było mi zimno i gorąco na przemian. Jakbym dostała w dniu śmierci Celiny gwałtownego klimakterium. Pociłam się i dusiłam łzami.

– Jak znajdzie chwilę, to pójdziemy razem na spacer, ale na razie, Mario, nie będę cię odwiedzał, twój dom za bardzo mnie przygnębia, wszędzie widzę Celinę.

– A co ja mam powiedzieć... – udawałam, że rozumiem, ale mój głos brzmiał lodowato. – Kobieta taka jak ja na nic nie może się już przydać, więc się ją odkłada na półkę, a najlepiej wyrzuca do kosza – wysyczałam jeszcze.

– Nie o to chodzi, sama wiesz...

– Jedyne, co wiem, to że odtrąciłeś mnie w najczarniejszej godzinie mojego życia. Żegnaj. – Odłożyłam słuchawkę.

To była moja ostatnia rozmowa z Andrzejem.

I chciałam, żeby tak było, tylko że wtedy, po kilku dniach, zobaczyłam ich na spacerze. Tę Cyganekę i Andrzeja. Ona z tym swoim szkaradnym psem i on, bledszy i chudszy, ale nadal nad wyraz męski, silny.

Nie tak to miało wyglądać. Kiedy pod sam koniec listopada zobaczyłam tę dziewczuchę na boisku, już bez Andrzeja, ale samą, samiuteńką, z tym głupim plecakiem na ramionach, zaczęłam za nią iść.

Kulę przygotowałam bezwiednie już wcześniej, po prostu ją nosiłam. Ale wcale nie chciałam zrobić z niej użytku. Nie chciałam i chciałam jednocześnie. Bo jak można patrzeć na całe to szczęście, na taką krzycząca młodość, na taki potencjał i nie rozplakać się? Po tym, co mnie spotkało. Po tym, jak los mnie oszukał.

Aisza odwróciła się w moją stronę. Była bezczelnie piękna.

– Pani Maria. – Przywitała mnie skinieniem głowy. Wydawało mi się, że ma w oczach oskarżenie. Że może Andrzej z nią o wszystkim rozmawia. Poczułam wstyd i złość. Poczułam nienawiść.

Wtedy, bez zastanowienia, wzięłam zamach i uderzyłam ją kulą. A niech ją boli.

Nie, nie chciałam jej wtedy zabić. Ale zdaje się, że jedno uderzenie wystarczyło. W jej oczach, które gasły, na moment zapłonęło zdziwienie. Uderzyłam jeszcze raz i piękno jej twarzy zniknęło.

Upadła na plecy. Z odrazą zmieniałam jej pozycję, żeby leżała na brzuchu. Rozpięłam jej plecak i znalazłam w nim dwie rzeczy. Niebieski, sześćdziesięciokartkowy zeszyt i tomik wierszy. Zabrałam wszystko i bardzo szybko poszłam w swoją stronę. W oddali słychać było szczekanie. Zapewne piesek Aiszy znalazł swoją panią. Było już zupełnie ciemno. Całkowity mrok.

Pomyślałam, że pewnie żyje, że może tylko trochę ją popsułam, i ta myśl mnie ucieszyła. Jednocześnie chciałam zawrócić i sprawdzić, co z dziewczyną. Jednak nie wróciłam. Pozostawiłam ją i siebie w rękach losu. Jeśli się obudzi i powie, że to ja, trudno. Poniosę konsekwencje. Tyle że już następnego dnia wiedziałam, że dziewczynka na szkolnym boisku nie żyje. A więc mi się udało – albo właśnie mi się nie udało. Zastanawiałam się nad tym przy muzyce. Muzyka zagłuszała mój ból i moje myśli.

Z drugą było podobnie, tylko wtedy już miałam jasność, po co to robię. Gdybym po prostu zabiła Kołtuna, zostałaby zapamiętany jako dobry, uczciwy człowiek. Tymczasem ja chciałam zetrzeć jego imię z powierzchni ziemi. Zhańbić je tak, jak on zhańbił moją córkę, a mnie skazał na zapomnienie.

Ta druga dziewczynka. Szło toto przez las, zupełnie samo, sierota w okularach. Później dowiedziałam się, że miała na imię Zuzanna. Skruszyłam ją za pierwszym razem. Od tyłu zaszałam i uderzyłam moją stalową kulą. Skąd miałam kulę? Nie pamiętam, w piwnicy znalazłam. Do szkoły już nie doszła.

Wzięłam kulę, odwiedziłam moją przyjaciółkę, matkę naszego Andrzejka, i zostawiłam narzędzie zbrodni za wersalką.

To nie jest tak, że się nie wahałam, dzwoniąc pod dziewięć dziewięć siedem z automatu. Nie miałam wyjścia.

Powiedziałam, że to on, i gdzie ma narzędzie. Potem nic już nie dało się zrobić i na wszystko było za późno. Myłam ręce, bo cały czas mi się zdawało, że przez rękawiczki przesiąkła mi krew i zostawiła plamy, i każdy może je zobaczyć. Uspokoiliam się, kiedy aresztowali Andrzeja i kiedy przeprowadzono egzekucję. Sprawa została zamknięta, a jego imię na zawsze zhańbione, budziło już tylko postrach i odrazę.

Rozdział 101. Julia

Teraz

Ruszyła na mnie jak taran. Była dwa razy cięższa. Odsunęłam się, a ona upadła na wersalkę.

– Tak to sprawujesz opiekę nad moim kotem?! Myszkuje po całym domu. – Złapała mnie za rękę i chociaż nadal była silna, to jednak jej wiek i choroba dawały mi pewną przewagę.

– Coś mnie tknęło, wzięłam taksówkę i bez wiedzy lekarzy przyjechałam, żeby zabrać klucz, tylko że ty już siedzisz, rozparta, na kanapie mojej zmarłej córki... i czytasz pamiętnik, który nie stanowi twojej własności – wysyczała przez zaciśnięte zęby.

– Ani twojej – odezwałam się niegrzecznie, ale to nie był czas na grzeczność.

– Masz rację, to pamiętnik, którego wszyscy szukali. Zapiski małej Aiszy. Na nic on już teraz nikomu. Kości im pobielają ze starości. Aiszy, Andrzejowi i mojej Celinie.

Zaczęłam wyszarpywać rękę.

– Moja mama zaraz tu będzie. Miałyśmy jechać panią odwiedzić... Mama będzie do mnie dzwonić.

– Chwilowo się nie dodzwoni. – Pokazała mi mój telefon, wyłączony na głucho. – Wystarczy klik, klik, trochę znam się na technice. Na wszystkim się jeszcze znam, ale chyba mi się już nie chce. Nie chce mi się z tobą szarpać. Nie mam na to siły.

– Pani Mario, o co chodzi z pamiętnikiem, dlaczego...? – Wpatrywałam się w nią, przerażona i zdezorientowana.

– Jeszcze się nie domyśliłaś? A podobno chcesz być policjantką. – Maria Rosa zaśmiała się szyderczo.

– Ale to jest niemożliwe! – odpowiedziałam.

– No i właśnie na tym opierałam się przez trzydzieści ostatnich lat. Każdy tak myślał. Nikt nigdy mnie nie podejrzewał. Ani jak dawałam zioła, ani jak chodziłam z kulą, no, ze stalową kulą.

Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się, jakby opowiadała mi zupełnie inną, zabawną historię. Nadal trzymała moją rękę, a ja czułam ciarki na plecach. Patrzyłam na nią i widziałam tylko bladą, przezroczystą staruszkę. I wtedy zaczęła mówić: o tym, jak czuła się oszukana, nieszczęśliwa i odrzucona. O swojej dumie, o kobiecie, którą była i która przestała istnieć. O kobiecie, która zabiła tamte dziewczynki. O kobiecie, która wysłała na śmierć człowieka, do którego coś czuła. I kiedy mi to opowiadała, poczułam się przez chwilę jak w trakcie przerażającego spektaklu. I wtedy zrozumiałam, że Maria Rosa była nie tylko doskonałą sopranistką, ale również doskonałą aktorką. Scena czy życie – mogła zagrać, jak tylko chciała.

I że dla niej nadszedł właśnie moment prawdy. Wiedziałam też, że jest drapieżcą, choć kiedy opowiadała, zapominałam o tym i tonęłam w jej żalobie i lękach, w jej złamanym życiu.

Kiedy więc zobaczyłam, że wyciąga nóż i celuje nim we mnie, przypomniałam sobie kryminał Nesbo i jego głównego bohatera, który uchronił się przed ciosem noża, pozwalając, by wbił mu się w dłoń. Zasłoniłam się dłonią i poczułam, jak nóż się w niej zatapia aż po rękojeść.

Ból był paskudny, ale Maria Rosa nie miała już czym mnie ugodzić. Wykorzystałam tę chwilę, złapałam pamiętnik i zbiegłam po schodach. Nóż wbity w środek dłoni skutecznie hamował krwawienie.

Dobiegłam do drzwi i boso, tak jak stałam, wypadłam przed dom, i to dokładnie w chwili, kiedy do furtki zbliżyła się moja matka.

– O Jezu! – krzyknęła i złapała się za serce, a później podbiegła do mnie.

– Dzwonź po policję i pogotowie. Dzwonź! Maria Rosa próbowała mnie zabić.

Matka trzęsącymi się dłońmi wybrała numer alarmowy. Tylko że w jej przypadku był to numer do jej męża, a mojego ojca. Tata zawsze działał najszybciej.

Spojrzałam na moją straszną rękę i wtedy z nową mocą poczułam okropny, rwący, pulsujący ból. To nie jest twoja ręka, powtarzałam, i starałam się na nią nie patrzeć. Gdyby pogotowie nie przyjechało błyskawicznie, to pewnie omdlała leżałabym na trawniku przed domem Marii Rosy.

Rozdział 102. Julia

Teraz

Znów leżałam w szpitalu, tylko teraz już nikt nie wmawiał mi, że jestem narkomanką. Wuj Marcin i ojciec pełnili przy mnie wartę honorową. Jak w amerykańskim filmie, kiedy na końcu okazuje się, że ta dziewczynka nie była wcale taka głupia i tylko dzięki jej intuicji, odwadze i mądrości udało się znaleźć prawdziwego mordercę.

Nie myślę o sobie w takich kategoriach. Myślę w kategoriach przeznaczenia. Los wyznaczył mi zadanie, a ja je wykonałam. Podpisuję się tutaj pod maksymą Wergiliusza, którą często cytuje moja mama: Przeznaczenie znajdzie drogę. Sprawdziłam w wyszukiwarce, po łacinie to brzmi jeszcze ładniej: Fata viam invenient.

Marlena pisała, że mówili o mnie w telewizji. Że dziewczyna z sąsiedztwa rozwiązała sekret morderstw sprzed trzydziestu lat. Teraz to będę już miała łatwą drogę do policji! Śmieję się i żartuję, ale tak naprawdę wcale nie jest mi do śmiechu. Po porwaniu Marleny zastanawiałam się, jak to jest, kiedy ktoś próbuje cię zabić. Teraz już wiem.

To jest przerażające uczucie. Najlepiej jest wtedy uciekać.

Matka śpi w moim pokoju. Przynosi mi domowy kisiel i gra ze mną w ulubione planszówki.

Wychodzi na to, że mój dziennikarski projekt na język polski będzie czymś więcej. Zrobiła się z tego megahistoria i pal licho wymarzoną szóstkę, chociaż i tak pewnie ją dostanę.

No i Andrzej... nie będzie już dłużej mordercą. Tylko ofiarą. Dobrym człowiekiem i dobrym sąsiadem.

Bardzo chcę spotkać się z jego matką. Tyle wycierpiała. Przez lata wierzyła w niewinność syna, którego państwo skazało na śmierć za zbrodnie, których nie popełnił.

Teraz już wiem, dlaczego Maria Rosa trzymała w pokoju swojej córki zdjęcie Andrzeja Kołtuna. Miałam rację, że w domu nie trzyma się zdjęć morderców. Maria Rosa też o tym wiedziała.

Dziś dostałam od ojca kopię dziennika Aiszy.

Leżą przede mną te wszystkie strony, zapisane jej ładnym, okrągłym, dziecięcym pismem. Zaraz zabieram się za czytanie. Wam też polecam. Poczytajcie.

Rozdział 103. Mrok

Teraz

Porwanie Marleny nie było planowane, tak się po prostu złożyło. Czy był strach, że mnie rozpozna? Tak, ale nie miała wyjść z tego żywa... Przez lata satysfakcjonowało mnie tylko jedno – kiedy przeze mnie, nie wiedząc o tym, ludzie czuli się źle, cierpieli. A że ktoś przy okazji umarł, trudno. Czasami jakaś dziwka czy fiut umrze. Dla mnie ani los, ani Bóg nie mieli litości. Jak zwał, tak zwał. Trudno. Życie to pasmo cierpień. Na koniec zostają tylko ból, żal i tęsknota, a skoro było to moim udziałem, niech inni też to poczują. Z tym nie da się żyć.

Jeśli chodzi o Julię – lubię inteligentnych ludzi i szkoda, że nie udało się sprawić, żeby nigdy nie dorosła.

Rozdział 104. Julia

Kilka miesięcy później

Jan jest znów w domu i cieszy się perspektywą wiosennego ogrodu. Dochodzi do zdrowia, w czym pomagamy mu ja i pozostali sąsiedzi. Z podejrzanego zmienił się w bohaterską ofiarę Marii Rosy. To ona zabrała Marlenę. Oczywiście pomagając sobie ziołami. Tamtej nocy, kiedy Marlena zniknęła, zaprosiła ją na herbatę. No właśnie. To wystarczyło. Jak mojej przyjaciółce po ziółkach zaczęło odwalać, to posłusznie jak pies poszła za Marią Rosą do starej fabryki. Trudno w to uwierzyć. Z niechętniej relacji Marii Rosy wynika, że Marlena sama też położyła się do skrzynki, na komendę: „to twoje łóżko”. Z substancjami psychoaktywnymi to naprawdę trzeba ostrożnie. Dlaczego stara sąsiadka po trzydziestu latach znów postanowiła zaatakować? Odpowiedź na to pytanie znajduje się tylko w jej bardzo chorej i strasznej głowie. Ojciec twierdzi, że po prostu jej zadaniem, które sama sobie wyznaczyła, było unieszczęśliwianie i krzywdzenie innych. W ciszy. Krzywda za krzywdę. Ząb za ząb. Chciała zemścić się za swój los, niszcząc życie innych ludzi. Niegłupia interpretacja.

Warto wspomnieć, że po aresztowaniu Marii Rosy dostałam dwa niezwykle prezenty: list od matki Andrzeja Kołtuna, Krystyny Kołtun, i paczkę znikąd. Szare pudełko z moim imieniem. Otworzyłam ją ochoczo. W paczce był złoty łańcuch solidnej grubości i wypisana odręcznie kartka: „Za prawdę o mojej córce”.

Nie sądziłam, że kiedykolwiek założę ten ciężar na swoją szyję, ale prezent przyjąłam, tym bardziej że i tak nie wiedziałabym, gdzie go odesłać. No i miałam nagle tę świadomość, że Aisza byłaby szczęśliwa, bo jednak była dla swojego ojca ważna. Wątpiła w to. Nie znała go. Ani on jej.

Wspomniany list od matki Andrzeja miał następującą treść:

Droga Julio,

dziękuję, że przywróciłaś mnie i jemu godność i szacunek w oczach Boga i ludzi. Choć Bóg zawsze wiedział. Niech Ci błogosławi.

Z poważaniem

Krystyna Kołtun

PS Ostatnim życzeniem mojego syna było, żebym ten wiersz przepisała i zaniósła go na grób Celiny. Tak też zrobiłam. Teraz tobie oddaję oryginał, napisany przez niego.

I rzeczywiście – do listu dołączona była odręcznie napisana karteczka z wierszem:

To dopiero kilka miesięcy
Bez ciebie
To już jednak więcej miesięcy bez ciebie
Niż kiedykolwiek z Tobą
Chcemy najbardziej tego
Co tracimy
To pewnie dlatego
Ciebie chcę
Najbardziej
Najmocniej
I najbeznadziejniej
A.K., 15 III 1986

Epilog

Zapytacie, co stało się z Marią Rosą. Otóż po rozprawie trafiła do Regionalnego Ośrodka Psychiatrii Sądowej. Komuś z zewnątrz mogła wydawać się niegroźną staruszką. Panicznie reagowała na aparat słuchowy i najczęściej wcale go nie zakładała. Tylko raz do roku prosiła o kartkę, którą wypełniała starannym pismem. Co roku pisała to samo:

Tylko kolorowych dni dla Ciebie, Julio.

Maria Rosa

Kartki składała do pudełka, które stanowiło jej jedyną własność. Nigdy ich nie wysyłała.

Co wieczór powtarzała też krótką modlitwę, zawsze tę samą:

„Wieczny odpoczynek racz mym ofiarom dać Panie: Żukowej, Andrzejowi, Aiszy, Zuzance i... Celine...”.

KONIEC

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Motto

Dedykacja

Bohaterowie

Prolog

Część I. Przedmrok

Rozdział 1. Julia

Rozdział 2. Asia

Rozdział 3. Andrzej

Rozdział 4. Julia

Rozdział 5. Maria Rosa

Rozdział 6. Julia

Rozdział 7. Asia

Rozdział 8. Andrzej

Rozdział 9. Julia

Rozdział 10. Julia

Rozdział 11. Maria Rosa

Rozdział 12. Julia

Rozdział 13. Julia

Rozdział 14. Asia

Rozdział 15. Julia

Rozdział 16. Asia

Rozdział 17. Julia

Rozdział 18. Andrzej

Rozdział 19. Julia

Rozdział 20. Maria Rosa

Rozdział 21. Julia

Rozdział 22. Asia

Rozdział 23. Mrok
Rozdział 24. Julia
Rozdział 25. Maria Rosa
Rozdział 26. Andrzej
Rozdział 27. Julia
Rozdział 28. Mrok
Rozdział 29. Asia
Rozdział 30. Julia
Rozdział 31. Asia
Rozdział 32. Andrzej
Rozdział 33. Maria Rosa
Rozdział 34. Julia
Rozdział 35. Asia
Rozdział 36. Andrzej
Rozdział 37. Julia
Rozdział 38. Mrok
Rozdział 39. Asia
Rozdział 40. Maria Rosa
Rozdział 41. Julia
Rozdział 42. Asia
Rozdział 43. Julia
Rozdział 44. Andrzej

Część II. Czas Mroku

Rozdział 45. Julia
Rozdział 46. Julia
Rozdział 47. Mrok
Rozdział 48. Julia
Rozdział 49. Maria Rosa
Rozdział 50. Julia
Rozdział 51. Julia
Rozdział 52. Maria Rosa
Rozdział 53. Mrok
Rozdział 54. Asia
Rozdział 55. Julia
Rozdział 56. Maria Rosa
Rozdział 57. Andrzej
Rozdział 58. Julia

Rozdział 59. Asia
Rozdział 60. Mrok
Rozdział 61. Asia
Rozdział 62. Julia
Rozdział 63. Andrzej
Rozdział 64. Maria Rosa
Rozdział 65. Asia
Rozdział 66. Julia
Rozdział 67. Asia
Rozdział 68. Julia
Rozdział 69. Andrzej
Rozdział 70. Asia
Rozdział 71. Julia
Rozdział 72. Andrzej
Rozdział 73. Maria Rosa
Rozdział 74. Julia
Rozdział 75. Asia
Rozdział 76. Julia
Rozdział 77. Asia
Rozdział 78. Maria Rosa
Rozdział 79. Julia
Rozdział 80. Julia
Rozdział 81. Andrzej
Rozdział 82. Asia
Rozdział 83. Julia
Rozdział 84. Julia
Rozdział 85. Mrok
Rozdział 86. Andrzej
Rozdział 87. Asia
Rozdział 88. Andrzej
Rozdział 89. Maria Rosa
Rozdział 90. Julia
Rozdział 91. Asia
Rozdział 92. Julia
Rozdział 93. Andrzej
Rozdział 94. Asia
Rozdział 95. Julia

Rozdział 96. Julia.
Rozdział 97. Andrzej
Rozdział 98. Julia
Rozdział 99. Julia
Rozdział 100. Maria Rosa
Rozdział 101. Julia
Rozdział 102. Julia
Rozdział 103. Mrok
Rozdział 104. Julia
Epilog